

POMERANIA

5



Maj 1981



Święte Góry Wejherowskie



POMERANIA

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

Rok XVIII

1981

Nr 5 (112)

W numerze:

- 1 RYSZARD CIEMIŃSKI – Kłorowy Bojko
- 2 STANISŁAW GOSTKOWSKI – Gdańsk
- 5 EWA GÓRSKA – Cenzura – ale jaka?
- 6 DONALD TUSK – Nowy ruch – nowe nadzieje
- 8 NINA RASZ – Chłop potęgą jest i basta
- 10 Stawiam na rzetelną i systematyczną pracę. Z JERZYM KIEDROWSKIM rozmawia DANUTA SIEMIŃSKA
- 12 JERZY SAMP – Ponad szpitalem Flisaków
- 14 WOJCIECH KIEDROWSKI – W Sierakowicach rządzą rolnicy
- 15 Program działania Gminnej Organizacji NSZZ RI „Solidarność” w Sierakowicach
- 17 STANISŁAW JANKE – Wiersze kaszubskie
- 18 ANDRZEJ GRZYB – Jabłoń; Jagnię
- 18 Dyskurs o regionalnej edukacji. Oprac. DANUTA SIEMIŃSKA
- 20 JAN BALECKI – W szkołach o regionie
- 21 WOJCIECH WIŁA – Wyprawa wejherowskiej orkiestry klasztornej do Rzymu
- 22 Listy
- 23 GAUDENTY A. KUSTUSZ – Święte Góry Wejherowskie
- 29 EUGENIUSZ GOŁĄBEK – Urzas, Wstajita
- 30 ANNA ŁAJMING – Mój dom (8)
- 33 JERZY SAMP – Moneta i martwiec
- 34 JAN WOJCIECHOWSKI – Rykowiska
- 38 KAZIMIERZ OSTROWSKI – Portret bohatera
- 39 IGNACY KOP – Szkic do sagi rodu Wyrowińskich
- 40 JERZY SAMP – Anonimowi Gdańskiemu
- 41 JÓZEF CEYNOWA – Bożo Stopka
- 42 ANTONI WICA-GOSTOMSKI – Z posażnej skrzyni i ze złotogłowia odwzorowane
- 44 Zrzeszenie w Pucku. Rozmowa z Pawłem Tarnowskim
- 45 BARBARA PISAREK – Nadzieje. Kartuskie jeziora
- 47 Z życia Zrzeszenia; Kłeka

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Stanisław Janke
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Krystyna Puzdrowska
(sekretarz redakcji)

KOLEGIUM:

Konrad Ciechanowski
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
Stanisław Pestka
Edmund Puzdrowski
Krystyna Puzdrowska
Jerzy Samp

STAŁE WSPÓLPRACUJĄ:

Lech Bądkowski
Tadeusz Bolduan
Józef Borzyszkowski
Edward Breza
Zygmunt Brocki
Ryszard Clemiński
Aleksander Labuda
Anna Łajming
Kazimierz Ostrowski
Jerzy Treder
Izabella Trojanowska

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10
80-828 Gdańsk
tel. 31-35-56
Konto PKO:
Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA
KASZUBSKO-
POMORSKIEGO

Prenumerata roczna 200 zł
Nakład 4000 egz.
PZG – Gdańsk
Zam. 932 – C-7
Indeks 37193

Kolorowy Bojko

Ryszard Ciemiński

Kluczem kaszubskim otwieram drzwi do jednego jeszcze warszawskiego mieszkania. Jego gospodarz srogi bardzo; na niechący rzucone przez telefon słowo reaguje ze smutkiem i goryczą w głosie. „No wie pan, dziennikarz, to takie brzydkie słowo”. Kaszuby to więc już nie klucz a wytrych prawie. We wszystkich nas w końcu pokład wspomnień da się poruszyć. Dobrze więc, iż ów przyrząd był pod ręką. I ów tekst sprzed lat wielu, ćwierćwiecza nieomal, odczytany naprędce, jakby dla skrócenia dystansu pomiędzy — generacjami, czasem dawno minionym i obecnym, dwójgiem ludzi z innych orbit ziemi, planety ludzi.

Czyż więc to nie pan pisał te słowa... W rok po październiku widoczne się już staje, że na polu inicjatywy kulturalnej region kaszubski rozwija skrzydła. Więc to nie pan ciągnął dalej: W przeciwieństwie do innych dzielnic Polski, gdzie nastąpił rozpad szeregu instytucji i komórek życia kulturalnego, tu obserwujemy stopniowe odrodzenie autentycznego ruchu społecznego. Skrępowane, tlamszone, podskórne siły wyszły na powierzchnię. Taka była stylistyka tamtego popaździernikowego czasu. Więc chyba jednak pan pisał w „Polityce” w tamtym 1957 roku: *Pomyślałby kto, że wieś kaszubska jest ogromnie rozbudzona intelektualnie i że masowo garnie się do kaganka kultury. Daleko do takiego idyllicznego obrazka. Ale są działacze ożywieni szlachetną ideą rozniecania ognisk życia umysłowego głęboko w ludzi. Nauczyciele, etnografowie, bibliotekarze, miłośnicy śpiewu, tańca, muzyki, ludowi poeci, pisarze, bazarze. Że co? Że pan nie pamięta? Starczy, że inni pamiętają. Pora więc najwyższa zwrócić je panu z dziękczynieniem. Z racji czasu gdy zostały wypowiedziane, ich trafności. I co nie bez znaczenia: z racji podmiotu tej wypowiedzi.*

Klatka domu, w którym mieszka przy pryncypialnej ulicy Mokotowa cała w marmurach, rzeźbach i szkle. Nazwiska na liście lokatorów znane z pierwszych stron gazet. Na progu wita gospodarz nieduży, siwutki, w pochyleniu, lekki w ruchach, ugrzeczniony. Nie masz wyjścia, łbem potrącasz o rój dzwoneczków zawieszonych pod sufitem. Wzrok ci pada z miejsca na trzymetrowy co najmniej plakat, bodaj angielski, z facetem z melonem na głowie, cygarem w zębach, coś jak reklama londyńskiej teatralnej awangardy. Obraz na przeciwległej ścianie, z pozoru Nikifor, okazuje się pędzla prymitywisty jugosłowiańskiego. W innym znów miejscu maska rytualna, na oko afrykańskiej proveniencji. I stopy książek walających się wszędzie — na tapczanie, na biurku, na stole.

— Aleś mnie pan tym żurnalistą ugodził — wypomni raz jeszcze w skrzywieniu, grymasie i zohydzeniu dla tej profesji, która, tfu, dalibóg, nie jest jego profesją.

Gdybyż więc umiało się zmilczeć chociaż, nie wypomnieć skąd ten chleb i lektury; w końcu jest się tym za kogo samemu się uważa. Kimże więc on jest, ten tutaj cały w lansadach?

— Przystańmy na formułę „l'homme de lettre”, zgoda? Łaskawie wyraził swój akcept.

— Kaszuby to dla mnie kawał mojego życia, rozdział, który — mam 62 lata — przechowuję jako pewien skarb mój własny. Równie własny jak ten okres życia kiedy kształtowała się moja świadomość, gdy związałem się z ruchem rewolucyjnym polskim (jako 15–16-letni chłopak), jak mój udział w wojnie, jak kampanię wrześniową, fakty, zdarzenia w moim życiu najcenniejsze, które przekazuję z kolei swojej rodzinie.

— W jakich jednak okolicznościach odbyło się to pańskie spotkanie z Kaszubami?

— Z formalnego punktu widzenia — zostałem skierowany. I żeby było śmieszniej, przez ówczesnego kierownika wydziału przemysłu KC Edwarda Gierka — jak to się jednak historia zmienia — wraz z kilkunastoosobową grupą działaczy marksistowskich dla dopomożenia ruchowi odnowy w partii.

— Już wówczas używano się tego określenia?

— Każda epoka ma swoje terminy. Wówczas mówiło się inaczej: odwilż.

— Jak w tytule powieści Erenburga...

— Był marzec roku 1955. Byłem tamtą porą aspirantem Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC partii. Dokładniej — aspirantem katedry estetyki a więc kimś w rodzaju obecnego doktoranta. Taka aspirantura miała zaprowadzić w przyszłości do doktoratu właśnie. W przeszłości swojej byłem absolwentem historii sztuki na warszawskim uniwersytecie. A także wojskowym, kierownikiem pracowni graficznej, której później już jako ów aspirant, stałem się kimś w rodzaju partyjnego naukowca.

— Teraz zaś miało dojść do tego doświadczenie zgoła innego rodzaju...

— Przecież jechaliśmy nie wiedząc dokąd jedziemy. Na dobrą sprawę nie wiedząc też w jakim celu. No, może nie wszyscy byli tacy zieloni jak ja, pewno Heniek Hinz orientował się dokąd przyszło zawitać. Takich grup było wówczas więcej. Traf chciał, że nasza pod kierownictwem Matwina znalazła się na Wybrzeżu, dokładniej w gmachu KW na Grunwaldzkiej. W większości warszawiacy (któryś z nas był z Lublina), młodzi marksiści wypuszczeni spod ręki nie byle kogo, bo Kotakowskiego, Brusa, Baczki i dyr. Adama Schaffa. Nadto jeszcze prof. prof. Zawadzkiego i Hochfelda. Wiedzieliśmy jedno: mieliśmy pomóc miejscowej władzy w tworzeniu drogi sprawiedliwości społecznej, rozpoznania tego co jest tam w terenie złego, w dopomożeniu partii w przezwyciężeniu kryzysu (historia lubi się powtarzać, wypadnie to raz jeszcze powtórzyć) w jakim znalazła się partia po tzw. okresie stalinowskim. Sytuacja była nieco dziwna. Nigdy nie czułem się politykiem. Studiowałem estetykę, dałem się poznać jako krytyk. Dla wszystkich nas okolicznością sprzyjającą była możliwość działania czegoś pożytecznego, co dla człowieka związanego z kulturą nie jest bez znaczenia.

— A zatem terenem pańskiego działania miała być właśnie kultura.

— Dokładniej Związek Plastyków, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Związek Literatów Polskich. Takie były założenia. Lecz życie rychło skorygowało tę rzecz. Zupełnie dla mnie nieoczekiwanie, nie będąc zupełnie przygotowanym pod względem wiedzy historycznej, socjologicznej, bez rozpoznania materii, zaskoczony zupełnie zostałem sprawą, która na mnie spadła. Właśnie — sprawą Kaszubów.

— W jaki sposób doszło do tego spotkania?

— Na początku była niechęć do naszej grupy ze strony aparatu wojewódzkiego. To jest zrozumiałe i psycho-

logicznie uzasadnione, gdy się zważy, że przybyła grupa z zewnątrz, bez wiadomych pełnomocnictw (sam ich też nie znałem) i powiada, że przybyła by pomóc. Dla porządku: ta niechęć nie była powszechna. Im wyżej, tym ta życzliwość bardziej dała się odczuć, im niżej tym bojkot bardziej wyraźny. Osoba Matwina, członka Biura Politycznego, bardzo nam wszystkim była pomocna. On rozładowywał wszelkie napięcia, których nie brakło, objawiał też umiejętności czysto taktyczne, umiał okazać stanowczość, gdy trzeba było. Pamiętam takie wielkie zebranie w hali stoczni, gdzie zaproponowano utworzenie Rad Robotniczych (sprawa ta była omawiana w naszym gronie). Nie było strajków, było jedynie napięcie.

— Zdaje się, iż gdańska politechnika była miejscem szczególnego wrzenia...

— To jednak zebranie odbywało się w stoczni. Tam zresztą wygłosiłem jedyne w swoim życiu polityczne przemówienie. Było tak, iż zorientowaliśmy się, że konserwę

partijną uosabia I sekretarz KW Jan Trusz, autokrata w w najgorszym stylu. Gdyby nie środowisko dziennikarsko-literackie, które zaciągnęło warty przed jego domem (pomiędzy nimi i Lech Bądkowski), to nie wiem co by się stało. Pamiętam, że cytowałem wówczas Gałczyńskiego słowa o wietrze historii, o wymiotach i fali, która to wszystko czyści. To od tamtej pory zaczęła się całkiem już otwarta wojna pomiędzy aparatem a naszą grupą. I to właśnie w tej aurze doszło do tego pierwszego mojego spotkania z Kaszubami — ziemią i Kaszubami — ludźmi...

Przyszli do mnie we trzech, może we czterech. Do dziś pamiętam tę scenę, sylwetki tych ludzi, tylko nazwiska tych ludzi mi pouciekały. Zdaje się, że był pośród nich prof. Andrzej Bukowski i Aleksander Arendt.

→ I co powiedzieli?

— Że chcą porozmawiać. W roli takiej oficjalnej bardzo źle się czułem; z natury jestem kameralnym człowiekiem

Stanisław Gostkowski

GDAŃSK

miasto
w którym przyszło mi żyć
przeciąga się leniwie na drugi bok
w milionowych łózkach
rozczesuje włosy fabrycznych dymów
wyciąga żurawią szyję dźwigów stoczniowych
przeciera twarz spienioną
uśmiecha się pewnie
wpływającymi statkami zmarszczek
dostojnie w blaskach budzącego się słońca
syren zwolujących mewy okolicznych
żaglówek na śniadanie
stoczniowych olejów pulsujących rytmem
stalowego serca pierwszych
autobusów wypełzających leniwie
niczym gady na ulice
jeszcze lepkie rosą asfaltu
czerniejącego łękiem pytania
gdzie jestem
może w żołądku tego wielkiego miasta
jakie kwasy trawiają mnie dzisiaj
w jakim kierunku płynę
krwią wiatru krzyczącego otwartym
oknem a może jest to tylko
oko z którego widzę
krzywy obraz własnego
ja
choć w ogóle nie ma mnie tam
tylko obce spojrzenie pozoruje
moją świadomość podglądając
każdy ruch mego palca
czy idzie zgodnie z ruchem wskazówek zegara
odjeżdżających pociągów z dworców
zapamiętanych snem dziecka w łonie matki
dlaczego jestem podglądany
właśnie tutaj na betonowej skórze
dziecięcych marzeń o pięknie gołębic
skrzydeł dlaczego rosną im pazury
jastrzębia przecież nie chce
krwi
a jednak muszę się przetaczać
z miejsca na miejsce

zacierając za sobą najmniejsze ślady
własnego upadku
więc kim w ogóle jestem
przed drzwiami tego wielkiego kina
z niemym filmem
noszącym nazwę
ŻYCIE
gdzie jestem jedynym aktorem
rozbierającym się przed własną publicznością
moich własnych twarzy rozbawionych
w tańcu miłosnym skrzywionych w marszu
pogrzebowym a więc żyję prawdziwie
w brzuchu potężnego mamuta
sam jestem gadem
obok innych wspanialszych gadów
pożerających mnie na śniadanie
po raz setny
z tym samym apetytem płatnego mordercy
kamieniczek przydrożnych wyciągniętej
zdrady noża zamiast podanej ręki
w noc ciemną obojętnością
przechodniów mijających
trupa
byle szybciej do własnej
wygody rozłożonego tapczanu w kącie
telewizora z kopciami
żoneczką cieplutką jak pierzynka
książeczką spokojną
haftowaną rogami jelenia na rykowisku
to nic że ktoś inny
kona
za oknem byle nam było wesoło
prztylnie w tym mieście gdzie Neptun
każdego wita trójzębnym
spojrzeniem poranka letniego wśród kropeł
deszczu mieniących się tęczą kwaciarek
sprzedających goździki na grób
albo wesele
huczne szampanem krwi przelanej
we wszystkich wojnach zakonnych
szwedzkich tatarskich gdzie głowy odcinano
równiuteńko toporem szablą wzdłuż

i z natury mam niechętny stosunek do każdej władzy, na dobrą sprawę jest to stosunek na „nie”. Tak było przed wojną, wychowałem się w duchu sprzeciwu, protestu. Władzy należało bać się a jednocześnie kwestionować jej zasadność. Tutaj nagle znalazłem się w sytuacji zupełnie innej. Zobaczyłem tych czcigodnych panów mówiących do mnie jak do przedstawiciela władzy (miałem tą władzę uwiarygodnić), też więc się czułem nieskładnie. W dodatku ci ludzie zachowywali się tak dziwnie... Tu dygresja. Przed wojną był poseł Jakub Bojko. Chłopi myśląc się, zachodzili odziani w sukmany do mojego ojca, który postem nie był, kłaniali się w pas i zanim ojciec im wyjaśnił, że to omyłka, tamci już opowiadali dtużo i namiętnie z jaką to sprawą do pana posta przyszli. Wiele w tym było ze stosunku pana do poddanego. Dobrze to jest na filmach oglądać, niezbyt zreżymie przeżywać to samemu. Bo też w takich lansadach snuli się do mnie ci panowie. Szeptem coś do siebie mówili, zakola jakieś czynili. O co tym ludziom właściwie chodzi, pytałem sam siebie w duchu. Okazało się, że przyszli

ażebym się upomnieć o krzywdy wyrządzone Kaszubom w przeszłości. O Kaszubach to ja słyszałem uprzednio, że jest sobie taki lud, jakieś legendy on ma, mity jakieś, piosenki. Prawdy obiegowe znałem, może nawet mniej.

— Krzywdy, to słowo wówczas padło?

— Mieli konkretne zarzuty, mówili o przypadkach dyskryminacji. Przypominali lata okupacji i partyzantkę pomorską. Z nazwiska wymieniali działaczy dopuszczających się krzywd wobec byłych żołnierzy podziemia. Cały czas wyglądało jakby czegoś się bali. Ale czego? Starłem się ich ośmielić.

I tak się zaczęło. Przychodzili do mnie jeszcze nieraz, ja odwiedzałem różne miejsca. Coraz bardziej krystlizował się program żądań Kaszubów wobec władzy; zamykał się on w dwóch jakby punktach: pozwolenie na założenie własnej kaszubskiej organizacji oraz na wydawanie własnego pisma. W dalszej kolejności szły kwestie konkretnych nieprawości.

skroni jak tylko obyczaj
kazał po szlachecku
z honorem
ginęliśmy wszyscy za ojczyznę
miodem najpiękniejszej kochanki pachnąca
nie żalowaliśmy niczego
zawsze w pierwszych szeregach
na frontach całego świata
my
Polacy waleczni odznaczeni krzyżami
najczęściej brązowymi udekorowani
szarfą polnej ziemi
dumni jak żaden inny naród
świata
trwamy teraz wszyscy razem
w ciągłości a jednak osobni w sprawach
własnych trwamy skurczem serca
wypełnieni po wzrok
mojej świadomości skąd wychodzę
ze spuszczoną głową
samotny
w ogóle nie znający siebie na tyle abym
mógł rozpoznać odbicie dzieciństwa
w tłumie pędzącym do kas biletowych
urlop w górach na mazurek
a ja pasący krowy
a ja rozlepiający papierki po cukierkach
jak skrzydła motyla który odleciał
zostawiając smutek
kołujący skowronkiem gdzieś daleko
pod chmurami i w zbożach nęcących
kłosującym szumem
ciszy nasłuchujących krów południa
słonecznego
tyle pamiętam ale to zbyt mało
jak na moje trzydzieści lat
wiek męski
kłęski
na pewno zdążymy do przedszkola Pawelku
niech tylko autobus nadjedzie
a jeszcze zatańczymy w przedszkolu
w białych majteczkach

zobaczysz będziemy pierwszą parą
na balu zobaczysz
polecimy w gwiazdne ogrody spadających
światel kupimy sobie złoty księżyc
a potem wypłyniemy na sam koniec
świata na bezludną wyspę
i w piachu zasadzimy skowronki
jak drzewa wysokie
a z czerwonych jablek śpiewu
zbudujemy smaczne domy
kościół cały zamki
znacznie smaczniejsze od piernikowego
szczęścia zobaczysz pójdziemy sobie w las
głęboki za siódme morza za siódme rzeki
wyjdziemy z brzucha tego wielkiego miasta
wyskoczymy z bielejących zębów supersamów
z kiszek domów towarowych
zaułków rżęs szerniałych
gniewem morskich topielic nawołujących
syrenim głosem neonów do łona rozpusty
wyniosłej daleko ponad błękit
hotelów klasy luks
gdzie uczymy się wszyscy rachunków własnych
ciał odstających członkami od sumienia
gdyż chodzi głównie o to jak mówi
pan dyrektor aby pokryć dokładnie
miejsca puste aby wyrównać
do bilansu zerowego
niech wszyscy będą zadowoleni
alfons prostytutka minister zakonnica
każdy niech ma swoje
niech niesie swój krzyż albo spada
z krzyżem tam gdzie wzrok węża popadnie
ostatecznie jedziemy na tym samym
wózku nad ranem w obcym
mieście gdzie tylko wieże kościołów
krwisto mrugają do siebie piorunami
gdzie człowiek sprzedaje człowieka
gdzie człowiek zjada człowieka
na śniadanie obiad kolację z porcją
musztardy szczyptą soli
ziarnkiem czosnku

GDAŃSK
Stanisław Gostkowski

— W nieprzyjmowaniu choćby młodzieży kaszubskiej na uczelnie Wybrzeża.

— O właśnie, ta sprawa szeroko była poruszana. Lecz szło nade wszystko o zwiększenie przedstawicielstwa Kaszubów we władzy lokalnej i wojewódzkiej, w sejmie itp.

No i zaczęły się moje podróże i spotkania. Z Neclem we Władysławowie, z Bukowskim, z Fenikowskim, z Tredrem w jego kartuskim muzeum. Stopniowo zmieniał się też mój stosunek do całej sprawy. Od obowiązku wynikającego z mojej misji do zainteresowania się kaszubszczyzną jako fenomenem kultury. Wszystko było dla mnie absolutnie nowe. Zobaczyłem godność, spokój, pewność bycia u siebie, gospodarzem. Wkrótce doszła euforia spotkania z Helenką Knut, z Gulgowską, we Wdzydzech cały dzień spędziłem.

— Przypomnę w tym miejscu pańskie ówczesne słowa: *W Muzeum Wdzydzkim (rekonstrukcja po spalonym, założonym przez Gulgowskiego) oglądałem oprawną w skórę księgę zawierającą nagrody, podziękowania i dyplomy uznania za wyniki w dziedzinie haftu i plecionkarstwa. Gulgowsky osiągnęli podwójny cel — ulżyli doli chłopów odkrywając nowe źródła zarobkowania, a ponadto wskrzesili stare rzemiosła, nawiązując pieczołowicie do tradycyjnego wzornictwa kaszubskiego. Dziś szkoła haftu Gulgowskiej promieniuje na inne ośrodki, a w samej wsi mogłaby się ślicznie rozwijać. Cóż, utalentowane hafciarki przekwalifikowały się na szwaczki. Szyją damskie koszule nocne dla spółdzielni w Gdyni, która szczerą ręką płaci 7.50 za sztukę (ciekaw jestem kosztów własnych, skoro cena sprzedażna wynosi 104 zł). Szwaczka zarabia przeciętnie 14 zł w ciągu ośmiu godzin pracy. Musiały więc jeszcze mniej uzyskiwać przy hafcie, skoro uznały to za zajęcie nieopłacalne. CPLIA zaleca uskromnienie wzorów, ograniczenie zahaftowanej powierzchni płótna, równocześnie utrzymując wysokie, nawet kilkusetprocentowe narzuty. Deshabille po 7.50 szyje również Helena Knut, uzdolniona plecionkarka, wielokrotnie nagradzana i wyróżniana za misterne wyroby z korzeni sosny. Z niewielkim zespołem podjęła pracę, którą zapoczątkował ongiś Gulgowski.*

— Jakież to wszystko wokół było urokliwe. Te nuty kaszubskie, te gadki, Jasio Piepka i jego poezja, on sam taki skupiony. Kaszubi zaimponowali mi. Czulem się bardzo głupio. Wozili mnie, pokazywali, patrzyli na mnie jak na uosobienie władzy. A przecież nie mogłem czuć się jak turysta, który podziwia te wszystkie ciekawostki, raczej jak ktoś kto wybrał się do Canossy. Wstyd mi było, że przeżyłem tyle lat w Polsce nic o niej nie wiedząc. Swojej zaściankowości, bo to siedzi się w tej Warszawie nic o kraju nie wiedząc. Niby to wiadomym było, że o wszystkim wiedzieć niepodobna — pochodzę z Polesia — a przecież było mi przykro.

Dopiero później zorientowałem się w różnicach dzielących tych ludzi. Niektórzy bowiem z nich zdawali się oglądać za siebie, myśleli o Kaszubach w kategoriach historycznych, inni bardziej byli zorientowani na współczesność. Dowiadywałem się zatem, że byli poeci, pisarze Ceynowa, Majkowski, dawano mi książki do czytania. Ja nie miałem czasu, po co innego w końcu przyjechałem na Wybrzeże. Tymczasem powiodło mnie do zgoła innych spraw, nie politycznych. Zainteresowałem się Kaszubami jako fenomenem oryginalnej kultury z własnym dialektem i własną niepowtarzalną kulturą i literaturą. Więc oni chcieli — wciąż mi o tym mówili — zachować ciągłość w myśleniu i działaniu na rzecz swojej małej ojczyzny. chcieli móc pisać, drukować.

— Takie więc były okoliczności powstania pisma „Kaszëbë”...

— O którym, pamiętam, w pewien czas potem, pisaniem w „Nowych Drogach”.

— Zresztą jako o najlepszym piśmie regionalnym w Polsce, co bardzo wówczas Kaszubów i samo pismo pokrzepiło.

— Niechcący zatem stałem się rzecznikiem sprawy Kaszubów, nie będąc do tego przygotowanym, tylko czysto intuicyjnie, po ciemku posuwałem się, przyjmując co słusz-

ne, odrzucając co nietrafne. Kierowany poczuciem, że stanowią mniejszość, iż są słabsi. A tak mnie wychowano w ruchu rewolucyjnym, że rewolucja staje zawsze po stronie słabszych, choć jest to chrześcijańska zasada, odpowiada mi to. Obowiązkiem rewolucjonisty jest bowiem okazywanie pomocy słabszym. Pewne luki w mojej świadomości wypełniły dwie osoby — Róża Ostrowska i Lech Bądkowski. On — Pomorzanie, ona — Wilnianka, oboje podlegli fascynacji Kaszubami. Słowo o Róży: gdyby ktoś mógł beatyfikować takie osoby, to ją właśnie bym widział w ich rządzie.

—Dziś bardzo by nam się przydało.

— Jak słyszałem Annę Walentynowicz, to sobie Różę przypomniałem. To jest podobna czystość wewnętrzna, którą chcemy widzieć u świętych.

(W tym momencie wyciągnęła książkę Róży, tę niedokończoną, pośmiertną, odczyta słowa wstępu pióra jej redaktora Aliny Walczak.)

— Każdy kto przechodzi przez mój dom otrzymuje tę książkę do przeczytania.

Tak więc oni oboje, rozmowy z nimi, z Różą i Leszkiem, wypełniły mi tę lukę, z nimi spotkania niemal codzienne. I do dziś Leszka uważam za człowieka z którym mam kontakt duchowy. Gdy więc został rzecznikiem „Solidarności” (jak to się historia powtarza), nie zdziwiłem się wcale.

— Co zaś udało się wtedy załatwić?

— Przede wszystkim powołać do życia Zrzeszenie Kaszubskie. Mój udział jest tu bardzo skromniutki, polegał na zneutralizowaniu oporów, podejrzeń, wahań, posądzeń o nacjonalistyczne odchylenie.

— Bardzo ważna sprawa.

— Robilem to zresztą odważnie dosyć, wciąż się narażając. W tym jednak miejscu muszę powrócić do kultury. Jeżeli ta ludność zachowała taką kulturę, własną kulturę, polską, ale... No właśnie. Po latach to sobie przypominałem będąc na Okinawie, gdzie spotkałem się z podobną

Dr Szymon Bojko, l. 62, absolwent historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim, temat pracy doktorskiej: „Dzieje plakatu polskiego”. Interesuje się współczesną kulturą popularną, komunikacją wizualną (plakat), sztuką początków XX wieku — specjalność: konstrukttywizm, o którym pisze książkę. Wykładowca na PWSSP w Łodzi, współpracuje z wieloma muzeami w kraju i za granicą. Stały korespondent pism zagranicznych traktujących o sztuce: „Art and Artists” (Anglia), „Graphic design” (Japonia), „Interpress Graphic” (Węgry), „Typos” w Londynie, stały autor pisma „Projekt”, „Scena” i „Kino”. Przed laty w gronie przyjaciół, zyskał miano „kolorowy Bojko”.

opinią tubylców o nich samych: „Japanese but...”. I właśnie o to „ale” chodzi. „Ja jestem Polak, ale...” Na Okinawie też mówią innym językiem, historia się na to złożyła. Podobnie na Kaszubach.

— Chciałbym w tym miejscu powołać się na słowa niedawno przeczytane a dotyczące przemówienia wygłoszonego przez rodowitego Kaszuba krótko po wojnie na zjeździe ludowców. „Na trybunę wszedł niepozorny, młody jeszcze człowieczek, który zaczął przemawiać... po kaszubsku. Mimo że na sali w ciągu trzech dni obrad słychać było narzecza i akcenty ze wszystkich stron Polski, także góralski; ta mowa była prawdziwą niespodzianką. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że narzecze kaszubskie jest najbardziej zbliżone do jakiejś pierwszej prasłowiańskiej mowy, toteż szczególnie wzruszony tym językiem spoza stuleci, słuchałem jak Józef Gniech z Wejherowa przemawiał do nas imieniem nadmorskiego plemienia”.

(Dokończenie na str. 46)

Cenzura – ale jaka?

Ewa Górka

W Porozumieniu Gdańskim w sprawie trzeciego punktu postulatów strajkowych ustalono, że rząd wniesie do Sejmu w terminie trzech miesięcy projekt ustawy o kontroli prasy, publikacji i widowisk, projekt który zagwarantuje wolność słowa, druku i publikacji. Sprawa ta stała się przedmiotem wielkiego zainteresowania całego społeczeństwa i licznych dyskusji, z których wynika, że wszyscy mają świadomość jak wielkiej wagi jest to problem.

Rozwój kultury, swoboda przepływu informacji, możliwość autentycznej krytyki dotyczącej różnych dziedzin życia politycznego, społecznego i gospodarczego – to wszystko zależy od zakresu, metod i form działania Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Trudno bowiem mówić o swobodnym rozwoju kultury narodowej wtedy, gdy wartościowe dzieła literackie krążą w odpisach, powielane tylko dlatego, że ich autorzy narazili się swoją bezkompromisową postawą; podobnie jak trudno się pogodzić, aby z tych samych przyczyn pewne nazwiska twórców kultury były w ogóle wymazywane z oficjalnych publikacji. Z kolei tłumienie wszelkiej społecznej krytyki, której skutkiem jest bezkarność decydentów w ich poczynaniach sprzecznych z interesem społecznym oraz tłumienie inicjatyw społecznych, które nie mogły być publicznie prezentowane, musi prowadzić do tego, co się stało w polskiej gospodarce.

Z tych wszystkich względów nowa ustawa o cenzurze jest tak ważna dla naszego życia społecznego. Dwa jej projekty powstały już w listopadzie niezależnie od siebie. Autorzy jednego projektu wywodzili się z grona prawników i publicystów. Drugi projekt opracowany w Ministerstwie Sprawiedliwości nie uwzględniał wielu dezycydatów opinii publicznej i został oceniony jako nie odpowiadający intencji postulatów zawartych w Porozumieniu Gdańskim.

Wiele środowisk naukowych i kulturalnych czynnie włączyło się do prac nad cenzurą opracowując własne lub też opiniując powstałe projekty ustawy. Z powodu przedłużających się prac nad ustawą termin wniesienia przez rząd do Sejmu ustawy został przedłużony do 15 stycznia. Od 4 grudnia ub. roku do 14 stycznia br. nad projektem ustawy pracowała komisja, w której skład wchodziła przedstawiciele rządu, Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych i NSZZ „Solidarność”. Po zakończeniu prac został ustalony wspólny komunikat, który nie został jednak opublikowany. Podawano natomiast nieprawdziwą informację, że prace nad projektem ustawy będą kontynuowane, a to z racji rozbieżności stanowisk wobec niektórych przepisów. Ostatecznie powstał więc dwuwariantowy projekt ustawy, który od 14 stycznia oczekuje na wniesienie do Sejmu.

Rozbieżności stanowisk zaczynają się już w art. 2 ustawy wymieniającym zakres ograniczeń w korzystaniu z wolności słowa i druku: w p. 2 w wariantcie Ministerstwa Sprawiedliwości nie dozwala się „...godzić w konstytucyjny ustroj Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, a w wariantcie społecznym „nawoływać do obalenia konstytucyjnego ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Sformułowanie w wariantcie MS stwarza możliwość bardzo rozszerzonej interpretacji „ustroju konstytucyjnego”, nie mówiąc już o tym, że i pewne usprawnienia ustrojowe z nowelizacją konstytucji włącznie w każdym rozwijającym się społeczeństwie nie mogą być z góry wyeliminowane.

W tym samym artykule w p. 3 wg wariantu MS nie można „godzić w sojusze i inne ważne interesy międzynarodowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, natomiast wariant społeczny te „ważne interesy międzynarodowe” pomija. Cóż bowiem jest tym ważnym interesem, a co nie jest i jak to obiektywnie ocenić? No i co to za tajemnicze ważne interesy jeżeli w innych paragrafach wymienia się tajemnicę państwową, gospodarczą itp.

Artykuł 4 w 23 punktach podaje te treści, które są wyłączone spod cenzury. Strona społeczna proponuje uzupełnienie tego rejestru o „gazety i czasopisma związków zawodowych przeznaczonych dla ich członków i opatrzonych taką klauzulą”. Proponuje również, aby wyłączeniem spod kontroli objąć nie tylko publikacje nieperiodyczne wydane w Polsce Ludowej, które już uprzednio uzyskały zezwolenie na druk, ale wszystkie publikacje już raz wydane oficjalnie.

W art. 6 wariant Ministerstwa Sprawiedliwości przewiduje podporządkowanie Głównego Urzędu Radzie Ministrów, a co za tym idzie powoływanie Prezesa Głównego Urzędu przez Prezesa Rady Ministrów. Strona społeczna wychodząc z założenia, że bezpośredni nadzór nad ograniczeniami w korzystaniu z wolności słowa powinien spoczywać na tym organie, który pozostaje w bezpośredniej więzi ze społeczeństwem, proponuje podporządkowanie Głównego Urzędu Sejmowi oraz powoływanie prezesa GUKPPIW przez Sejm na wniosek specjalnej komisji sejmowej. Komisja ta rozpatrywałaby również kwartalne sprawozdania z działalności GUKPPIW przedstawione przez jego prezesa oraz zażalenia i wnioski dotyczące pracy urzędów kontroli składane przez obywateli i organizacje społeczne.

Analogicznie do tych ustaleń w art. 8 w wariantcie MS proponuje się, aby organizację wewnętrzną Głównego Urzędu oraz okręgowych urzędów określał statut nadany przez Radę Ministrów na wniosek prezesa Głównego Urzędu, a w wariantcie społecznym, aby określał ją Sejm w drodze uchwały. To samo dotyczy szczegółowego trybu sprawowania kontroli przez okręgowe urzędy oraz Główny Urząd (art. 12).

Artykuł 14, sformułowany tylko przez stronę społeczną, przewiduje, że „na żądanie autora wydawca lub organizator wystawy obowiązany jest zaznaczyć w tekście lub w układzie wystawy ingerencję urzędu kontroli”. Ma on zapewnić jawność działania cenzury, broniąc jednocześnie prawa autora i czytelnika do rzetelnego przekazu i odbioru informacji.

Artykuł 15, istniejący też tylko w wersji społecznej, dotyczy debitu udzielanego publikacjom zagranicznym. Do tej pory istniał przedziwny zwyczaj, że o tym czy publikacja zagraniczna zagraża interesom państwa decydowali funkcjonariusze urzędów celnych. Dowolność dokonywanych konfiskat zostanie ograniczona, gdy prezes GUKPPIW odpowiednim zarządzeniem będzie uprawniony do pozbawienia „prawa rozpowszechniania na terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej określonych tytułów publikacji ukazujących się za granicą”. Jednocześnie przewiduje się, że przepis ten nie będzie miał zastosowania do bibliotek i towarzystw naukowych oraz stowarzyszeń twórczych, a także, że prezes GUKPPIW będzie udzielał zezwoleń na sprawowanie publikacji objętych zakazem rozpowszechniania instytucjom i osobom, którym są one potrzebne dla celów zawodowych, a odmowa

takiego zezwolenia będzie podlegała zaskarżeniu do Naczelnego Sądu Administracyjnego. W ślad za tym przepisem w art. 20 w wariantcie społecznym przewiduje się, że straci moc odpowiedni przepis Prawa Celnego odnoszący się do tzw. debitu komunikacyjnego.

Kolejnym artykułem, proponowanym również tylko przez stronę społeczną jest art. 17 dotyczący tajemnicy państwowej i gospodarczej oraz prawa prasowego — przewiduje się, że w ciągu 6 miesięcy od wejścia w życie ustawy o cenzurze Rada Ministrów powinna przedstawić Sejmowi projekty odpowiednich ustaw związanych z tymi zagadnieniami (dokładne sprecyzowanie zakresu tajemnicy państwowej i gospodarczej było przewidywane w Porozumieniu Gdańskim).

Z kolei art. 18 istnieje tylko w wersji Ministerstwa Sprawiedliwości: „Kto uchyla się od kontroli określonej w ustawie albo nie stosuje się do zakazów wynikających z decyzji okręgowego urzędu lub Głównego Urzędu podlega karze aresztu do 3 miesięcy lub karze grzywny do 5000 zł”. Przepis ten godzi przede

wszystkim w publikacje ukazujące się poza zasięgiem cenzury, które zostały wykreślone z oficjalnego obiegu arbitralnymi decyzjami władz. Oczywiście należy mieć nadzieję, że źródła i przyczyny podwójnego obiegu kultury i informacji zostaną zlikwidowane. Póki to jednak nie nastąpi stosowanie aresztu może przyczynić się do **zaostrzenia nastrojów społecznych** (o czym mowa jest w uzasadnieniu wariantu społecznego).

Dwuwariantowy projekt ustawy o cenzurze był w ostatnich tygodniach dyskutowany w różnych środowiskach, był również przedmiotem licznych artykułów informacyjnych, oceniających bądź polemizujących z pewnymi przepisami. Różne instytucje wysyłały i wysyłały listy do Sejmu, w których wyrażają poparcie dla wariantu społecznego, a całe społeczeństwo z niecierpliwością oczekuje wprowadzenia nowej ustawy o cenzurze. O tym, który wariant zostaje w tej ustawie uwzględniony zadecyduje Sejm; należy mieć nadzieję, że tym razem okaże się on rzeczywiście wyrazicielem opinii publicznej, a jego decyzja będzie zgodna z oczekiwaniem całego społeczeństwa.

U studentów Nowy ruch — nowe nadzieje

Donald Tusk

Trwał jeszcze sierpniowy Wielki Strajk na Pomorzu, gdy grupa studentów Uniwersytetu Gdańskiego rozpoczęła pierwsze działania na rzecz nowej organizacji studenckiej. Prosto spod bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej, gdzie formułowano już pierwsze punkty apelu (pod którym później miały znaleźć się podpisy studentów i naukowców całej Polski), kilkuosobowa grupa przeprowadziła pierwsze zebranie studenckie po przełomie. Do późna w nocy wyglądaliśmy nasz pierwszy dokument, wspomniany już apel, któremu ostateczny kształt nadał Andrzej Zarębski. Obok postulatów o znaczeniu fundamentalnym, dotyczących powstania niezależnej organizacji studenckiej, autonomii uczelni czy ograniczenia cenzury znalazł się również punkt domagający się przywrócenia do życia „Neptunaliów”. Apel kończył się słowami: „Zabierając głos w chwili, gdy we wszystkich środowiskach polskich dyskutuje się nad uzdrowieniem polityki, ekonomiki i życia społecznego w naszym kraju, liczymy na uważne wysłuchanie nas. Żądamy demokracji, bo jest to jedyna droga wyjścia z obecnego kryzysu”. Ale wróćmy na chwilę do historii. Dzieje niezależnego ruchu studenckiego nie zaczynają się przecież w Sierpniu 80 r. Po osławionym już „zjednoczeniu” ruchu studenckiego w 1973 r. (co stało się jedną z najważniejszych przyczyn upadku społeczności studenckiej i jej kultury), po wcześniejszym jeszcze, ale z wyjątkowo długo trwającymi skutkami kacu marcowym, środowisko studenckie usiłuje od nowa konstruować swe niezależne życie na uczelniach. W 1976 r. rozpoczynają swoją działalność SKS-y (Studenckie Komitety Solidarności), które szczególnie w Krakowie, Warszawie i Wrocławiu oraz Poznaniu stały się stosunkowo silne. Związane od początku z opozycją demokratyczną, były bezlitośnie tępiące przez część władz uczelnianych i przede wszystkim przez

SB i MO. Gdański SKS istniał raczej krótko, ale między innymi z szeregów jego sympatyków i działaczy wywodzili się późniejsi współpracownicy Wolnych Związków Zawodowych, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela czy Ruchu Młodej Polski. Słabość przedsierpniowego gdańskiego ruchu studenckiego rekompensowało w pewnej mierze uczestnictwo sporej części studentów w nieoficjalnych manifestacjach 3 Maja, 11 Listopada czy grudniowych pod stożniową bramą nr 2. I nie przypadkowo pierwsi działacze Tymczasowego Komitetu Założycielskiego nowej organizacji akademickiej wywodzą się właśnie z tych „niepokornych”. To „opozycyjne” doświadczenie, choć z reguły niewielkie, przydało się w momencie, gdy trzeba było uruchamiać własne urządzenia poligraficzne — urządzenia, czyli wałek, kawałek filcu i flaneli i plaster.

Pierwsze spotkanie już z większą ilością studentów odbyło się 2 września ub. roku w holu Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego. Właśnie wtedy, z inicjatywy autorów apelu powstaje Tymczasowy Komitet Założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich. Nie od razu jednak udało się nakłonić wszystkich do działania. Nie ustąpił całkowicie strach. Część studentów nie przeżyła Sierpnia (byli po prostu na wakacjach), na większości ciążył jeszcze strach — dziedzictwo poprzednich lat. Dla wielu było szokiem, że można swobodnie mówić o wszystkim, co dotyczy nie tylko uczelni, ale i kraju. Obawiano się represji, nieufnie patrzono na kontakty członków Tymczasowego Komitetu Założycielskiego z przedstawicielami ugrupowań opozycyjnych. W sumie jednak praca posuwała się naprzód.

Już w pierwszych dniach września zaczynali się pojawiać u nas przedstawiciele innych uczelni, początkowo trójmiejskich, z czasem z pozostałych ośro-

ków akademickich. Coraz bardziej wzrastało zainteresowanie naszą inicjatywą w MKZ-cie, przybywali dziennikarze, również zagraniczni. Nasz apel trafił na Politechnikę Gdańską, AMG i Wyższą Szkołę Morską. Specjalni wysłannicy rozwiezli go do innych miast. Rezultaty pojawiły się szybko. 5 IX powstają TKZ-y na Politechnice i WSM, w dzień później na AMG. Rozpoczyna się ruch w Poznaniu, Krakowie, Warszawie i Bydgoszczy. Studenci tych ośrodków przyjeżdżają do nas po instrukcje i materiały. Powstają pierwsze TKZ-y w Warszawie i Poznaniu, zaczyna organizować się Lublin.

W Gdańsku powstaje pierwszy projekt programu działania NZSP. Powstaje Komisja Statutowa — efektem jej prac jest, zmieniany później dziesiątki razy, projekt statutu nowej organizacji. We wstępie do programu działania czytamy: „Celem Zrzeszenia jest walka o autonomię kultury i nauki, w tym o pełną autonomię wyższych uczelni, o demokratyzację życia w kraju i realizację praw człowieka i obywatela”.

Dwa główne problemy, których wyjaśnienia domagali się od nas właściwie wszyscy, stanowiło określenie politycznego charakteru nowej organizacji i jej stosunku do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. TKZ określał Zrzeszenie mianem apolitycznego, co nigdy nie miało jednak oznaczać, że nie będzie się ono polityką zajmować. Chodziło o to, że wszelkie działania Zrzeszenia nie będą ograniczane ideologią czy doktryną, że będzie ono otwarte dla wszystkich studentów, bez względu na ich przekonania. Walka miała się toczyć o jedność działania bez jedności ideowej, bez narzuconej przez kogokolwiek ideologii. Siłą rzeczy jednak, nowa organizacja była robiona dla tych studentów, którzy chcąc aktywnie przeżyć lata studiów, nie widzieli się z różnych względów w SZSP. Niepokoję, a zarazem nasze oczekiwania i wizję przyszłości w tym czasie oddaje tekst rozpowszechniany na wielu uczelniach w formie ulotki: „Zasadność powstania nowej, niezależnej organizacji studenckiej uwa- runkowana jest wieloma względami. Zaczniemy od najważniejszych. Strajki sierpniowe spowodowały przemiany, których skutki umożliwiają autentyczną demokratyzację życia w Polsce. Stanisław Kania stwierdził, że demokracja nie jest gestem władzy wobec społeczeństwa, tylko potrzebą chwili. Trzeba dodać, że jest również owocem walki, zwycięskiej walki klasy robotniczej. System władzy niedemokratycznej został naruszony; teraz od wszystkich Polaków zależy, jak wykorzysta się szansę stworzoną przez Sierpień.

Ruch studencki, ze względu na jego specyfikę, ma wszelkie dane, aby w sposób bardzo znaczący przyczynić się do demokratyzacji życia. Dotychczas było niestety inaczej. Oficjalny reprezentant studentów — SZSP, należy do szeregu tych instytucji, które są rozliczane przez społeczeństwo. Był jednym z ogniw systemu i siłą rzeczy stał po stronie tych, których zmuszono do ustępstw na rzecz demokratyzacji.

Zarzuty wobec SZSP formułowane były nieraz. Sprowadzmy do generaliów. Jasno określony, marksistowsko-leninowski charakter tej organizacji, uniemożliwiał ludziom o odmiennym światopoglądzie brać udział w działalności studenckiej. Scentralizowana struktura SZSP paraliżowała skutecznie ruch studencki, a wielu działaczy SZSP i to na eksponowanych stanowiskach nie było po prostu studentami. Jednak najdalej idąca krytyka, najbardziej posunięta odnowa tej organizacji nie jest w stanie zastąpić idei utworzenia niezależnej organizacji studenckiej, która współdziałając z niezależnym ruchem związkowym, będzie uczestniczyła w procesie demokratyzacji życia.

Głównym celem studentów jest oddolne tworzenie nowego ruchu, niezależnego od władzy, samorządno-

acentalistycznego, mieszczącego się w realiach uczelni autonomicznej.

Z wieloma inicjatywami odnowy wystąpiło SZSP. Ale odnowa kierowana od góry (SZSP w sprawach najważniejszych było zawsze pasem transmisyjnym pomiędzy władzą a studentami) nigdy nie będzie odnową autentyczną.

Słowa: »niezależność, samorządność, autonomia«, pięknie brzmiące, mogą stać się pustymi frazesami, jeżeli studenci po raz któryś tam z rządu oddadzą inicjatywę w inne ręce. Idea ruchu prawdziwie wolnego i prawdziwie studenckiego, obejmującego marksisistów, katolików, ludzi innych wyznań i innych prądów może stać się praktyką, jeżeli to my, studenci, będziemy ją realizować. Nie potrzebne nam wtedy będą instrukcje i decyzje władzy ubierane w szatki inicjatywy SZSP. Krytyka SZSP nie jest nawoływaniem do nocy długich noży. Jest po prostu krytyką niedemokratycznego, inspirowanego ogólnie ruchu studenckiego. Charakter i cele organizacji mają być zgodne z intencjami studentów, a nie intencjami władzy. Już nigdy organizacja studencka nie może stać się strażnikiem pokory i lojalności studentów wobec państwa”.

Utworzenie w połowie września Międzyuczelnianej Komisji Koordynacyjno-Porozumiewawczej pozwoliło uporządkować nasze działania. Powstało również pierwsze niezależne studenckie pismo „Reduta”, wychodzące na UG do dnia dzisiejszego. NZSP rosło w siłę nie tylko ilościowo, ale i praca nabierała większego sensu i rozmachu. 22 IX odbyło się pierwsze ogólnopolskie spotkanie TKZ-ów. Już wtedy na ponad 50 uczelniach działały nowe organizacje. Zarówno ten pierwszy zjazd, jak i następne, były trudną lekcją raczkującej studenckiej demokracji. Uczyliśmy się rzeczy nowych, ulegaliśmy też często starym nawykom. Po trudnych, dziwnych, często wręcz śmiesznych spotkaniach doszło jednak do wspólnych ustaleń. Powstał Ogólnopolski Komitet Założycielski, którego głównym celem działania było zarejestrowanie Niezależnego Zrzeszenia Studentów, bo taką w końcu nazwę przyjęto. Problemy z tym związane, a przede wszystkim nieprzychylnie stanowisko ministra Górskiego, stwarzały wiele kłopotów. Dopiero łódzki strajk pozwolił zrealizować część akademickich postulatów, stał się podstawą do współtworzenia oblicza nowej autonomicznej uczelni i zalegalizowania Zrzeszenia.

Sytuacja NZS (w całej Polsce tylko AMG pozostała przy starej nazwie — NZSP) jest bardzo różna na różnych uczelniach. Rzadko co prawda spotykano się z utrudnieniami ze strony władz uczelni czy starej organizacji, częściej sami studenci nie wyrażali większej ochoty działania. Jednak szereg inicjatyw spotkało się z uznaniem środowiska. Na Uniwersytecie Gdańskim od wielu miesięcy funkcjonuje Towarzystwo Kursów Naukowych (na innych uczelniach również), organizowane są spotkania z niezależnymi działaczami politycznymi i społecznymi. Na spotkaniu z Jackiem Kuroniem zjawilo się ponad 1000 osób. Powstało wiele niezależnych, często na wysokim poziomie graficznym i merytorycznym, pism studenckich. NZS opiekowało się również rodzajem się w bólach samorządem uczelnianym. Dotychczasowe przedsięwzięcia nie są jednak z pewnością imponujące. Fakt powstania nowej organizacji nie zlikwidował pleniącego się od lat marazmu i tumanizmu, nadal bardzo trudno sprokować akademicką brać do żywszego działania. To jednak dopiero początki. W tej chwili NZS liczy prawie 100 tys. członków i działa na wszystkich uczelniach kraju (poza wojskowymi i milicyjnymi). Największa nadzieja w przyszłych rocznikach studenckich, które wychowane w innym klimacie politycznym mają szansę odrodzić ruch akademicki, ruch o wspanialej tradycji i równie wspaniałych szansach.

Chłop potęgą jest i basta

Nina Rasz

Komunikat radiowy był krótki, lakoniczny. 16 marca grupa rolników rozpoczęła strajk okupacyjny w gmachu Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Bydgoszczy. Tylko tyle. Przyczyn i celu protestu nie podano.

Tę akcję protestacyjną, która po miesiącu zakończyła się sukcesem, poprzedziło wiele innych.

22 stycznia we Włocławku Związek Zawodowy Ziemi Dobrzyńskiej i Kujaw „Solidarność Chłopska” zorganizował demonstrację uliczną. Uczestniczyło w niej około dwa tysiące chłopów. Pochód zatrzymał się przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego, gdzie delegacja złożyła wojewodzie włocławskiemu petycję, w której chłopcy żądali rejestracji „Solidarności Chłopskiej”, zniesienia zapisu cenzorskiego o działalności tego związku, a także zaprzestania organizowania samorządu wiejskiego metodami administracyjnymi. W tym samym dniu ulice Bydgoszczy zapełniły się traktorami. Uczestnicy tego niecodziennego pochodu udali się do Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych, gdzie złożyli ustny protest przeciwko marnotrawieniu chłopskich pieniędzy, wymuszaniu przez władzę terenową przyjmowania statutów SKR, ignorowaniu skarg rolników. Jednakże w tej, wydawałoby się powołanej do obrony chłopskich spraw, instytucji, nikt nie zamierzał ująć się za protestującymi. Podobne akcje odbyły się prawie we wszystkich miasteczkach województwa bydgoskiego, a także w wielu miejscowościach gminnych.

Największa i najokazalsza akcja protestacyjna miała miejsce w niedzielę, 8 lutego. Gród nad Brdą udzielił gościny wielu tysiącom chłopów z całego kraju. Przez ulice miasta przemaszerował wielotysięczny tłum z hasłami i transparentami, spośród których wiele nawiązywało do starej formuły chłopskiej „Żywią i bronią”. Na większości jednak widniały żądania rejestracji związku zawodowego rolników indywidualnych. Na czele zwartej kolumny szli kosynierzy w tradycyjnych kościuszkowskich strojach wypożyczonych z teatru.

Uczestnicy pochodu, który wzbudził ogromne zainteresowanie bydgoszczan o godzinie 11.00 wzięli udział w uroczystej mszy w kościele św. Wincentego a Paulo. W wygłoszonej homilii biskup sufragan gnieźnieński Jan Michalski mówił o wielkiej roli chłopów w życiu kraju i poparł ich żądania do prawnego usankcjonowania ich związku zawodowego. Powiedział on m. in.: „Kto mówi rolnikom: nie bez was dla was, a ich prawa naturalnego do samoistnego, niezależnego od różnych kółek, zrzeszenia uznać nie chce, ten niech lepiej nie zabiera głosu, by nie brać na swoje sumienie występków o których mówi Miłoz. Występków przeciw prawu ludzkiemu, co nie wyznawane i publicznie nie naprawiane mogą tylko rozdzielić nienawiść. Nigdy nie zrodzą ładu, nigdy miłości, nigdy przyjaźni między ludźmi”.

Pokrzepieni tym moralnym wsparciem Kościoła polskiego chłopcy ruszyli na Stary Rynek, gdzie pod Pomnikiem Walki i Męczeństwa Ziemi Bydgoskiej oddali hołd poległym w czasie II wojny światowej. Następnie odbył się wiec, na którym przemawiali liderzy NSZZ „Solidarność Chłopska”, NSZZ RI „Solidarność Wiejska” oraz NSZZ „Solidarność”. Przewodniczący bydgoskiego MKZ Jan Rulewski rzucił myśl zwołania nad-

zwyczajnej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej, na której zostaną przedstawione problemy nurtujące rolnictwo. Propozycję tę zgromadzeni gorąco poparli.

W dwa dni później chłopcy dowiedzieli się, że Sąd Najwyższy nie zarejestrował ich związku. Nie podważył jednak ich prawa do zrzeszania się.

Oczekujący w stolicy od samego rana, 10 lutego, liczny tłum chłopów — m. in. ze wsi pomorskich — przed gmachem najwyższej władzy sądowniczej z determinacją przyjął odrzucenie wniosku o rejestrację organizacji, która miała bronić ich interesów, godności, być gwarantem ich pełnych praw obywatelskich. Jednak chłopski ruch związkowy nie ugiął się. Tkwiąca w mentalności chłopskiej przekora kazała rolnikom wyciągać zgola inny wniosek od tego, który ministerstwo sprawiedliwości próbowało narzucić ogłaszając, iż działalność związku zawodowego jest nielegalna: „Skoro nie wolno czegoś robić, to na pewno jest to nasze”. Odmowa spowodowała i to, że związkowy ruch chłopski zgrupowany dotąd w trzech związkach o różnej nazwie, chociaż bardzo zbliżonym statucie, coraz mocniej parł do zjednoczenia. Ambicje liderów, w obliczu zagrożenia, zeszyły na plan dalszy.

Potężniejący z dnia na dzień ruch chłopski coraz bardziej zagrażał uzurpującemu sobie dotąd prawo jedyne reprezentanta wsi polskiej — Centralnemu Związkowi Kółek Rolniczych i jego instancjom wojewódzkim. Urzędnicy nie zamierzali dobrowolnie oddać swych przywilejów. Wszystkie siły zatrudnione w biurokratycznym aparacie skierowano do reaktywowania kółek rolniczych. Ich ponad stuletnia tradycja miała być argumentem nie do zbitcia w dyskusji nad kształtem wiejskiego samorządu.

W Warszawie wymyślono nazwę i wzorcowy statut. W pośpiechu popełniono kilka błędów. Zapomniano, że Gminny Związek Kółek i Organizacji Rolniczych — taką bowiem nazwę nadano samorządowi wiejskiemu — większości kojarzy się ze Spółdzielniami Kółek Rolniczych, które u chłopów nie cieszyły się uznaniem. Zresztą, nie bez powodu nazywali je smutnym końcem rolnictwa. Bardziej obrotli dyrektorzy SKR, wspomagani przez naczelników gmin wzięli sprawę samorządności wiejskiej w swoje ręce i patronowali odradzającym się kółkom rolniczym, nazywając to po mocą organizacyjną. Różnie bywało z wyborami delegatów na gminne i wojewódzkie zjazdy. Niekiedy większość mieszkańców wsi dowiadywała się po fakcie, kto ich reprezentuje.

Terminy gminnych zjazdów układano tak, by mogli w nich uczestniczyć z tzw. głosem doradczym wysoko ustawieni w hierarchii WZKR urzędnicy: prezes bądź jego zastępcy. Podpierając się autorytetem swej funkcji robili wszystko, by przekonać chłopów, że wzorcowy statut jest doskonały i nie trzeba go zmieniać. Nie zaw sze się to udawało, bo jaki tu znaleźć argument na pod noszoną przez zebranych wątpliwość: dlaczego — skoro gminny związek kółek i organizacji rolniczych ma być samorządny — to wyższa instancja może uchylić jego postanowienia? Stare trzyma się — komentowali chłopcy ten paragraf, nazywając go kagańcem samorządu.

Trudna była kampania kółkowa na wsi pomorskiej i kujawskiej. Członkowie „Solidarności Chłopskiej” pil-

nowali, aby zebrania wiejskie wybierały autentycznych delegatów. Bydgoski WZKR wziął się na sposób i nie przysłał wszystkim delegatom zaproszeń na zjazd wojewódzki. Tylko wybrańcy dostali się w poniedziałek, 23 lutego do sali Urzędu Wojewódzkiego. Pracownicy delegaci oglądali obrady spoza szklanych drzwi. „Gazeta Pomorska”, dziennik PZPR, tak skomentowała to wydarzenie: „Zjazd w lutym był wyreżyserowany, miały na nim miejsce uchybienia formalne, a co najważniejsze, o terminie zjazdu nie powiadomiono wszystkich zainteresowanych. O dziwo też nie wpuszczono na salę wszystkich delegatów”.

W przedśrodku, przed szklanymi drzwiami toczył się tylko finał przedstawienia. Początków należało szukać gdzie indziej. Należało ich szukać we wsiach, gdzie rolnicy uwierzyli zapewnieniom płynącym z trybun i mównic. Te szklane drzwi stały się symbolem, jak niektórzy zamierzali odnowę potraktować w praktyce. Cóż uczynić za szklanymi drzwiami, oddzielającymi ogólnolotne zapewnienia od codziennej praktyki?

I tym razem chłopcy nie dali się wymanewrować. W niespełna dwa tygodnie później, 8 marca, w Bydgoszczy odbywa się kolejny zjazd kółek rolniczych, zorganizowany przez samych chłopów, podczas którego powołano Radę z prezesem Stanisławem Mojszowiczem, rolnikiem z gminy Koronowo. Nowej organizacji nadano nazwę Wojewódzki Związek Kółek Rolniczych. Przyjeździ, którym trudno było rozemnieć się we wszystkich zawłóściach kółkowych organizacji podzielili je na rządowe, czyli WZKiOR oraz chłopskie czyli WZKR. Te ostatnie złożyły swój statut w Urzędzie Wojewódzkim. Władze jednak nie zamierzały go zarejestrować.

Kiedy w Bydgoszczy odbywał się wojewódzki zjazd chłopskich kółek w gmachu Opery Poznańskiej doszło do zjednoczenia chłopskiego ruchu związkowego. Powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność”. W tajnym głosowaniu prawie jednomyślnie delegaci wybrali jego przewodniczącym, 23-letniego Jana Kułaję, gospodarującego wraz z ojcem na 9-hektarowym gospodarstwie w Cieszacinie Wielkim, woj. przemyskie. Młody wiekiem, zasłużył się chłopskiej sprawie walcząc w Ustrzykach i Rzeszowie, gdzie komisja rządowa podpisała ze strajkującymi rolnikami, którym przewodził Kułaj, porozumienie na miarę porozumień robotniczych z Gdańska, Szczecina czy Jastrzębia. Chłopcy postanowili, że gwarantem tego tak ważnego dla polskiego rolnictwa porozumienia będzie ich związek zawodowy. Władza długo nie chciała się z tym pogodzić. Wybuchy więc coraz to nowe ogniska chłopskiego buntu.

W marcu najbardziej napięta atmosfera panowała w wsiach woj. bydgoskiego. Ich mieszkańcy uporczywie walczyli o demokrację, a nie jej pozory. Nowe władze Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych podjęły próbę rozmów z Radą Wojewódzkiego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych. 12 marca chłopcy spod znaku WZKR dwie godziny bezskutecznie czekali na umówione spotkanie z przedstawicielami WZKiOR. Nie pomogły interwencje u władz politycznych i administracyjnych regionu. Chłopskie kółka wspomógł MKZ NSZZ RI „Solidarność”. Utworzono Wojewódzki Komitet Strajkowy, którego przewodniczącym został członek prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NSZZ RI „Solidarność”, Roman Bartoszcze ze Sławęcina koło Inowrocławia.

Kolejny dialog między kółkami miał nastąpić 16 marca. Rano chłopcy udali się do siedziby WZKiOR. Zastali zaplombowane drzwi i ani żywego ducha w pobliżu. Rozgoryczeni i rozgniewani takim obrotem sprawy przeszli kilkanaście metrów dalej, do gmachu Wojewódzkiego Komitetu ZSL i tam pozostali przez ponad miesiąc.

Na pierwszy plan strajkujący wysunęli problem kółek rolniczych, które winny być tylko organizacjami usługowo - gospodarczymi, a nie społeczno - zawodowymi. Drugim, istotnym postulatem było żądanie zarejestrowania NSZZ RI „Solidarność”, jako jedynej społeczno - zawodowej reprezentacji rolników.

Wielogodzinne rozmowy z władzami administracyjnymi Bydgoszczy, w pierwszym dniu nie przyniosły większych rezultatów. Ówczesny wicewojewoda Roman Bąk parafował jedynie punkt, mówiący o gwarancji

bezpieczeństwa dla strajkujących i osób ich wspierających. Za ledwie przez trzy dni władza dotrzymała danego słowa. Na pamiętnej sesji WRN w Bydgoszczy został ciężko pobity Michał Bartoszcze, ojciec Romana, który w gmachu WK ZSL przewodził strajkującym. Już na drugi dzień strajk bydgoski przerodził się w ogólnopolski.

Wydarzenia bydgoskie z 19 marca zepchnęły na pewien czas sprawy chłopów. Wynegocjowane z rządem przez KKP NSZZ „Solidarność” porozumienie z 30 marca nie zadowolilo ich. Na posiedzeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w ostatnim dniu marca Jan Kułaj stwierdził: „Rolnicy przygotowali żywność dla tych, którzy ich sprawę mieli załatwić. Sprawa nie została załatwiona, lecz rolnicy zostali załatwieni”. Mocne, gorącą postanowienie słowa nie oznaczały rezygnacji. Chłopcy postanowili wziąć sprawę we własne ręce.

Kiedy 3 kwietnia po południu przewodniczący komisji rządowej, wiceminister rolnictwa Andrzej Kacała stwierdził, że niektóre postulaty zostały załatwione porozumieniem warszawskim, Roman Bartoszcze oświadczył, że NSZZ RI „Solidarność” nie obowiązują uchwały KKP. Mimo że rozmowy trwały do późnych godzin nocnych jedynym rezultatem było wyznaczenie następnego spotkania na dzień 14 kwietnia. W tym dniu komisja rządowa nie przyjechała do Bydgoszczy. W dwa dni później w Inowrocławiu w siedzibie Miejsko-Gminnego Komitetu ZSL 120 rolników z Kujaw i Pałuk rozpoczęło strajk okupacyjny. Z tej grupy 27 osób podjęło głodówkę, popierając żądania strajkujących w bydgoskim WK ZSL.

Wczesnym popołudniem nadeszła wiadomość, że wieczorem do Bydgoszczy przybędzie komisja rządowa z ministrem ds. związków zawodowych Stanisławem Cioskiem. Przedstawiciele rządu przywieźli z sobą oświadczenie, które — jak stwierdził min. Ciosek — jest aktem prawnym rządu. Dodał, że komisja jest upoważniona do dokonywania pewnych zmian w tym dokumencie.

Rozpoczęły się długie, trwające do rana negocjacje. Ich efektem był projekt 10-punktowego porozumienia, w którym uznana została m. in. legalność działania związku do czasu rejestracji, jak i przyrzeczenie rządu, iż podstawy prawne dla zarejestrowania NSZZ RI „Solidarność” zostaną stworzone do 10 maja. Projekt ten w pełni usatysfakcjonował chłopów. Komisja rządowa zaś udała się na naradę do Urzędu Wojewódzkiego. Nastąpiła kilkugodzinna przerwa w rozmowach. Wielokrotnie przesuwano kolejne godziny spotkań. Wśród strajkujących rosło przekonanie, że z takim trudem wypracowany projekt ponownie okaże się nie wartym świstkiem papieru. O godz. 14 Roman Bartoszcze w imieniu strajkujących, w telefonicznej rozmowie z ministrem Cioskiem, postawił ultimatum: albo o godz. 15 nastąpi podpisanie wypracowanego wspólnie projektu porozumienia bez żadnych zmian, albo rozmowy zostaną odłożone do wtorku.

W międzyczasie nadeszła teleks, iż w Klasztorze Jasnogórskim 37 chłopów z kilku województw podjęło głodówkę.

Pięć minut przed piętnastą do gmachu WK ZSL ponownie przybyła komisja rządowa, która przez pół godziny pertraktowała z prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Strajkowego i Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NSZZ RI „Solidarność”. Wkrótce rozeszła się pogłoska, że porozumienie zostanie zawarte. Większość strajkujących nie uwierzyła dopóki Roman Bartoszcze nie oznajmił zebranym w sali plenarnej: „Dobrze! Jesteśmy do końca. Jest to wydarzenie, które w naszej historii zostanie zapisane dużymi zgłoskami. Dzisiejsze porozumienie, które będzie za chwilę podpisane, tutaj w Bydgoszczy, jest aktem wielkiego rozsądku i zrozumienia władzy państwowej dla potrzeb rolnictwa polskiego”.

Z uwagą wsłuchiwno się w słowa przywódcy, który podczas 33-dniowej akcji strajkowej przeżył osobistą tragedię. Najpierw pobito mu ojca, potem spłonęła stodoła w jego gospodarstwie. Nie załamał się.

Jan Kułaj nawiązując do niedawnej przeszłości, kiedy to negocjacje przebiegały z takim trudem powie-

dział: „Niekiedy w naszych myślach rodziła się wątpliwość — czy w naszym kraju nie ma nikogo, z kim można by porozmawiać, aby cokolwiek załatwić?”

Minister Ciosek wyraził nadzieję, że „...będziemy mieli z tych dokumentów lepszy klimat na wsi, więcej żywności w kraju”. Andrzej Kacała, który przewodniczył komisji rządowej również w Rzeszowie i Ustrzykach stwierdził: „Jeżeli te cele, które zapisaliście na końcu naszego porozumienia, a przede wszystkim zgoda narodowa, zgoda na wsi polskiej, zwiększenie produkcji żywności zostanie osiągnięte, to mnie osobiście nie będzie żal tych długich, wspólnie spędzonych dni. Choć trudno mówić tu tylko o dniach, nocy też było dużo”.

Jan Rulewski, który od czasu wiecu w lutym mocno zaangażował się w sprawy rolników zauważył: „Rzecz znamienna, w Wielki Piątek podpisujemy kolejną w

naszym kraju umowę społeczną. Nie ukrywam swej satysfakcji, radości i wzruszenia z powodu spełnienia postulatów naszego Związku. Spełnienie przede wszystkim postulatu społecznego, jakim było zrównanie w prawach do zrzeszania się zarówno robotników, jak i rolników indywidualnych. Uważamy, że ten gest strony rządowej po wielu karkołomnych zmaganiach, po wielu dyskusjach, po wielu nocnych Polaków rozmowach, nie jest wyrazem uległości, względnie mądrości politycznej. Jest odpowiedzią ludowego rządu na ludowy postulat”.

Przewodniczący komisji rządowej, minister Stanisław Ciosek zapytany na konferencji prasowej, dlaczego tyle czasu musiało upłynąć zanim rząd uznał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność” odpowiedział: „Nie tylko związek dojrzał, ale razem z nim i my dojrzewaliśmy”.

Stawiam na rzetelną i systematyczną pracę

Z Jerzym Kiedrowskim rozmawia Danuta Siemińska

Danuta Siemińska — Panie dyrektorze, czy zcentralizowany raczej system zarządzania, jaki reprezentuje Wojewódzki Ośrodek Kultury, okazuje się równie skuteczny w okresie postępującej, szeroko pojętej decentralizacji?

Jerzy Kiedrowski — Przede wszystkim: nigdy nie prezentowaliśmy centralizmu jako zasady funkcjonowania WOK. Wręcz odwrotnie! Zawsze, byłem zwolennikiem daleko idącej samorządności i samodzielności w działaniu poszczególnych placówek, kolektywów czy środowisk. Uważam, że przestrzeganie tych zasad warunkuje w sposób oczywisty osiągnięcie zamierzonych zadań i celów oraz stwarza właściwy klimat w codziennej pracy. Ci, z którymi aktualnie współpracuję reprezentują podobny punkt widzenia, czego dowodem były zgłoszone przez naszą instancję, podczas wydarzeń sierpniowych, postulaty i wnioski na rzecz dalszej samorządności i niezależności działania placówek kultu-ralnych.

D.S. — Jak zatem, ma wyglądać w praktyce owa samorządność i niezależność? Czy struktura organizacyjna WOK może być tu przykładem?

J.K. — Na nie najlepszej pracy domów kultury za-ważał z pewnością zbyt daleko posunięty administracyjny nadzór. Dyrektor domu kultury, zarówno gminnego, miejskiego, jak i wojewódzkiego powinien mieć maksymalną samodzielność przy jednoczesnym współudziale w zarządzaniu — całego kolektywu.

W odniesieniu do instancji, którą kieruję, nie są to bynajmniej pobożne życzenia. Sądzę, że potrafiliśmy wypracować sobie właściwie pojęty demokratyzm zarządzania. Oznacza on kolegialność podejmowanych przez nas decyzji. Znakomicie także sprawdzają się w praktyce okresowe, stałe spotkania z całą załogą oraz bardzo ścisła współpraca z konsultantami, zgrupowanymi w naszych specjalistycznych komórkach organizacyjnych.

Czujemy się zobowiązani do jak najszerszej współpracy ze środowiskiem, dla którego przecież pracujemy. Mówiąc środowisko, mam na myśli: ruch młodzie-

żowy, organizacje społeczne, jak np. Zrzeszenie Kaszubsko - Pomorskie, a także wszystkie grupy społeczne, które mogą i chcą działać w sposób zorganizowany. Sporo zaś satysfakcji dostarcza nam współdziałanie z konkretnymi ludźmi, nigdzie nie przynależącymi. Bardzo je sobie cenimy.

D.S. — Bogactwo, rozmach i różnorodność pomysłów — tak można scharakteryzować styl pracy WOK. Zdarzały się jednak i potknięcia. Jakże więc formy działalności powinny być kontynuowane, a z których należałoby się wycofać lub je zmodyfikować?

J.K. — Jestem zwolennikiem ciągłej weryfikacji działalności, ale tej spokojnej, codziennej. Natomiast zawsze zaprotestuję przeciwko gwałtownym, wszystko burzącym zmianom, które — jak uczy życie — niczego dobrego nie wnoszą. To po pierwsze. A po wtóre: zdecydowanie opowiadam się za różnorodnością form pracy, uwzględniających specyfikę poszczególnych środowisk, ich tradycje, charakter, poziom percepcji itp. Najbardziej jednak istotne są treści proponowane w kulturze! Dlatego najżywszy oddźwięk i największe zainteresowanie budzą te działania i imprezy, które sięgają do korzeni regionu i jego autentycznego dorobku.

D.S. — Na przykład.

J.K. — „Jarmark Wdzydzki”, „Truskawkobranie”, „Gniewinki”, „warsztaty folklorystyczne”, „Turniej Gawędziarzy Ludowych” i cały szereg innych, których tu nie wymieniam, bo lista ich jest nazbyt długa. Imprezy te sprawdzają się, ponieważ gwarantują niczym nie skrepowany, rzeczywisty udział w ich tworzeniu, wyzwalając ludzką pomysłowość i inwencję.

Zdecydowanie zaś nie sprawdziły się: sztampa, okazjonalność i fasadowość niektórych poczynań. To nas zawsze raziło, od lat, a trudno było przekonać wszystkich w terenie o potrzebie i konieczności zmian.

D.S. — To chyba już przeszłość, niechlubna zresztą...

J.K. — Też tak sądę. Chcę tu przy okazji zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt naszej działalności,

moim zdanie — niezwykle ważny. Otóż: nie traktujemy tzw. terenu jak coś gorszego, o obniżonej skali wymagań. Wszystkie organizowane w Gdańsku wystawy, spotkania i spektakle prezentujemy zawsze w niezmiernym kształcie artystycznym wsiom i miasteczkom naszego województwa. Wszędzie tam, gdzie istnieje społeczne zapotrzebowanie i zainteresowanie.

D.S. — Z pana wypowiedzi wynika, że Wojewódzki Ośrodek Kultury wywiązuje się należycie ze swych zobowiązań wobec regionu. Ogólnie jednak wiadomo, że stan kultury na wsi, zarówno pod względem bazy, jak też możliwości zaspokajania rozbudzonych potrzeb tamtejszej społeczności jest, co tu kryć — alarmujący. Zaś o działalności GOK mówi się i pisze bardzo źle. Czy województwo gdańskie jest tutaj chlubnym wyjątkiem?

J.K. — Niestety nie! Co więcej: województwo nasze plasuje się nawet poniżej średniej krajowej, biorąc pod uwagę ilość i jakość pracy tych/placówek. Dlaczego tak jest?

Przede wszystkim: na 36 gmin przypada tylko 21 gminnych ośrodków kultury. To wiele tłumaczy. Szczególniej zaś wymowy nabiera fakt, że przez 36 lat, od czasu zakończenia drugiej wojny światowej, nie wybudowano w województwie gdańskim, w ramach inwestycji ani jednego domu kultury! Te zaś, które są, zawdzięczają swoje istnienie ogromnemu wysiłkowi społecznemu lub adaptacji istniejących już pomieszczeń.

Ponadto: GOK — i nie mają zabezpieczonego nawet tego niezbędnego minimum warunków do pracy! Brakuje im, tak na dobrą sprawę — wszystkiego: ludzi pomieszczeń, funduszy, a ostatnio i... opału. Muszę tu jednak stwierdzić, że w stosunku do możliwości placówki te robią naprawdę dużo. Szkoda tylko, że ten wielki ludzki wysiłek i zaangażowanie przynoszą tak niewielkie rezultaty. Inaczej zresztą w tych warunkach być nie może! Dlatego, potrzeba chwili staje się konieczność pomocy ze strony administracji państwowej. Całkowita likwidacja GOK, o której tu i ówdzie się mówi, byłaby moim zdaniem — społecznie szkodliwa. A co w zamian? Nie widzę alternatywy.

D.S. — Czy nie uważa pan, że należałoby w tej sytuacji odwołać się do bogatej tradycji lokalnego życia kulturalnego, z którego przecież zawsze słynęła ludność kaszubska? Czy nasz region, opierając się na społecznej aktywności i inicjatywie, nie mógłby być tym regionem wiodącym?

J.K. — Całkowicie zgadzam się z intencją zawartą w pani pytaniu. Należy z zastanego bogactwa korzystać, stąd dużo inicjatyw terenowych i nasz współudział w organizacji takich imprez jak „Dni Gniewa”, „Skarszowskie Sobótki”, „Truskawkobranie”, „Puckie lato kultury i sportu”, „Lato z folklorem we Władysławowie”, „Jarmark Wdzydzki”, „Złot starych łodzi rybackich w Chałupach”, „Wyzwoliny Kosiarza”, „Turniej Gawędziarzy Ludowych” itp. Imprezy sprawdzają się, ponieważ gwarantują niczym nie skrepowany, rzeczywisty udział w ich tworzeniu, wywołują ludzką pomysłowość i inwencję.

Organizowany przez nasz ośrodek Festiwal Zespołów Folklorystycznych Polski Północnej, który wyjątkowo w tym roku, z braku funduszy nie odbędzie się, jest także tą imprezą wywołującą naturalne chęci społeczne w zakresie amatorskiej twórczości i działalności artystycznej. Kilkutysięczna widownia z całej Polski ma doskonałą okazję do zapoznania się z autentycznym folklorem kaszubskim i kociewskim. Po dobnym celom ma służyć rozpoczęty niedawno cykl koncertów pt. „Folklor i region w muzyce”. Cechą szczególną każdego z nich jest „obowiązkowe” niejako prawykonanie utworu, nawiązującego do tradycji i specyfiki regionu kaszubskiego. Mamy nadzieję, że uda nam się zainteresować tym tematem nie tylko lokalnych twórców, ale tych z głębi Polski również.

D.S. — Amatorzy mogą chyba liczyć na waszą pomoc?



J.K. — Naturalnie! Zdarza się jednak, że jest ona niewystarczająca w stosunku do potrzeb. Zbyt szczupłe grono instruktorów oraz brak środków lokomocji niewątpliwie ograniczają nas. Dlatego staramy się wytworzyć odpowiednią atmosferę i klimat już w wewnętrżnej pracy naszej instytucji poprzez: bezpośrednie, indywidualne konsultacje, udział w próbach zespołów oraz inne ustawienie przeglądów i festiwałów. Czyli — nie tylko występy, ale także ich rzetelną, fachową analizę z wskazaniem tego co dobre lub złe. Kursów i szkoleń jest może zbyt mało, niemniej główny nacisk kładziemy na indywidualną pomoc, uznając ją za najistotniejszą.

Prowadzimy także działalność wydawniczą. Myślę tu o wydawanym przez nas kwartalniku „Ziemia Gdańska”. Aktualnie kończymy druk tzw. numeru kaszubskiego, w którym znajdują się m. in. artykuły o Derdowskim i Ceynowie. Myślę, że będzie to wartościowa pozycja dla wszystkich zainteresowanych sprawami naszego regionu.

D.S. — Panie dyrektorze, od wielu lat pracuje pan w instytucjach związanych z kulturą. Zawsze na kierowniczych stanowiskach i zawsze efektywnie, z tzw. sukcesami. Jaka była ich cena?

J.K. — Proszę pani, pochodzę z rodziny w której zawsze była żywa idea pracy społecznej, od dziada, pradziada! Myślę, że właśnie ta tradycja umiłowania wszystkiego co tutejsze i rodzime zaciążyła najbardziej na mojej życiowej drodze. Po studiach wróciłem do Wejherowa, miasta w którym wychowałem się. Byłem więc u siebie, wśród swoich, i wówczas poczułem się zobligowany do spłacenia swojego długu względem tej ziemi, poprzez rzetelną pracę na rzecz jej rozwoju. Tak... zawsze starałem się pracować rzetelnie, a miałem to szczęście, że moi współpracownicy potrafili wytworzyć atmosferę zdrowej rywalizacji i autentycznego, koleżeńkiego dopingu. Wiedziałem też, że mogę na nich liczyć w sytuacjach trudnych i konfliktowych. Taka jest moja „cena” sukcesu.

D.S. — Co dla pana, jako dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Kultury okazuje się najważniejsze w codziennej pracy? Na co pan stawia?

J.K. — Uważam się za animatora życia kulturalnego i ciąży na mnie obowiązek stwarzania właściwych warunków do pracy tym, którzy na to szczególnie zasługują. A stawiam na rzetelną, systematyczną, pozabawioną efekciarstwa pracę. Na rozmowy i konsultacje oraz słuchanie innych...

D.S. — Niektórzy pana podwładni mówią, że niekiedy jest pan zbyt łagodny i liberalny...

J.K. — Na pewno mają rację w momencie, gdy tak mówią. Ja natomiast oceniam swoje postępowanie z perspektywy ponad dwudziestu lat pracy i stwierdzam, że skuteczniejsza jest metoda wspólnej pracy z ludźmi w klimacie wzajemnego zrozumienia i tolerancji.

D.S. — Ale zależy panu na tym, by o dyrektorze Kiedrowskim mówiono dobrze.

J.K. — Proszę pani! Zależy mi na tym, żeby mówiono zastrzeżenie dobrze o pracy instytucji, którą kieruję. Przecież pracują w niej konkretni ludzie, a bez ich wysiłku i pomocy moje działania na nic by się zdało!

D.S. — Jest pan urodzony tutaj, na kaszubskiej ziemi. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie panujące powszechnie przekonanie, że Kaszubi na „dyrygentów” to się raczej nie nadają. Ile w tym racji?

J.K. — Bardzo trudno dać tutaj jednoznaczną odpowiedź. Ta opinia o Kaszubah jest głęboko niesłuszna i krzywdząca. Ja uważam, że niewłaściwie były formułowane kryteria oceny ludzi na stanowiskach i do nich nie pasowali Kaszubi! Dopóki będą „nie zauważane”

kaszubskie zaangażowanie w pracy, rzetelność, prawdę i szczerść, tak długo nie będziemy oglądali Kaszubów na kierowniczych stanowiskach.

D.S. — Swojego czasu pełnił pan funkcję prezesa Zrzeszenia Kaszubsko - Pomorskiego. W czym pan upatruje wartość tej organizacji?

J.K. — W zachowanej od lat autentyczności, samorządności i społeczności. Nigdy też sprawy markantylne nie odgrywały w niej żadnej roli! Mnie osobiście Zrzeszenie dało bardzo dużo, bo pozwoliło pozostać sobą. W życiu organizacji były, co prawda, wzloty i upadki, ale nie aż takie, które czyniłyby dalsze jej istnienie za niepotrzebne i bezsensowne. Szczególnie godna podkreślenia jest naturalność wszystkich koniecznych przecież zmian kadrowych. Ci, którzy zajmowali kiedyś kierownicze stanowiska pozostają nadal, służąc swoją pracą i doświadczeniem.

Życzę wszystkim organizacjom społecznym takiego „zdrowia moralnego”.

— Dziękuję bardzo za rozmowę

DANUTA SIEMIŃSKA

Wieże Starego Gdańska Ponad szpitalem Flisaków Jerzy Samp

Tuż przy głównym trakcie wylotowym z Gdańska w kierunku Żuław istniał już ponad sześćset lat temu szpital wraz z kaplicą. Ulica nosiła pierwotnie nazwę „Długie Ogrody”. Dziś w znikomym zaledwie stopniu przypominają jej dawną zabudowę; nieliczne, ocalałe z pożogi wojennej fragmenty obecnej ulicy Elbląskiej.

Szpitalna kaplica pod wezwaniem św. Barbary podporządkowana była w wieku XIV i XV kościołowi N. P. Marii — służąc chorym i niosąc pociechę duchową starcom przebywającym w tutejszym przytułku. Przepisy regulujące zakres obowiązków „szpitalników” głosiły: „zasię ci ze św. Barbary mają przyjmować do szpitala wszystkich Polaków, którzy są chorzy na tratwach”. Oczywiście chodziło więc o bractwo flisackie, która w średniowiecznym grodzie była grupą dość liczną.

Dodajmy przy okazji, iż wzmianka ta sugeruje nam ponadto o żywotności kultu św. Barbary. Pomorze Gdańskie było z postacią świętej związane od czasów Świętopelka Wielkiego, w którego to ręce trafiły jej relikwie (podobno mózg umieszczony w głowie wyrzeźbionej ze srebra). Bezcenny relikwiarz początkowo umieszczony na zamku księcia w Sartowicach koło Świecia, zagrabiony został przez Krzyżaków. Przechowywany początkowo w Chełmnie trafia następnie na zamek malborski a stąd do Gdańska.

Samą zaś świętą Barbarę czczono na całych Kaszubah i Pomorzu nie tylko jako opiekunkę rybaków, ale i patronkę dobrej śmierci. Nazwanie więc szpitala, z którego korzystali flisacy oraz przytułku dla starców wraz z kaplicą przy Długich Ogradach jej imieniem posiadało wymowę co najmniej podwójną.

W pierwszej połowie XV wieku kaplica została gruntownie przebudowana, przekształcając się w dość okazały kościół dwunawowy o założeniu halowym, bez prezbiterium. Z racji swego oddalenia od miejskiego centrum kompleks budynków wraz z samą świątynią ulegał licznym zniszczeniom i przechodził szereg pożarów. Z uwagi na fakt, iż od roku 1456 kościół stanowił siedzibę władz oddzielnej parafii ustanowionej dla całej tej dzielnicy miasta, każdorazowo odradzał się z gruzów i zgliszcz. W ostatnim roku XV stulecia spalony został przez Grzegorza Materna (mieszczanin — kupiec gdański, który znajdując poparcie drobnej szlachty kaszubskiej wypowiedział miastu wojnę), a w niecałe pięćdziesiąt lat później płonie już jako zbór luterański, co powtarza się następnie podczas walk Gdańszczan ze Stefanem Batorym.

Szpital św. Barbary posiadał przywilej nadany mu jeszcze przez Kazimierza Jagiellończyka, mocą którego korzystać mógł bezpłatnie z drewna pochodzącego z oliwskich lasów klasztornych.



Fot. W. Nieżywiński

Po pożarze tych posiadłości akt ten został anulowany. Już jednak w roku 1590 opat Dawid Kornarski przywrócił jego ważność.

Dzięki odzyskanej stabilizacji od początku wieku XVII trwają prace nad rozbudową kościoła. W roku 1619 wybudowana zostaje wreszcie wieża, której górna partia otrzymuje renesansowy helm. Była to wieża niezbyt różniąca się od zwieńczeń innych gdańskich świątyń, jak choćby – św. Jakuba, czy Bartłomieja, a jednak osobliwa. Zwróćmy uwagę na stare gdańskie sztychy ukazujące jej stan pierwotny. Z szerokiej dolnej partii, zdobionej niewielkimi otworami okiennymi i znacznie większymi blendami, wyrasta ceglany czworobok u którego zężającej się ku górze nasady widnieje delikatny zarys attyki.

Część środkowa wieży swą wizualną lekkość zawdzięcza wysokim szczelinom okiennym (po dwie w każdej ścianie), ponad którymi wznoszą się, zwrócone w cztery strony świata tarcze zegarowe. Powyżej nich zaczyna się już partia metalowego helmu otoczonego w swej części najniższej czterema iglicami dekoracyjnymi.

W miejscu centralnym umieszczono niewielką galeryjkę o podstawie regularnego sześciokąta, którą zdoła metalowy ostrosłup. Ta najwyższa część całej wieży ozdobiona jest wyrastającą z metalowej kuli iglicą oraz miedzianą chorągiewką. Wycięto w niej herb kościoła. Znakiem tym jest zakończony krzyżem trójkąt, do którego wnętrza wpisano litery S B (Santa Barbara).

Bodaj najsłynniejszym z dzwonów zawieszonych we wnętrzu wieży było dzieło Gerda Benninga – ludwisarza gdańskiego, który odlał go w roku 1616. Ściankę dzwonu zdołała m. in. podobizna św. Barbary. Przyjrzyjmy się raz jeszcze XVII wiecznemu sztychowi. Wnikliwa obserwacja pozwala stwierdzić, iż tarczom zegarowym interesującej nas wieży brak dużych wskazówek. Czyżby pomyłka rytownika?

Otóż nie. Mechanizm zegarowy, który tam zainstalowano bezpośrednio po ukończeniu budowy wieży, t.j. w roku 1620 wykonany został przez bliżej nam nie znanego zegarmistrza, w ten sposób, iż wskazywał on tylko godziny. Wskazówek minutowych żadna więc z jego czterech tarcz nigdy nie posiadała.

Świątynia poświęcona patronce Kaszub i przechowująca aż do ostatniej wojny, otaczane wielkim kultem, relikwie świętej Barbary, uległa w roku 1945 znacznemu zniszczeniu. Splądrowana, wyburzona i, po raz nie wiadomo już który, – obrócona w zgliszcza, zaczęła się jednak odradzać. Odbudowa jej trwa już ponad dwadzieścia lat i gdy chodzi o bryłę zabytku i jego stronę zewnętrzną – można ją uznać za zakończoną. Obecny stan to rodzaj dialogu współczesnej sztuki sakralnej z architekturą historyczną. Ogromne płaszczyzny wielkich okien wypełnionych nowoczesnymi witrażami (bryły kolorowego szkła w betonowej koronce) – są tego najlepszym dowodem.

Odrestaurowana dopiero w latach sześćdziesiątych wieża stanowi jednak istotne uzupełnienie panoramy Długich Ogrodów – tak bardzo ogoloconych z owej dawnej, jakże pięknej, substancji architektonicznej, głównej arterii miasta wiodącej w kierunku Żuław.

W Sierakowicach radzą rolnicy

Wojciech Kiedrowski

Niedziela 22 marca. Pierwsza nerwowa niedziela po wydarzeniach w Bydgoszczy. Nieznane są jeszcze w pełni szczegóły czwartkowych wydarzeń. W każdym razie wielu jest nie poinformowanych, pierwsze dzienniki z wiadomościami z Bydgoszczy ukażą się dopiero w poniedziałek. Sierakowiczanie są jednak na tyle poinformowani, iż wiedzą, że stało się coś ważnego i jednoznacznie złego. W trudnych posierpniowych dialogach społeczeństwa z władzą zastosowano brutalnie siłę milicyjną. Pobito działaczy „Solidarności” robotniczej. To bicie, w niedalekiej — w końcu — Bydgoszczy wróży coś niedobrego.

Godzina 10.30, rozpoczyna się msza św. w intencji rolników, o którą prosił komitet gminny NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”. Kościół wypełniony. Na ulicach przechodnie, spokojni, jest słonecznie. Kolejka po jabłka, które ktoś sprzedaje prosto z samochodu. Otwarty kiosk „Ruchu”, otwarte kawiarnie (stąd nawet lody na ulicy), wszystkie sklepy oczywiście pozamykane.

Na murze kościelnym jeden plakat — protest przeciwko biciu w Bydgoszczy. Brak plakatów informujących o mającym się odbyć o godzinie 12-tej zebraniu rolników z całej gminy. Zebranie wyznaczone było przed zajściami w Bydgoszczy. Czyżby zostało odwołane?

Żadnych zatem informacji, a tu o godzinie 11.50 największa sala w Sierakowicach, sala miejscowego kina jest zapelniona. Jeszcze parę minut i sala jest nabita tak szczerze, że nikt nie przedostanie się do wnętrza. Otwarte zostają dodatkowe drzwi, od strony podium. Zostajemy wprowadzeni przez organizatorów. Jest dyrektor miejscowego Banku Spółdzielczego i dyrektor SKR, ja reprezentuję Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Nie przybył naczelnik, nie przybył wicewojewoda Skrobacz. Przez kilkanaście minut trwa jeszcze koncert miejscowego zespołu szkolnego. Występy przyjmowane są oklaskami.

Właściwe zebranie otwiera przewodniczący Gminnego Komitetu Założycielskiego NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” w Sierakowicach — Jan Gosz. Przewodnictwo obrad powierzono Tadeuszowi Majkowskiemu. Przewodnictwo komisji wnioskowej przejmuje Tadeusz Bigus, radny WRN w Gdańsku. Wszystko odbywa się sprawnie.

Jan Gosz, rolnik z Sierakowic, wydaje się być pewny racji swego wyboru w ruchu chłopskim, swego działania, jest zrównoważony, mówi wyraźnie i dobitnie, po polsku i po kaszubsku. Zdaje najpierw sprawozdanie z dokonanych sierakowickiej „Solidarności” rolników indywidualnych. Mówił mniej więcej tak:

Zawiazaliśmy się 16 listopada na zebraniu w salce katechetycznej. Szybko się zorganizowaliśmy na wsiach, gdyż rolnicy na to czekali. Zajęliśmy się trudnym problemem sprzedaży paszy. Zalatwiliśmy, że nie ma kolejek, co nie znaczy, że jest pasza. Sprawdziliśmy ile gmina zamówiła węgla. Okazało się, że połowę tego co potrzeba. Podobnie nawozy. Aparat urzędniczy zamawiał nie według potrzeb, lecz według uzyskanych limitów z województwa. Zamówienia zwiększono, co wcale nie znaczy, że ten węgiel i nawozy otrzymamy. Tylko nam nikt nie powie, że otrzymaliśmy tyle, ile żeśmy zamówili. W naszej gminie zataja-

no, że można uzyskać odszkodowanie za zamknięte zbiory. Wiedzieli nieliczni wtajemniczeni. Nie było tu demokracji. Zalatwiliśmy, że rolnicy poszkodowani, wszyscy, otrzymają odszkodowania. Rozdział ciągników w naszej gminie — chyba — zalatwiono demokratycznie. Nie ma zastrzeżeń. Zalatwiliśmy, że złe usługi SKR będą ponawiane. Wnioskowaliśmy o usamodzielnienie naszego GS. Nasza Gminna Spółdzielnia pracuje na rzecz innych. Dużo zysków zatrzymują nam Kartuzy. Sprawa samodzielności GS jest bardzo ważna. Fatalne jest zaopatrzenie sklepu w Gowidlinie. Dyrekcja obiecała nam poprawę. W Gowidlinie i jeszcze gdzieś powieszono krzyże w szkołach. Robili to ludzie represjonowani za to w ubiegłych latach.

W czasie naszego założycielskiego zebrania ustaliliśmy 30 postulatów. Większość zalatwiona została na miejscu lub w Rzeszowie i Ustrzykach. Braliśmy udział w zjeździe wojewódzkim w Gdańsku i Słupsku. Byliśmy w Poznaniu i tam braliśmy udział w zjednoczeniu się naszego ruchu, w zjednoczeniu „Solidarności” rolników.

Jan Gosz zakończył. Przewodniczący zebrania Majkowski dodaje: Zostało sporo do zalatwienia, ale sprawozdanie zaświadcza o pewnych sukcesach. Jak będziemy dalej działać razem to będzie jeszcze lepiej.

I słuchając tych słów wiadomo, że ma na myśli przede wszystkim sprawiedliwy podział dóbr, gdy jest ich z każdym dniem coraz mniej.

Do tej pory jest całkowita cisza na sali. Sala — jak wspominałem — nabita do granic możliwości, nagleśnienie pozwalało śledzić obrady zgromadzonym także poza salą kinową. W tej ciszy zabiera głos przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Założycielskiego NSZZ RI „Solidarność” — Norbert Gołuński, rolnik z Zukowa.

Gołuński mówi: „Solidarność” Indywidualnych Rolników w Polsce skupia około 1,2 miliona osób. W jej skład wchodzi właściciele gospodarstw, żony rolników i pełnoletnie dzieci pracujące na gospodarstwie. Związek nasz jest samodzielny i samorządny. Chcemy, aby produkcja rolna była opłacalna. Dla nas nie jest ważna cena zbytu, gdyż każdą podwyżkę cen skupu można zniweczyć podwyżką cen środków produkcji. Nas interesuje opłacalność i to każdej dziedziny rolniczej. I tylko wtedy będziemy produkować, a my chłopcy jesteśmy po to aby produkować. Jeżeli chłop w jakąś produkcję ma włożyć więcej pracy czy pieniędzy to musi też więcej otrzymać. Każda praca musi być zapłacona.

Mówi się, że nasz związek jest nielegalny. To nie jest prawda. Związek nasz nie jest jeszcze zarejestrowany. To prawda. Lecz to nie to samo. Proszę spojrzeć na Porozumienie Rzeszowskie. Tam związek nasz zalatwił wiele i tam przedstawiciele naszego związku podpisywali się obok rządu. Rząd nas uznał w Rzeszowie, a w Poznaniu 8 i 9 marca doszło do porozumienia do tej pory trzech odłamów naszego ruchu: Solidarności Chłopskiej, Solidarności Wiejskiej i Solidarności Producentów czy Rolników Indywidualnych i przyjęto nazwę już dzisiaj dostatecznie znaną. W Poznaniu były delegacje z każdego województwa po 10 delegatów. Razem 490 rolników indywidualnych. Inni nie byli wpuśczeni. Czy na pewno to byli rolnicy?

Tak. Jak wiecie rolnicy poszczególnych wsi wybierają swoich przewodniczących. Oni tworzą komitet gminny i wybierają spośród siebie przewodniczącego. Przewodniczący komitetów gminnych tworzą komitet wojewódzki. I z tych osób wybrano dziesięciu do Poznania. Jeden z naszego województwa wszedł do Komitetu Krajowego.

Słów kilka o Janie Kulaju. Jest to bardzo młody rolnik, ma 23 lata, przewodniczył w Rzeszowie. Zwyciężył w Poznaniu bardzo wyraźnie. Jest zasadniczy ale też rozważny. Umysł lotny. Jego ojciec jest dosyć młody i dlatego przez pewien czas będzie mógł prowadzić gospodarstwo też syna. Młody Kulaj będzie więc mógł poświęcić się pracy w naszym związku.

Bydgoszcz. Bardzo bolesna sprawa. W cywilizowanym świecie nie powinna być użyta siła jednego człowieka przeciw drugiemu. Są ludzie chcący nas skłócić. Jeszcze za mało nakradli. Sprawiedliwości musi stać się zadość. Zaprotestowaliśmy ostro przeciw ustawie — przedłożonym Sejmowi projekcie tej ustawy — o samorządzie wiejskim.

Teraz nastąpiły pierwsze oklaski. Od tej pory Norbert Gołuński otrzymywać je będzie jeszcze kilkakrotnie, a gdy skończy przemawiać, będą jeszcze burzliwsze. Lody zostały przełamane. Teraz zebrani będą często reagować oklaskami, każdy mówca je otrzyma. Nie wiem jednak, czy dotychczasowa przejmująca cisza w zatłoczonej sali nie była wymowniejsza.

Przewodniczący Gołuński mówi, że protest musi być indywidualny. Puszczono zostają w obieg listy, gdzie wyraźnie trzeba podać swoje nazwisko i adres zamieszkania. To wymaga już pewnej osobistej odwagi. Ludzie podpisują. Zebrano kilkaset podpisów.

Powracam do Bydgoszczy. Nie dajcie się sprowokować do jakiejś samodzielnej akcji, wychodzenia na ulice. Są tacy co podpuszczają. Dzisiaj w Gdańsku była próba urzędzenia ulicznego pochodu rolników. Zaingerowałem. Musimy reagować na Bydgoszcz zjednoczeni z robotnikami, z MKZ. Są potrzebne negocjacje i kompromisy. W rozróżkach zainteresowane są jedynie siły przeciwne Odnowie. W sprawie Bydgoszcz też wyraziliśmy protest. Tylko w godności naszego postępowania możemy dużo zyskać.

Gdy Norbert Gołuński kończy, widać że zyskał sympatię zebranych. Okazał się im bardzo bliski. Zrównoważony

i mądry, jak od wieków bywało na tej ziemi wśród kaszubskich gburów.

Głos zabiera ponownie Jan Gosz. Przedstawia plan działania sierakowiczów. Pełny tekst tego wystąpienia „Pomerania” drukuje niżej. Nie wiem czy tekst opublikowany odda w pełni walory tego co usłyszeliśmy. Gosz umiał akcentować w miejscach ważnych. Gdy zacytował pierwsze strofy hymnu kaszubskiego to cała sala wybuchła niemal okrzykami. Wspaniałe wystąpienie.

Tadeusz Majkowski dodaje: To wszystko będzie wykonane jeżeli będziemy razem w „Solidarności”.

W dyskusji pierwszy zabiera głos Tadeusz Bigus, młody radny WRN, członek „Solidarności” rolniczej, rolnik z Sierakowic. Mówi o tych co krytykują ich „Solidarności”.

Kto nas krytykuje? Po pierwsze ci przy kuflu piwa. Krytykują przy piwie, a w urzędzie mają cztery gładkie łapy. Po drugie to osoby, którym obecne niesprawiedliwe układy odpowiadają. Krytykować zaczęto również odgórnie. Gu-cwa i inni. A radni w Sierakowicach? Mówili o wyłączeniu ulicznych żarówek, a o naszej związkowej sprawie milczeli. Co tu ważniejsze? Czekać na rozwój sytuacji.

Przemówienie dosyć patetyczne, barwne, kończy Bigus po kaszubsku: Cziè Kaszëbi utrzymają wiarę ojców, honor i dbać będą o dobro Polscy — tej nie żdzina.

Zaczynają zabierać głos inni. Pierwszy Józef Naczek z Tuchlina. Inni zapytują z sali o ważne dla rolników sprawy.

Zabieram krótko głos przekazując w imieniu Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego pozdrowienia i wyrażam nadzieję, że oddolny samorządny ruch chłopski na Kaszubach wyłoni zastęp autentycznych działaczy społecznych, którzy również uczynią wiele dobrego dla kultury kaszubskiej.

Kaszuby, złożone przez lata snem niemożności, w stopniu może i mniejszym niż inne regiony, budzą się. Kaszubi chcą być u siebie gospodarzami.

Opuszczałem Sierakowice, gdyż w niedzielę Prezydium Zrzeszenia na swym pośpiesznie zwołanym posiedzeniu postanowiło rozważyć Prowokację Bydgoską. Za kilka godzin odbywało się podobne zebranie w Chmielnie. Wiem, że był tłum.

Mam w krótkim wystąpieniu przedstawić program działania naszej gminnej organizacji związkowej na przyszłość. Mówiąc prościej — program działania to, to co chcemy wspólnie robić.

Program działania NSZZ RI „Solidarność” w skali kraju określił I Ogólnopolski Zjazd Delegatów w Poz-

budowlane itp. Nie okłamujmy się — to jest główna przyczyna obecnego kryzysu. Brak tych środków obniża radykalnie nasz poziom życia i zdolność rozwijania gospodarstw. Na dziś — trzeba dopilnować sprawiedliwego podziału posiadanych środków produkcji — bez wyróżniania kogokolwiek. Polskie rolnictwo jest jedno!

Program działania

Gminnej organizacji NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” w Sierakowicach przedstawiony w dniu 22 marca br. na zebraniu rolników gminy Sierakowice przez JANA GOSZA.

naniu dnia 8 i 9 marca 1981 r. Na ten program składają się zadania ogniw wojewódzkich i gminnych.

Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność” na terenie gminy Sierakowice działa od 16 listopada 1980 r. Kierunki działania wtedy powstałej organizacji związkowej nakształają sami członkowie. Wynikają one z nurtujących nas problemów natury gospodarczej, społecznej i kulturalnej.

Do najmocniej akcentowanych problemów należą braki w zaopatrzeniu rolnictwa w środki produkcji. Chcemy poprzez związek wyegzekwować pełne zaopatrzenie w środki produkcji tj. pasze, nawozy, węgiel, materiały

Polskie rolnictwo wyżywi naród, ale kierowane przez mądrych ekonomistów, rolników a nie przez ideologów.

Musimy współdecydować w sprawach kierunków produkcji, zaopatrzenia w środki produkcji, zbytu produktów rolnych, podziału środków i inwestycji związanych z rolnictwem. Przed związkiem powinniśmy uzasadniać swoje posunięcia zarządzający gospodarką gminy i ze związkiem te posunięcia konsultować. Rolnicy! nie pozwólcmy, aby o nas decydowano bez nas! Poczujmy się wreszcie gospodarzami tej ziemi.

Wynika stąd dla nas kolejne zadanie. To my musimy decydować na co przeznaczyć Fundusz Rozwoju Rolnic



W Łączyńskiej Hucie...

Fot. M. Kubacki

tw. My ten fundusz tworzymy, a o jego wydatkowaniu decydują inni. Położmy temu kres!!!

Następnym zadaniem związku jest wyegzekwowanie radykalnej poprawy stanu dróg w gminie i melioracji. Równie ważnym problemem jest zaopatrzenie wsi w wodę. Ustaliliśmy wspólnie jak ma być obsługiwane rolnictwo. Kpiną jest zaopatrywanie SKR w dużą ilość kombajnów ziemniaczanych, kiedy u nas ziemniaki trzeba kopać kopaczkami.

Wszyscy widzimy potrzebę doinwestowania gminy, a środków na ten cel jest mało. Związek dopilnuje aby były one wykorzystane po gospodarsku. Rolnicy zdecydowali, czy pilniejsza jest budowa remizy z basenem pływackim czy budowa suszarni zbóż i zielonek.

Będziemy współpracować z autentycznymi samorządami instytucji działających w naszej gminie. Przede wszystkim jednak chcemy ściślej współpracy z najwyższym rangą samorządem tj. Gminną Radą Narodową.

Rażąco niski jest poziom nauczania w szkołach podstawowych. Skutkiem tego jest kompromitujący nas fakt, że zaledwie 3 proc. studentów wyższych uczelni stanowią dzieci chłopskie. Musimy spowodować radykalne zmiany w tym zakresie.

Na terenie gminy praktycznie nie istnieje życie kulturalne. Istnieją natomiast i dobrze prosperują liczne zakłady gastronomiczne i meliny oferujące alkohol. Będziemy konsekwentnie dążyć do zmiany tego stanu rzeczy. Liczymy tu na pomoc kobiet, kościoła rzymskokatolickiego i wszystkich, którym przyszłość narodu nie jest obojętna.

Kolejnym zadaniem związku jest wyegzekwowanie pełnego poszanowania przekonań religijnych. **Nie pozwólmy na odbieranie naszym dzieciom i nam wiary ojców!** To wiara pozwoliła przetrwać naszym przodkom 150-letnią pruską niewolę. Zachować język i kaszubską tradycję. „Nigde do zgube nie przynda Kaszëbë, Marsz, marsz za wrogiem, me trzimóme z Bogiem”. Celem kultywowania tradycji regionalnych nawiązaliśmy współpracę ze Zrzeszeniem Kaszubsko - Pomorskim i chcemy ją kontynuować.

Chcemy współpracować z „Solidarnością” pracowniczą działającą na terenie istniejących w gminie zakładów pracy, w sprawach dotyczących wszystkich mieszkańców gminy. Zasady i zakres tej współpracy ustalimy w najbliższym czasie na wspólnym spotkaniu.

Bardzo ważnym, choć trudnym zadaniem jakie stoi przed związkiem jest doprowadzenie do pełnego uzna-

nia rangi zawodu rolnika i uszanowania godności rolnika we wszystkich urzędach i instytucjach. Musi minąć czas czapkowania przed każdym urzędasem — pora na ukłon w stronę rolnika.

Będziemy podejmowali interwencje w indywidualnych sprawach członków naszego związku w przypadkach krzywdzącego ich załatwiania.

Nikomiu nie pozwolimy represjonować rolników za przynależność do Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność”!

Konsekwentnie będziemy żądać realizacji porozumień z Rzeszowa i Ustrzyk Dolnych. Jest to pierwsza i dlatego tak ważna społeczna umowa pomiędzy Rządem PRL a związkiem zawodowym rolników indywidualnych. Ustalenia z Rzeszowa i Ustrzyk Dolnych ściśle się wiążą z naszymi problemami. Zależy nam, aby ich treść była znana wszystkim członkom naszej organizacji.

Ramowy program jaki został przedstawiony jest ambitny, ale bardzo trudny do realizacji. Żeby go zrealizować musimy rozbudować i umocnić organizację. Jest to możliwe poprzez nawiązanie ściślejszego kontaktu zarządu związku z członkami i odwrotnie. Tylko pełne wspólne określanie i rozumienie celów związku jest gwarantem dobrej jego pracy. Kolejnym elementem dobrej pracy związku jest pełna i szybka informacja o pracach związku wszystkich szczebli. Na bieżąco należy śledzić i analizować problemy nurtujące członków i całą organizację. Będziemy to realizować przez kolportaż prasy związkowej, zebrania kół wiejskich oraz bezpośrednie kontakty członków związku z zarządami każdego szczebla. Niezbędne jest rozszerzenie aktywności gminnego oraz szczegółowy podział zadań.

To, że jesteśmy i działamy stanowi fakt społeczny, sprawa rejestracji jest sprawą drugorzędną. Wierzymy, że zwycięży rozsądek i związek będzie zarejestrowany. Wtedy dokonamy wyboru nowych władz związku. Do tego też czasu poczekamy z ustaleniem składek członkowskich. Niezbędne wydatki bieżące będą pokrywane ze składek dobrowolnych.

Środki działania służące realizacji niniejszego programu działania określa Statut Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność” zatwierdzony przez I Ogólnopolski Zjazd Delegatów NSZZ RI „Solidarność” w Poznaniu dnia 9 marca 1981 r.

Stanisław Janke

W LATNY WIECZÓRK

Bżë są udźibły
a swój biôli spik sëpią
w kolibkę utłuczonygo gôwôru
Czôrnô Woda le smolną nitką
prządze cyszę grzëpów
i po drodze obzbieriwô
grônczi rozmajitëch zelesków
jaczi stôri białczy sësżą
na arbatë swoich chorosców
a przë chëczach przëdëszonëch smrokiem
chłopi zazëwają tobakę
na zdrowie nocë

DROGA ZËMOWĄ PORĄ

Rozlôł së znób
w skrzëpiący podnodzi
lasowi chłopi sëczierama bufsają
le tak trzôsô
w biôli klin drodżi
las së szczëpi
jaż chójczy pëkają
a podniebi jaż mgleje
od dludżigo jidzeniigo
w bezkuńczny szarok



Tëj sëj jidą moji snica
dodóm dze mëmka le wiedno
podgrzëwô pôlnie majigo dzetstwa
a tatk secze trôwë i sklôdô jë
na wëschnięcy w kopce swoich lat
a za rutama ptôczi staroscë
spiëwają jima le samé żôle
tëj jô zôs nëkôm do mojjigo
odecknienigo

TUSZKOWIÔCE

Ju wëlowilë stôri mëcczi swój miesiąc
z cemny stëdni nizawczora
i piórzëska nowosców rozsëpalë
na umierający chëczë
w cenim klockowich budinków
a młodi mëcczi jidą drogą do Lëpusza
i dali w swiat od jiwru starszich
jaczi są terô le topiãcë
w swoich pustich nocach



MËMCE

Terô czë dôwôsz mie
moje kochóny jestku
bulwë na szpëku
i tasqë maslônczi
mie to wszëtko pôchnie
lãkama dze na bosôka
jô jem chwotôł w kaszork
czerwoną kuglę usadłą na widniku
co terô je le słuńcem
i te jesz së baro dzëwujesz
jakże to przëszło
że jô ju nie jem motëlnikiem

POWIÔSTKA STARKA

Przôdë tu le bëlë stegnë
co szlë do cyszë chëczów i pola
oblokły w zelóny chustczy
jaż tu w jeden porenk
położëlë żelaznyma pajama
ną czôrną szramę szasëji
a tëj jesz urzaslim ptôchóm
zawiesëlë pusti oczë wesoczigo napiëcygo
terô ne wësoczi kóminë
corôz barzi włôżaja nama w niebo
naszjigo narobiatligo spiku

Andrzej Grzyb

Jabłoń

Nie była to od razu jabłoń. Ot, drzewko przyniesione deszczowego popołudnia z przyleśnego wysypiska. Ojciec nabożnie posadził toto na wprost progu pod płotem, to chyba jabłoń, tak właśnie powiedział i widać było, że jest dumny z dziczego nabytku. Oczywiście po cichu, bo i jak można by było inaczej, nikt z domowych w to nie wierzył. Jeśli zaś pytał ktoś o upstrzoną zielonymi liśćmi witkę, z powagą odpowiadało się – jabłoń.

Minęło kilka wiosen. Drzewko rozrosło się, złamało, obwiązane szmatą, natarte mazidłem zablizniło. Tylko zakwitać nie chciało.

Od dawna przestało być ogrodową sensacją. Nikt o nie nie pytał. Nikt nie snuł przypuszczeń. Nawet już w duchu przestaliśmy, niedowierzając ojcu, chichotać. W każdym razie on jeden nie tracił wiary. Pomrukując przycinał wcale już sporą koronę, podlewał, przepatrywał bliźnę kiwając przy tym poważnie.

Czwartego roku oczekiwania ojca drzewko zakwitło, zawiązało, jabłka dorodne słońce wyrumieniło tak, że gdy jesienią wręczał ojciec domowym uroczystością po jednym, spoglądając na siebie doprawdy nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić.

Jagnię

Tej wiosny basia obdarzyła nas jednym jagnięciem. Poprzedniej dwoma, które na schwał w rok wyrosły tak, że baranice będą ze skór, co na krokwiach rozwieszono i rękawice z najcieplejszych możliwe, a do tego jeszcze się po izbach i kuchennych kątach nie ustala ostatecznie smakowita woń brukwianki na baranich żebrach.

Tej wiosny jedno było tylko jagnię. A nieszczęścia przy tym, a zgrzyoty, bo nie dość, że jedno, to jeszcze odtrącone, prawie że zaduszone przez nie wiadomo z jakich powodów wyródną matkę. Nie było nadziei na uratowanie jagnięcia. Matka jednak nie dała odtrąconemu zdechnąć, bo gdyby dziesięć było... i wtedy też by nie dała. W koszu kartoflanym roztrzęsione szmatami okryła, do kuchni przyniosła, przy otwartym piekarniku położyła. Z butelki domową nalewkę wylała, co ojcu w smak nie było, bo na święta, ale kiedy skosztował raz i drugi, przypadła mu chyba do gustu ta okoliczność, bo i okiem łaskawszym na baranka spojrzął.

Jagnię nie zdechło, wręcz przeciwnie, coraz śmiej z kartoflanego kosza lepek podnosiło. Na nogi tylko stanąć jakoś nie mogło. Półbiła matka koślawca, na słońce wynosić zaczęła. A naśpiewała się przy tym o zielonym lesie, o studziencie, o dziewczynie, którą anioł spotkał, skarpet narobiła. Baranek zaś leżąc w koszu, butelki czekał, trawę ledwo co zieloną próbując skubać. Stawy jego pokraczne jakby prostować się zaczęły. Od tego słońca, od śpiewania może, tłuszczał i coraz śmiej na świat spozierał.

Minął kwiecień. W połowie maja mamine jagnię, najbardziej rogate, najspotniejsze w okolicy, krągłym brzuchem i najbielszą wełną bodło okolicznych w oczy.

Dyskurs o regionalnej edukacji

Dnia 5 marca z inicjatywy Oddziału Gdańskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i „Pomeranii” odbyło się pierwsze spotkanie z cyklu „Blżej ludzi i spraw regionu”. Inaugurujemy w ten sposób rozmowy z przedstawicielami różnych środowisk zawodowych i twórczych, którym sprawy naszej „małej ojczyzny” nie są lub nie powinny być obce.

Od 1 września br. we wszystkich typach szkół obowiązywać będzie zmieniony program nauczania, szczególnie w przedmiotach humanistycznych. Ze względu na wagę tego zagadnienia oraz fakt, że Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie wielokrotnie i bezskutecznie zgłaszało pod adresem władz oświatowych pilną potrzebę wprowadzenia do kanonu lektur nadobowiązkowych wybranych utworów pisarzy naszego regionu, zaprosiliśmy do naszej redakcji tych, którzy z realizacją programu nauczania mają do czynienia na co dzień.

W dyskusji udział wzięli: **Alicja Bogdanowicz** i **Stanisława Pilarska** — wizytatorki Kuratorium Oświaty i Wychowania w Gdańsku, **Grażyna Bogusz** i **Krystyna Romanowska** — nauczycielka języka polskiego i historii w Szkole Podstawowej nr 78 w Gdańsku oraz **Edward Breza** prodziekan Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Gdańskiego. Redakcję reprezentowali: **Danuta Siemińska, Stanisław Janke** i **Jerzy Samp**.

Pomerania: Jak to się dzieje, że tzw. problematyka regionalna, w szerokim tego słowa znaczeniu, jest nieobecna na lekcjach języka polskiego i historii, a młodzież wykazuje w tym zakresie żenującą wręcz niewiedzę? W czym tkwią przyczyny? Przecież obowiązujące dotychczas programy nauczania dla poszczególnych klas formułują pewne zalecenia także i pod kątem regionu.

S. Pilarska: Najogólniej mówiąc nauczyciel nie ma odpowiedniego tworzywa literackiego i pomocy. A nie można żądać od niego by z realizacją każdego hasła biegał po rozmaitych bibliotekach specjalistycznych, czy redakcjach. Odpowiednie materiały powinien mieć pod ręką.

G. Bogusz: To prawda — większość z nas w niewielkim zaledwie stopniu podejmuje na lekcjach tematy związane z regionem. Dlaczego tak się dzieje? W ósmej klasie nauczyciel języka polskiego zobowiązany jest do zaznajomienia uczniów z tematem: dialekty polskie. Staramy się więc zaprezentować ten, który jest nas najbliżej. Z doświadczeń innych koleżanek i kolegów a także własnych stwierdzam absolutny brak jakichkolwiek pomocy dydaktycznych w rodzaju taśm z odpowiednio dobranymi tekstami kaszubskimi i kociewskimi czy map. Zdani zatem jesteśmy na własną pomysłowość i inwencję.

Pomerania: I wykorzystujecie ją...?

G. Bogusz: Chociażby w zakresie nagrań. Koleżanki jeździły w tzw. teren z magnetofonami i rejestrowały mówiących po kaszubsku. Sama posiadam taką taśmę, ale jest to, podkreślam, jedyna moja pomoc naukowa.

A. Bogdanowicz: Przed dzisiejszą rozmową dokonałam przeglądu wszystkich podręczników do języka polskiego, obowiązujących w szkole podstawowej pod kątem ich zawartości w zakresie interesującej nas tematyki. Tekstów dotyczących regionu kaszubskiego jest mało. Nieco lepiej pod względem ilościowym prezentują się te, które traktują o morzu i ludziach z nim związanych. Uwzględniając podział na klasy okazuje się, że najwięcej tego materiału jest w klasach młodszych, szczególnie czwartej, a najmniej w starszych: szóstej i siódmej.

Pomerania: Mamy jednak wątpliwości czy wymienione przez Panie braki w dostatecznym stopniu wyjaśniają i usprawiedliwiają istniejący stan rzeczy. Jak zawsze pozostaje przecież pole do popisu dla ludzkiej pomysłowości i inwencji.

S. Pilarska: Trzeba przyznać, że na dziś nie dysponujemy odpowiednim rozeznaniem odnośnie tego, co się w szkołach na ten temat robi. Myślę, że należałoby przeprowadzić ankietę wśród nauczycieli polonistów, a i historyków także, dotyczącą form realizacji zagadnień, jak je nazywam, patriotyczno - regionalnych.

A. Bogdanowicz: Ja już zrobiłem chyba dobry początek. W sierpniu ubiegłego roku zaprosiłem na spotkanie z nauczycielami redaktora Stanisława Pestkę, który bardzo pięknie mówił o sprawach kaszubsko - pomorskich. Ale jedno takie spotkanie to stanowczo za mało! Potrzeba nam ich więcej.

S. Pilarska: Mamy przecież corocznie organizowaną Dekadę Pisarzy Wybrzeża. I zalecamy nawet młodzieży udział w spotkaniach z pisarzami, których ostatnio było jakby mniej — nie wiem dlaczego. Stawiam więc pytanie: Na ile jest realna i jakim ma odbywać się kosztem praca nauczyciela polonisty popularyzującego

wiedzę o regionie? Bo nie wystarczy rzucić odpowiednie hasło programowe, które jest z natury swej oschłe. Trzeba dać realizującemu nauczycielowi odpowiednie materiały, wskazać bibliografię, a co najważniejsze uświadomić mu potrzebę tej wiedzy.

Pomerania: Nie o to chodzi by z tematyki regionalnej uczynić okazjonalne hasło, ograniczone w czasie jak wszystkie inne. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebna jest nam wszechstronna wiedza o ziemi, na której przyszło nam żyć, uczyć się i pracować. Musimy pamiętać o tym, że społeczność trójmiejska to swoisty konglomerat przybyszów z całej Polski i tych, którzy jako drugie czy trzecie pokolenie w nikłym stopniu odczuwają emocjonalny związek z ziemią ojców. Nierzadko czują się wyalienowani i dlatego należy im pomóc w odzyskaniu tożsamości i autoidentyfikacji. Temu właśnie celowi mają służyć elementy wiedzy o regionie, które chcielibyśmy widzieć w programach nauczania. Pozostaje jeszcze pytanie: Jakie motywy skłonią nauczycieli do zainteresowania się tą problematyką?

S. Pilarska: Hamletowskie pytanie!

Pomerania: Jeśli nadal będzie to kwestia tylko dobrej woli, chęci czy entuzjazmu, wówczas nie wyrwiemy się z tego martwego centrum.

G. Bogusz: Wiem, że niektórzy z nas podejmują na lekcjach tematy związane z regionem. Należałoby jednak zapytać: Jak to robią? Po co? Czy mają świadomość wagi i znaczenia tych zagadnień? W mojej klasie jeden z uczniów, który bierze udział w konkursie „Ja i moje miasto” zorganizowanym przez Pałac Młodzieży, przychodzi do mnie i pyta: Proszę pani! Czy ja mogę zacząć swoją pracę od tego, jak poznawałem Gdańsk, jak związałem się z tym miastem i co ja o nim wiem? Bo ja tu mieszkam dopiero od kilku lat... Odpowiedziałam mu, że jeśli tak napisze, będzie to na pewno dobra i ciekawa praca. Proszę państwa, chodzi chyba o to, by nie czekać aż zapadną oficjalne decyzje i ustalenia. Możemy przecież, poczynając już od klas najmłodszych, pozwolić acz systematycznie zapoznawać uczniów z tym co kaszubskie i pomorskie. Wcale nie tak znów wiele trudu trzeba, by zorganizować konkurs, w którym uczniowie wykażą się umiejętnością wyjaśnienia nazw gdańskich ulic. W mojej szkole takie i podobne konkursy były przeprowadzane.

A. Bogdanowicz: W innych szkołach także...

G. Bogusz: Na pewno! Tylko że jakoś tak cicho wokół tego, jakby wstydliwie. A jak już organizowane są wycieczki, to od razu do Warszawy czy Krakowa! Dlaczego? Należałoby to jasno i wyraźnie w szkołach sprecyzować — najpierw poznajemy swoją okolicę, a później jeździmy po Polsce!

K. Romanowska: Jako historyk muszę tu powiedzieć, że nasz region nie pojawia się prawie wcale w programie szkoły podstawowej. Jest natomiast Gdańsk, niestety — też sporadycznie! Wszystko więc znowu zależy od dobrych chęci nauczyciela — czy zechce coś więcej powiedzieć o historii i tradycji tej ziemi.

E. Breza: Byłem swojego czasu nauczycielem języka polskiego, a doświadczenia i spostrzeżenia wyniesione przeze mnie z tamtych lat okazują się zbieżne z tym co przedstawiały tu panie. To znaczy: na ile nauczyciel znał tę tematykę, przekonał się do niej, czy nawet zainteresował — na tyle potrafił ją wprowadzać.

Wracając zaś do dnia dzisiejszego, skoro mamy decentralizację, to wydaje mi się, że i kuratorzy są władzami do wydawania odpowiednich zaleceń odnośnie tematyki regionalnej, którą należy widzieć w kontekście kultury i historii ogólnopolskiej. Tak więc obok tego sztywnego, nie podlegającego zmianom kanonu lektur obowiązkowych, pojawiłyby się i takie, na które jest największe w danym regionie zapotrzebowanie. Jako niezmiernie pilną potrzebę widzę wydanie podręcznika regionalnego, przeznaczonego dla nauczycieli.

Powinien on być szeroko profilowy tzn. zawierać wska zówki rzeczowe i metodyczne odnośnie takich przedmiotów, jak: język polski, historia, geografia, biologia i wychowanie plastyczne. Trzeba by naturalnie zadbać o wystarczający w stosunku do potrzeb nakład, odpowiednią ilość taśm z nagraniami gwarowymi itp. I trze cia sprawa: kwestia przygotowania nauczycieli. Nie wszyscy, mimo najlepszych chęci, mają wystarczający zasób wiadomości w zakresie wiedzy o regionie. Jak już to zostało wcześniej powiedziane, przybyli z różnych stron Polski i dlatego trzeba tym ludziom skutecznie pomóc. Mamy przecież instytucje dokształcającą nauczycieli, a Zrzeszenie Kaszubsko - Pomorskie mogłoby dostarczyć odpowiednich wykładowców. Podsu mówując: gdyby sprząc wysiłki Zrzeszenia, metodyków, nauczycieli i odpowiednie działania prawne to sądzę, że moglibyśmy po kilku latach przystąpić do plan nowej, zorganizowanej realizacji tej tematyki.

Pomerania: My tutaj cały czas mówimy o programie maksimum czyli tym „na jutro”, który powinien być zrealizowany w najbliższej przyszłości. Pozostaje jednak bez odpowiedzi pytanie: Co na dziś? Czy możemy cokolwiek zrobić dla naszej przyszłej, wyidealizowanej i wyidealizowanej, trochę utopijnej akcji dotarcia z tematyką regionalną do szerokich rzesz uczniowskich.

Uważamy, że najkrótszą drogą, wymijająca programy i sugestie w nich zawarte jest dotarcie do bibliotek szkolnych. Niestety, stan posiadania literatury regionalnej jest naszym zdaniem niezadowolający. Dlaczego? Przecież są pieniądze na zakup książek.

A. Bogdanowicz, S. Pilarska: O zakupie i doborze książek decyduje głównie bibliotekarz. My nie możemy tu wywierać żadnych form nacisku czy przymusu.

Pomerania: Zaniepokojenie nasze a jednocześnie zdumienie budzi fakt, że Pomerania jest zupełnie nieznaną nauczycielom i uczniom Trójmiasta! Nie ma jej też w szkolnych bibliotekach, a przecież powinna być!

A. Bogdanowicz: To prawda! Nauczyciele nie znają, a właściwie nie wiedzą o istnieniu tego pisma.

Pomerania: Jeśli Zrzeszenie Kaszubsko - Pomorskie wyśle do Kuratorium i większych zespołów szkolnych wykaz książek, które znajdują się w naszych magazynach, a powinny znaleźć się we wszystkich bibliotekach szkolnych, czy zostaną one zakupione?

A. Bogdanowicz, S. Pilarska: Oczywiście! W ciągu tygodnia — rynek jest przecież chłonny!

Oprac. DANUTA SIEMIŃSKA

W szkołach o regionie

Jako pedagog zawsze pilnie śledziłem ruch kaszubski i muszę stwierdzić, że w ostatnim czasie liczne są głosy wskazujące na konieczność podjęcia pracy z młodzieżą. Mój sąsiad z Kiełpina w „Pomeranii” nr 1 z ubiegłego roku proponuje kurs na młodzież — i to od zaraz, a obradujący w grudniu ub. roku VIII Zjazd Delegatów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w swoim ogólnym planie działania sporo miejsca poświęcił problemom związanym z wychowaniem dzieci i młodzieży w duchu tradycji regionalnych. Jako długoletni pedagog i syn ziemi kartuskiej głosy owe akceptuję, cieszę się, a szczerze zamierzania popieram w całej rozciągłości. Rodzą się teraz w okresie odnowy życia społeczno-politycznego bardziej realne i szersze możliwości niż dotąd.

Sądzę, że zainteresowanie problematyką regionalną i zaangażowaną aktywność poznawczą naszej młodzieży musi kształtować już w wieku dziecięcym szkoła podstawowa. Krzewienie idei regionalnej nie może być wyłączną domeną szkoły średniej czy uczelni. W byłym powiecie kartuskim nasze dzieci miały okazje i możliwości poznawania w ogólnym procesie wychowania przeszłości ziemi naszych przodków. Przypominam tu piękną pracę doświadczonego nauczyciela kol. Bernarda Grzędzickiego w Chmielnie z lat sześćdziesiątych, jego szkolne „Kółko miłośników regionu” zbierające dane o przeszłości środowiska. Młodzieżowa penetracja w środowisku miała swoje walory praktyczne i wychowawcze. Zdobyte dane, materiały i dokumenty wykorzystywano w redagowaniu gazetki ściennej, na stałej wystawie w hallu szkoły, omawiano na lekcjach języka polskiego, które żywo interesowały uczniów. Były szkoły, w których sprawy regionu łączono z pracą drużyny harcerskiej, np. w Mściszewicach na zbiórkach drużyny wiele czasu poświęcono na pielęgnowanie gwary kaszubskiej. Dzieci z Zataża zadziwiły swoją wiedzą o regionie w czasie uroczystości z okazji przekazania do użytku nowej szkoły w Przodkowie w roku 1968.

Już tylko te przykłady wskazują, że w zakresie edukacji regionalnej zrobiliśmy niby dużo, a jednak tak mało. Trzeba poszerzyć te formy pracy. I tu na plan pierwszy wysuwa się sprawa przygotowania nauczyciela. Musimy mu pomóc w zdobyciu wiedzy o regionie, a formy i metody znaleźć sobie sam. Tu jednak na przeszkodzie stoją — między innymi — dotkliwie braki w literaturze przedmiotu. Izabella Trojanowska na łamach „Dziennika Bałtyckiego” w recenzji książki Hanny Popowskiej-Tabor-

skiej „Kaszubszczyzna” podkreśla, że „odbiór tej książki powinien być szeroki wśród nauczycieli przede wszystkim”. Wielka to prawda — ale skąd książkę wziąć? W bibliotekach naszego środowiska (miasta) poza „Pomeranią” nie otrzyma się ani jednej pozycji, a warto dla przykładu podkreślić, że Filia Pedagogicznej Biblioteki w Kartuzach liczy sobie 18 000 woluminów.

Naszą pracę w szkole cechuje, podobnie jak różne dziedziny naszego życia, pewna aktywność. Organizuje się w szkołach od czasu do czasu konkursy, zespoły tańca regionalnego z krótszym lub dłuższym stażem, wielu akcjami rządzi moda. Najczęściej po jednorazowym zrywzie zyskuje sobie znów prawo obywatelstwa błogi stan samozadowolenia. A powinien być organizowany w pryncypialnym ujęciu ciągły proces wiązania naszej młodzieży z otaczającym ją regionem. Tego dzieła powinien dokonać nauczyciel, wyposażony w pełną i kompletną wiedzę o regionie, angażujący się w sprawy swego otoczenia. Potrzebna mu będzie pomoc, np. w formie krótkiego przeszkolenia. Mogły by to być krótkoterminowe wakacyjne czy śródroczne kursy dla nauczycieli na wzór organizowanych w okresie międzywojennym. Byłem uczestnikiem takiego kursu w 1936 roku w Kartuzach, na którym cykl wykładów na temat „Kaszuby” prowadził pisarz i działacz kaszubski dr Leon Heyke. Uważam, że z inicjatywą zorganizowania takiej formy pomocy pedagogom mogłoby wyjść Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, przy współudziale Kuratorium Oświaty i Wychowania w Gdańsku. Powołane do życia w październiku minionego roku Studium Wiedzy o Pomorzu w Gdańsku dla pedagoga z „głębokiego terenu” prawie że nie jest dostępne.

Brak tematycznych ujęć w obowiązujących programach szkolnych oraz niedostatki w opracowaniach podręcznikowych w pewnym stopniu paraliżują inicjatywę i przedsięwzięcia zmierzające do kontynuowania szerzej pojętej edukacji regionalnej. Często nie sprzyja wychowaniu regionalnemu również dość obojętny stosunek ludzi kompetentnych. Ciągłe podkreślanie ważności wychowania regionalnego i dopominanie się o edukację regionalną ma ogromne znaczenie. I dlatego uważam, że uchwały VIII Zjazdu Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego wszystkich nas powinny obligować. Im lepiej przygotujemy młodzież, tym więcej będziemy mieli „działaczy” pracą i sercem oddanych naszej sprawie.

JAN BALECK

Wyprawa wejherowskiej orkiestry klasztornej do Rzymu

Wojciech Wiła

W sierpniu ubiegłego roku orkiestra dęta istniejąca przy klasztorze franciszkanów w Wejherowie była w Rzymie. Swą wyjątkową podróż wejherowianie rozpoczęli od wymownego epizodu. Zbacząc nieco z wyznaczonej trasy, w miejscowości Konecki, niedaleko Ciechocinka, spotkali się z Pomorską Pielgrzymką Pieszą, która z Torunia zdążyła do Częstochowy. Kilkutysięcznym pątnikom maszerującym z diecezji chełmińskiej, gdańskiej i koszalińskiej orkiestra zadedykowała kilka utworów w marszowym tempie, żegnając przechodzące kolumny pielgrzymim pozdrowieniem.

Orkiestra klasztorna powstała po drugiej wojnie światowej, z chwilą powrotu do Wejherowa oo. franciszkanów, po latach wygnania przez Prusaków. Od samego początku zespołem opiekuje się Alfons Pater — nauczyciel kilku pokoleń kaszubskich muzyków, niegdyś wydawca i właściciel drukarni zasłużonej dla kaszubskiego piśmiennictwa, organizator i współtwórca Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Wejherowskiej w latach pięćdziesiątych, dzisiaj propagator muzyki na Kaszubach, twórcą kaszubskiego stylu orkiestr dętych. A. Pater opracował oryginalny zwyczaj z kalwaryjskim ceremoniałem repertuar orkiestry.

Zanim muzykująca młodzież z Wejherowa zadeła w trąby na włoskiej ziemi zaprezentowała polską muzykę religijną austriackim melomanom, występując między innymi po zakończonej Mszy św. w franciszkańskiej bazylice położonej opodal słynnej katedry św. Stefana. Wiedźnycy podziękowali wejherowskiej orkiestrze burzliwymi oklaskami.

Na ziemi włoskiej pierwszym miastem była Padwa, miasto św. Antoniego, z którą Polskę łączą liczne związki, głównie poprzez Alma Mater. Przejmująca i piękna była reakcja zgromadzonych w niedzielne przedpołudnie w słynnej Bazylice św. Antoniego, głęboko wzruszonych muzyką stojącej na stopniach głównego ołtarza orkiestry z Polski. Wspaniale brzmiały w ogromnej świątyni „Gaude Mater Polonia” i „Czarna Madonna”, dostojny „Marsz generalski” oraz opracowana na dętą orkiestrę „Ave Marja”. To kaszubsko-włoskie spotkanie było niezwykle serdeczne. Na prośbę licznych mieszkańców, wejherowska młodzież zagrała jeszcze na padewskim placu kilka marszów i wiązanek melodii ludowych z znaną i popularną kaszubską pieśnią „Zasól jô tam pszënica” oraz marszowe opracowania pieśni „Moje Wejrowo” i „Marsz wejherowski”. Miasto rodzinne św. Antoniego, patrona szczególnie czczonego na północnych Kaszubach, okazało się niezwykle wdzięcznym słuchaczem.

Kolejnym miastem była Bolonia — siedziba najstarszego w Europie uniwersytetu, w którego murach nauki pobierał Jakub Wejher, założyciel Wejherowa, fundator kościołów i Kalwarii Kaszubskiej. Tutaj wejherowska grupa obejrzała zabytki grodu i oczywiście zagrała.

W drodze do Asyżu zwiedzono arcyciekawą Sienę i Florencję, której franciszkański kościół św. Krzyża pełen jest poloników. Późnym wieczorem zatrzymano się w Asyżu. To jedno z najpiękniejszych miast średniowiecznej Europy powitano trąb.

Rankiem następnego dnia koncertowano przed Bazyliką Matki Boskiej Anielskiej w dolnej części miasta. W samo południe wejherowska orkiestra zagrała przed bramą Bazyliki św. Franciszka „Gaude Mater

Polonia” i zaalarmowała całe miasto potężnymi dźwiękami polskich marszów. Natychmiast zaludniły się place, tarasy, ulice i bramy. Potem nastąpił przemarsz uliczkami Asyżu na rynek, do katedry i do kościoła św. Klary, gdzie pożegnano Asyż, wszystko przy dźwiękach trąb. Tego dnia kaszubska orkiestra była chyba nie mniej podziwiana niż słynne świątynie, czy freski Giota. Zainteresowanie tłumu Włochów i turystów było tak wielkie, iż maszerujący zespół musiał prawie że przedzierać się przez średniowieczne ulice.

Następnego dnia w Rzymie nastąpiło kulminacyjne spotkanie na Placu św. Piotra. I tutaj jak w Padwie i Asyżu, jak w Austrii, wejherowska grupa znalazła się w centrum zainteresowania.

Na zapełniony różnorodnym tłumem plac przed Bazyliką św. Piotra, kaszubska delegacja, która tej srody reprezentowała również całe Pomorze, wkroczyła w kolumnie marszowej z transparentami i flagami.

Popis orkiestry trwał kilka godzin. Koncertu słuchał Ojciec Święty i w takt marszowych pieśni kroczył wśród tłumów.

Wejherowska pielgrzymka nie tylko była najgłośniejsza, ale także najbarwniejsza, miała najwięcej transparentów i flag. Przechodzący obok wejherowian Jan Paweł II długo czytał uniesione wysoko transparenty, na których między innymi wypisano kaszubską deklarację „My trzymamy z Bogiem” oraz zaproszenie Ojca Świętego na wzgórze Jerozolimy Kaszubskiej. Papież długo rozmawiał i słuchał gości z Kaszub, którzy wręczyli Janowi Pawłowi II wiele darów. Wśród podarunków były płaskorzeźba przedstawiająca wizerunek Matki Boskiej Wejherowskiej, bursztynowy różaniec, album o Kalwarii Wejherowskiej oraz ozdobione haftem kaszubskim ornaty. Gra wejherowian tak bardzo spodobała się również dostojnikom watykańskim, iż pozwolili — łamiąc przyjęty porządek audiencji — aby kaszubska orkiestra zagrała na szczybie watykańskich schodów, ponad zgromadzonym tłumem, i jako ostatnia ponownie spotkała się z papieżem, którego żegnała melodią góralską „Echo gór”, oryginalnie opracowaną na dętą instrumenty w rytmie marszowym.

Rzym zwiedzano przez trzy dni. 15-tego sierpnia delegacja pomorska udała się ponownie na spotkanie z Janem Pawłem II do Castel Gandolfo. Również tutaj orkiestra grała. Grała wkraczając do miasteczka i przechodząc przez nie do papieskiej rezydencji, i stojąc pod oknami papieskich apartamentów. W trakcie koncertu okna papieskich pokoiów rozwarły się, mimo że południowy skwar był niemiłosierny i Jan Paweł II słuchał religijnego koncertu uświetniającego ten maryjny dzień. Słuchały też tłumy zalegające miasteczko i jego zamek. Wielką muzykalność kaszubskiej młodzieży zebrani mieli okazję poznać, kiedy wejherowska orkiestra słysząc znaną pieśń z kręgu muzyki murzyńskiej amerykańskich wiernych dołączyła się do śpiewu, improwizując znany skądinąd standard jazzowy.

Krótko przed 12-tą czysty głos wejherowskiej trąbki obwieścił południe tonami „Hejnału Mariackiego”, poczem na balkonie pojawił się Jan Paweł II, który najpierw wymownym gestem podziękował kalwaryjskiej orkiestrze, następnie wymieniając poszczególne grupy, witając Wejherowo zaznaczył, iż wita

je szczególnie. Na koniec audjencji Jan Paweł II przyjął delegację na prywatnym spotkaniu, w czasie którego wręczył gwardianowi o. Benedyktowi — inicjatorowi, organizatorowi, kierownikowi i przewodnikowi pielgrzymki — śliczne różańce dla wszystkich uczestników.

Późnym popołudniem 15-tego sierpnia kaszubska orkiestra stanęła na wzgórzu Monte Cassino. Po zwiedzeniu benedyktyńskiego opactwa na cmentarzu polskich żołnierzy pomorscy delegaci odprawili uroczystość żałobną. Zagrano hymn „Marsz generalski” a następnie „Sygnał Wojska Polskiego”. Krocząc szeroką betonową drogą prowadzącą ku amfiteatralnie rozłożonym żołnierskim mogiłom, o białych krzyżach, podobnych do tych, jakie jeszcze nie tak dawno znaczyły kwatery żołnierzy Września na wejherowskim zabytkowym obecnie cmentarzu, grano „Marsza żałobnego” Chopina, utwór „Nad grobem Matki” oraz rzewną melodię „W mogile ciemnej”. Przy ogromnym kamiennym krzyżu Virtuti Militari, na grobie dowódcy II Korpusu, generała Wł. Andersa i biskupa połowego W.P. abp. J. Gawliny złożono biało-czerwone wiązanki kwiatów. Po modlitwach za poległych i w intencji Ojczyzny odegrano jeszcze pieśni religijne, a następnie w szyku marszowym z rozwiniętymi biało-czerwonymi flagami nastąpił powrót. Wieczór tego dnia był ostatnim, jaki spędzono w Rzymie.

W powrotnej drodze zwiedzono jeszcze Wenecję. Przejazdka tramwajem wodnym słynnym Canalle

Grande, spacer po placu św. Marka, zwiedzenie bazyliki i Pałacu Dożów oraz przechadzka uliczkami perły renesansu, kończyły pobyt na włoskiej ziemi. Ponieważ była niedziela wysłuchano Mszy św. w prywatnej kaplicy patryjarchów weneckich. Ostatnią noc orkiestra uczęła ulicznym koncertem dla weneccjan.

Jeszcze tylko wizyta w miastach austriackich; w historycznym bądź co bądź Branau (miasto rodzinne człowieka, który narodowi polskiemu odmawiał wszelkich praw), w którym w ostatnich latach duszpasteryzują polscy franciszkanie i polskim klasztorze pod Wiedniem. Już na ziemi polskiej wizyta u protektora kaszubskiej wyprawy, Ojca Prowincjała w Panewnikach i w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze. Po 16-tu dniach rzymskiej podróży nocą powrócono do śpiącego już Wejherowa.

Ta niezwykła w dziejach Kaszub podróży-pielgrzymka była nadzwyczaj udana, a jej sukces ogromny. O pobycie wejherowskiej grupy w Watykanie i Castel Gandolfo pisała włoska prasa i komentowała telewizja, a grę orkiestry oraz wywiad z o. Benedyktem dało radio. Młodzież wejherowska uczestniczyła w koncelebrowanej Mszy św., z udziałem czeskiego biskupa, w nawie Bazyliki św. Piotra, podczas której kazanie wygłosił wejherowski gwardian, o. Benedykt, a czytanie mszalne i śpiewy wykonali chłopcy z orkiestry klasztornej. Można przeto śmiało powiedzieć, że franciszkańska pielgrzymka wejherowian przysłużyła się Jerozolimie Kaszubskiej i całej Ziemi Kaszubskiej.

JESZ O MIONIE MIASTA KOŁBRZEG

Ślédnigo roku w numrze 11/12 Pomeranii bëła zmióнка o artyklu Kwirine Handtke w nr 6 „Zeszytów Naukowych... Uniwersytetu Gdańskiego” na tema: Jeszcze jedna możliwość interpretacji pochodzenia nazwy Kołobrzeg. Ta zmióнка dotegowa mie mëslę, dac swój pozdrzatk na tę sprawę.

W uprocemnieniu do te miona jesmë wszëtce zgoda, że jego pochodzeni je słowiańszci. Jele tak je, tej ten gard założele i pozwele Kaszëbi-Pomorzani, co ten dzël Pomorzczci zajimelie i w pierszi rëdze w kaszëbszci słowiznie przënólégó szëkak wëjasnienigo miona Kolberg. A w kaszëbiznie możemë nalezc dokôz na pierszi i na drëdzi dzël tego miona: przëmion kol, kole, pod, koło (zdrzë B. Sychta t. II str. 187), i zberk, pol. krawędź, brzeg w mól ps. berg (zdrzë B. Sychta t. VI str. 197), juwerny w budaceji ë znaczenim. Tak tej zdrzec z kaszëbszczigo pozdrzattu na pochodzeni pozwe Kolberg jem dbë, że wëjasnieni nôprostszci je colemało nôlepszi i jidze tu o gard zbudowóny kol berga, kol zberka (na zberku), kol brzëga — tak tej kasz. Kolberg(a), pol. Kołobrzeg.

Łońszciwo roku w aprëlu, z leżnote „Dni Kołobrzegu”, czël jô jem w zdrzëlniku wëpowiesc, że słowiańszci gard Kołobrzeg, Niemce, po usadzeni sę w Pomorzce, przëzwele Kolberg. Ten wasta, co na tema Kolberga gôdôł, to abo ni miôł rozeznanii w etimologiji te miona, abo nie brôł w całosce w rechunk mowę i dzeje Pomorzczci — w jaczci wësłów „Kołobrzeg” gwës nijak nie bëł znóny a Kaszëbi



przôde, i jesz dzys, wiedzno gôdiwele Kolberg(a). Polskô forma „Kołobrzeg” le je przerechenim kaszëbszczivo wësłowu i ni mô nick do uczinku z niemieczzim przëjnazczenim Kołobrzegu na Kolberg.

Jan Trepezyk
Wejherowo

OSADA KRUGLINIEC

Dwa kilometry na południowy wschód od Lipusza nad rzeką Czarną Wodą leży osada Krugliniec. Z tej właśnie osady wywodzi się moja rodzina. Mój ojciec powiadał, że Krugliniec swego czasu należał do Zaborów, czyli dzisiejszych Zaborowskich. Za czasów mojej młodości w Kruglińcu mieszkaly dwie rodziny Zaborowskich i rodzina Cybulskich. Na gospodarstwie po Antonim Zaborowskim zamieszkiwali kolejno: Stenclowic, Więckowie, a obecnie już druga rodzina Kiedrowskich. Także obecnie gospodarstwa Wawrzyńca Zaborowskiego i rodziny Cybulskich zostały podzielone, każde na dwie części. Nurtuje mnie jak do Kruglińca dostała się rodzina Cybulskich. Chociaż jestem najstarszy z żyjących Zaborów (82 lata) w żaden sposób nie znalazłem odpowiedzi.

Może z waszych reporterów ktoś to rozwikła. Czytałem już w „Pomeranii” artykuł o lipuskiej papierni, o osadzie Borowiec pod Lipuszem i — znajdującej się nieco dalej od Lipusza — Przerębskiej Hucie, więc może doczekam się jeszcze reportażu o Kruglińcu i o Zaborach. Nie wiem, czy moja rodzina była szlachecka czy gburka. Wiem natomiast, że moja nieżyjąca już żona Żmuda-Trzebiatowska z bytowskiego Płotowa pochodziła z rodu szlacheckiego, może nawet z tego samego co Anna Tajming.

Julian Zaborowski
Lipusz

POMNIK F. CEYNOWY

Dzysô minëło sto lat od smiercë najigo wialdzigo Kaszëbë Floriana Ceynowë, chtërën nie bëł le piërszim pisôrzem kaszëbszczim, ale tël wialdzim dzalaczem oglosłowiańszcim.

Z leżnoscë statalny roczëznë jego smiercë môm wialgä prosbë do Zrzeszenigo Kaszëbszczigo, żebë zorganizowôł spoleczny fundusz na budowë pomnika Floriana Ceynowë. Nolepi bë bëło, żebë ten pomnik stanął w Pucku.

A. Nôdzël
Czelno

Po dzień dzisiejszy podążamy drogami Wejherowskiej Kalwarii, utartym od przeszło trzech stuleci szlakiem pątnika. Składa się na to kilka przyczyn. Jedną z nich jest wspólna prawie dla wszystkich kalwarii. Wskazał na nią najczcigodniejszy z pielgrzymów do Kalwarii Zebrzydowskiej Jan Paweł II. „Nade wszystko jednakże to, co tutaj człowieka stale pociąga na nowo — powiedział papież — to owa tajemnica zjednoczenia Matki z Synem, i Syna z Matką. Tajemnica ta opowiedziana jest tutaj plastycznie i szczerze poprzez wszystkie kaplice i kościółki... Wszystko to, rozłożone w przestrzeni i czasie, omodlone przez tyle serc, przez tyle pokoleń, stanowi szczególny żywy skar-

biec wiary, nadziei i miłości” (z przemówienia Jana Pawła II w Kalwarii Zebrzydowskiej w dniu 7 czerwca 1979 r.). I ta, malowana i rzeźbiona na stokach, szczytach i w dolinach południowych wzgórz wejherowskich ewangelia skłania do modlitwy i kontemplacji. Przyciąga urokiem przeszłości oraz bogactwem form architektonicznych, urzeka ciszą i pięknem przyrody, zachęca możliwością wzbogacenia się duchowo. To wszystko uzasadnia będąca w obiegu nazwa „nasze święte góry”. Kaszubski pielgrzym mówi „świante góre”.

Dla wszystkich tutaj nie nazwanych imiennie pielgrzymów naświetlam dzieje tej kalwarii.

Święte Góry Wejherowskie

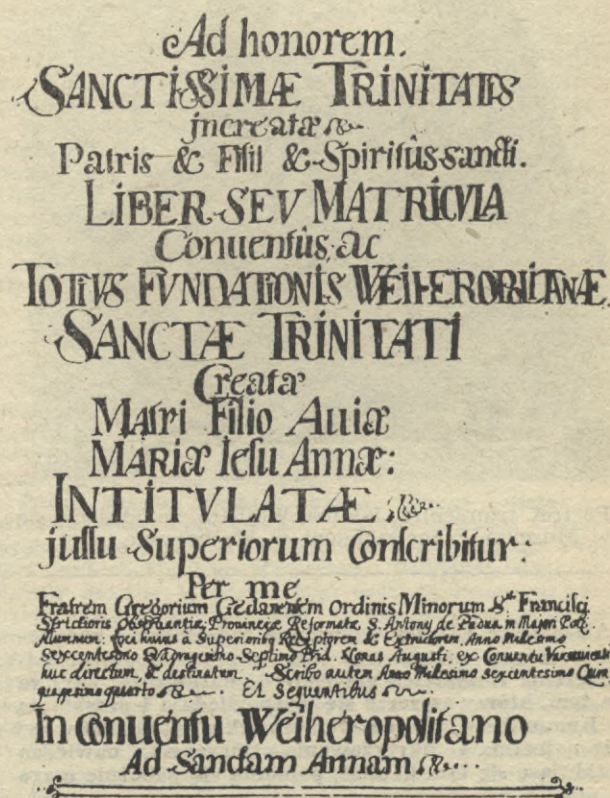
Gaudenty A. Kustusz

I. POWSTANIE WEJHEROWSKIEJ KALWARII NAJSTARSZE DOKUMENTY

Wiele krótszych czy obszerniejszych artykułów bądź wzmianek naświetlających powstanie Wejherowskiej Kalwarii zdradza słaby kontakt z najstarszymi dokumentami. Może przyczyną takiego stanu rzeczy leżą w ułatwionym dostępie do „Geschichte der Kreise Neustadt und Putzig” Fr. Schultza z 1907 r. czy do dwujęzycznego (po polsku i po niemiecku) wydania „Kalwarii Wejherowskiej” E. Roszczyniańskiego z 1928 r. W tym drugim przypadku należy znowu zwrócić uwagę na zależność tego opracowania od Fr. Schultza oraz od manuskryptu „Chronik der Stadt Neustadt angelegt im Jahre 1883 vom Pfarrer Rook”. Najstarsze dokumenty nie zostały dotąd w pełni zauważone i wykorzystane. Wpłynęło to na nieścisłości w obu wyżej wymienionych opracowaniach i tych, które z nich korzystały.

Najstarszą wzmianką dotyczącą istniejącej już Wejherowskiej Kalwarii znajdujemy w „Pandectae munitamentorum et actorum... collectae” o. Atanazego Krotoszy (1620—1681), który w latach 1652—1655 będąc prowincjałem wielkopolskiej prowincji reformatów p.w. św. Antoniego, w skład której wchodziła także wejherowska placówka, wziął osobiście udział w poświęceniu kaplicy Spotkania Chrystusa ze swoją Matką (20 czerwca 1654 r.). Informacja o. Krotoszy jest bardzo krótka. Podkreśla, że Jakub Wejher dla rozszerzenia nabożeństwa do Męki Chrystusa Pana polecił w swej dziedzicznej ziemi odmierzyć odpowiednie drogi (na wzór jerozolimskich według opisu Adrichomiusa) i wybudował kaplice, ozdabiając je drogimi marmurami porfiryjskimi, paryjskimi, tefrytami i białtami.

Najwięcej informacji dostarcza kronika franciszkańskiej placówki w Wejherowie nosząca tytuł „Liber seu matricula conventus ec totius fundationis weitheropolitanae”. Warto tu odnotować pionierskie opracowanie Gerarda Labudy pt. „Kronika franciszkanów wejherowskich — zapoznany zabytek historiografii klasztornej z połowy XVII wieku” w Studiach Polonistycznych z 1978 r. Trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek badania związane z Wejherowską Kalwarią bez zapoznania się z wymienionym dokumentem. Kronika stanowi nadto niezwykle cenne źródło dla odtworzenia początkowych dziejów miasta, dla naświetlenia wielokierunkowej



Strona tytułowa kroniki

działalności zakonników wejherowskiego klasztoru oraz dostarcza wielu szczegółów pomocnych dla odtworzenia obrazu religijnego życia Jakuba Wejhera. Autor tej części kroniki, o. Grzegorz Gdański (ur. ok. 1617, um. 1681), którego zyciorys został zarysowo przedstawiony w „Pomeranii” nr 7 (1980) w artykule pt. „Czy to niewiele o Grzegorz Gdzańskim”, umieścił w kroni-

ce odpis dokumentu zezwalającego na budowę kaplic kalwaryjskich, a w części zatytułowanej „Series fundationis calvariae eiusque patronum” informuje o budowie pierwszych dziewiętnastu kaplic między 9 czerwca 1649 r., a końcem 1654 r. W kronice znajdujemy odpis breve Aleksandra VII z dn. 12 maja 1661 r., zezwalającego na uzyskanie odpustów na Wejherowskiej Kalwarii, a także odpis breve apostolskiego Klemensa X z dnia 19 sierpnia 1675 r. przedłużającego możliwość uzyskania odpustów o dalsze dziesięć lat.

Breve papieskie Splendor paternae gloriae Aleksandra VII, jakkolwiek nosi datę 12 maja 1661, ogłoszone zostało w diecezji dopiero 26 sierpnia 1664 r., gdyż wtedy polecił to uczynić ordynariusz diecezji wrocławsko - pomorskiej, biskup Kazimierz Florian z Klewania Czartoryski. Papież ustosunkował się w tym dokumencie pozytywnie do prośby Jakuba Wejhera (Jacobi comitis Wejher), wojewody malborskiego i senatora Królestwa Polskiego. Należy przyjąć, że ta petycja zo stała wysłana przed śmiercią Jakuba Wejhera czyli przed 20 lutego 1657 r. Można nawet przyjąć, że została napisana w związku z mającym się odbyć pierwszym nabożeństwem kalwaryjskim (nie utożsamiać z nabożeństwami poświęcenia niektórych kaplic) w 1655 r.



Portret trumienny Jakuba Wejhera znajdujący się w Muzeum Franciszkanów w Wejherowie

Aleksander VII dla wzmoczenia religijności i zbawienia wiernych udziela trzy razy w roku pełnego odpuszczenia wszystkich grzechów i darowania kar za nie tym, którzy szczerze się wyświadcą i przystąpią do Komunii św., obejdą wejherowskie dróżki kalwaryjskie pojmania i ukrzyżowania Chrystusa, nawiedzą znajdujące się tam kaplice, pomodlą się pobożnie o zgodę między narodami, nawrócenie heretyków i wywyższenie (exaltatio) Kościoła. — Rozporządzenie papieskie jest ważne dziesięć lat.

Prócz wzmianki, że wymiary wejherowskich dróżek kalwaryjskich pojmania i ukrzyżowania Chrystusa miały za wzór jerozolimskie, dokument zawiera także wykaz stacji modlitewnych, które pielgrzym ma uwzględnić w określonej kolejności. Są nimi następujące kaplice lub ołtarze: Umycia nóg uczniom i wieczery, Modlitwy w ogrodzie, Zdrady i pojmania, Potoku Cedron, Annasza, Kajfasza, Pilata, Heroda, Biczowania, Koronowania, Wyroku śmierci, Włóże-

nia krzyża i dźwigania, Pierwszego upadku, Spotkania z Błogosławioną Dziewicą Maryją, Szymona Cyrenejezyka, Drugiego upadku, Weroniki, Trzeciego upadku w bramie jerozolimskiej „Naigrywania się”, Piątku niewiast, Ostatniego upadku, Obnażenia z szat, Losowania o szatę, Ukrzyżowania, Zdjęcia z krzyża, Namaszczenia ciała Chrystusa i Grobu Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Współczesny pielgrzym na Wejherowskiej Kalwarii zauważy, że kalwaryjskie procesje modlitewne (z wyjątkiem wielko-czwartkowej) nie zaczynają się od kaplicy Wniebowstąpienia, lecz od kaplicy Wniebowstąpienia, co wprowadzono zapewne po jej wybudowaniu. Od kaplicy Wniebowstąpienia prowadzi pielgrzym najstarsze znane nam wejherowskie modlitewniki kalwaryjskie. Dokument papieski uwzględniła inna kolejność. Uderza nadto wzmianka o czterech upadkach. Można zapewne uważać kaplicę Szymona Cyrenejezyka za miejsce rozważań także o drugim upadku, podobnie jak kaplica Pilata jest miejscem kilku stacji modlitewnych. Dokument nie wspomina jednak takich kaplic lub ołtarzy jak Domek Matki Bożej, Grób Matki Bożej, Wniebowstąpienie Pana, Przybijanie do krzyża.

Kolejny, umieszczony w kronice, dokument papieski w tej samej sprawie nosi datę 19 sierpnia 1675 r. i ma taką samą osnowę. Z prośbą o udzielenie odpustów wystąpiła tym razem Cecylia Eleonora Breunerowa (córka Jakuba Wejhera i Anny Elżbiety Schaffgotsch), primo voto Schaffgotschowa, a odpustów udzielił papież Klemens X. W tym samym jeszcze roku (13 grudnia 1675 r.) biskup chełmski Stanisław Dąmski, administrator diecezji wrocławsko - pomorskiej ogłasza ten dokument diecezjanom.

W kronice znajdujemy także szerszą wzmiankę o istnieniu prowizji przewidzianej przez Jakuba Wejhera corocznie dla odnowy kaplic kalwaryjskich, ale dopiero pod datą 1672 r. Jakkolwiek kronika nie jest jedynym źródłem informacji o tej prowizji, to jednak na nią zwrócimy baczniejszą uwagę. O Grzegorz zaznacza, że dotąd o prowizji nie wiedziano. Wprawdzie Jakub Wejher przekazał przed śmiercią dwa tysiące florenów magistratowi Frydlandu (obecnie Debrzno), by ten spłacał prowizję z deponowanej sumy na utrzymanie kalwarii, brak jednak było kontraktu. Zdołano tę sprawę polubownie uregulować w lipcu 1673 r. Pełne brzemienie protokołu, określającego wysokość prowizji, termin jej wypłaty oraz nazwiska przedstawicieli obu stron go podpisujących umieścił o. Grzegorz w klasztornej kronice.

Pośród innych wiadomości, zapisanych w kronice przez o. Grzegorza, należy wspomnieć opis uroczystości poświęcenia kaplic: Spotkania Chrystusa z Matką, Ukrzyżowania, Grobu Chrystusowego i uwagi dotyczące trudności ukończenia kaplicy Pałacu Heroda.

Na uwagę zasługują także niektóre z rozporządzeń powizytacyjnych dotyczące spraw kalwaryjskich).

Wielką wartością dla dziejów Wejherowskiego Sanktuarium Męki Pańskiej ma rycina zatytułowana „Calvaria et via dolorosa Passionis D.N. Jesu Christi prope civitatem Weiheropolim”.

Należałoby najpierw ustalić datę jej powstania. W tym przypadku miarodajnym, moim zdaniem, jest dłuższy tekst znajdujący się w jej dolnym prawym rogu. Dowiadujemy się z niego, że M. J. Judycki (o którym będzie jeszcze mowa) zaprasza ówczesnego biskupa wrocławsko - pomorskiego Kazimierza Floriana Czartoryskiego do przybycia na Wejherowską Kalwarię. Przykład biskupa rozstawiłby to uświęcone miejsce i zachęcił innych. Judycki zaznaczył również, że papież Aleksander VII obdarzył je obficie „niebiańską rosą łask bożych, wypływających ze zasług cierpiącego Chrystusa”. Skądinąd wiemy, że Aleksander VII wydał w tej sprawie breve w dniu 12 maja 1661 r. Ten rok można by było przyjąć za czas powstania ryciny, gdyby nie fakt, że owo breve doczekało się ogłoszenia w diecezji wrocławsko - pomorskiej dopiero w dniu 26 sierpnia 1664 r. Rycina mogła zatem powstać około 1664/1665 r.²⁾

W świetle tej daty szczególnego znaczenia nabiera fakt, że na interesującym nas planie kalwarii znajduje się już dwadzieścia pięć kaplic rozmieszczonych na

południowych wzniesieniach miasta. Poszczególne kaplice łączy naniesiona droga kalwaryjska. Lista kaplic przedstawiona została w następującej kolejności: Miejsce modlitwy na Górze Oliwnej, Pojmanie, Most z kaplicą nad Cedronem, Brama wód, Dom arcykapłana Annasza, Dom arcykapłana Kajfasza, Pretorium Pilata, Pałac króla Heroda, Nalożenie krzyża, Pierwszy upadek pod krzyżem, Spotkanie Błogosławionej Maryi Dziewicy w towarzystwie św. Jana Cyrenejczyka, Weroniki, Brama sądowa i Drugi upadek pod krzyżem, Spotkanie niewiast, Trzeci upadek pod krzyżem, Obnażenie z szat, Przybicie do krzyża, Podniesienie krzyża Pana Naszego Jezusa Chrystusa, Namaszczenie, Grób Chrystusa Pana, Wieczernik, Domek Błogosławionej Maryi Dziewicy, Wniebowstąpienie Pańskie, Grób Błogosławionej Dziewicy Maryi. Podany w prawym górnym rogu ryciny opis wydaje się mieć w swej końcowej części również znaczenie przy ustaleniu kolejności powstania niektórych kaplic.

Wreszcie sprawę bardzo istotną dla wykazania się wiernym odtworzeniem Jerozolimskiej Kalwarii w Wejherowie przez zwrócenie uwagi na właściwe odległości między poszczególnymi kaplicami rozwiązuje zapis w lewym górnym rogu. Autor tego planu określił je w jednostce miary zwanej gressus. Suma owych „gressus” wynosi 5936, co równa się 2965 „passus” albo 989 „particae”. Informacja niezmiernie ważna. Odległości są następujące: od miejsca modlitwy Chrystusa do miejsca pojmania — 40; stąd do domu Annasza — 236; stąd do domu Kajfasza — 330; stąd do pretorium Pilata — 1000; stąd do króla Heroda — 350; powrót inną drogą do Pilata — 480; stąd do miejsca nalożenia krzyża — 26; stąd do pierwszego upadku — 80; dalej do spotkania Chrystusa z Błogosławioną Dziewicą Maryją w towarzystwie św. Jana — 60; stąd do Cyrenejczyka — 70; dalej do Weroniki — 191; stąd do Bramy Sądowej czyli drugiego upadku — 337; stąd do płaczących niewiast — 349; stąd do podnóża Góry Kalwarii — 162, stąd do obnażenia z szat — 18; dalej do ukrzyżowania — 12; stąd do ustawienia krzyża — 14; stąd do zdjęcia i namaszczenia — 13; stąd do grobu wreszcie — 43. Właśnie te odległości gwarantowały zgodność wejherowskich drózek kalwaryjskich z jerozolimskimi. Porównanie podanych tu odległości z tymi, które ustalił Adrichomius, wykazuje jedynie w kilku przypadkach odcieście od prawozoru.

W „Erectiones omnium almae Antonianae provinciae Majoris Poloniae et ab ea die Augusti 1750 exdivisae mariano-prussicae conventuum” odnośnie początków Wejherowskiej Kalwarii znajdujemy jedynie powtórzenie informacji podanych już przez o. Atanazego Krotoszę.

Natomiast nasz okres ubogaca interesujący zbiór dokumentów pt. „Liber additamentorum ad Erectiones conventuum provinciae Majoris Poloniae et ab ea 1750 exdivisae provinciae Mariae in Prussia sub titulo Assumptionis Beatissimae Reformatorem”. W nim znajdują się mało znane listy Jakuba Wejhera. W pisanym 1 lutego 1655 r. w Człuchowie liście do ówczesnego prowincjała wyraża wojewoda malborski życzenie, by w Wejherowie jednocześnie z kapitułą odbyć się mogły konsekracja kościoła klasztornego, wprowadzenie do niego relikwii św. Leoncjusza oraz rozpoczęcie nabożeństw kalwaryjnych. Zaistniały jednak okoliczności z powodu których Jakub Wejher nie mógł przybyć na czas kapituły do Wejherowa. W związku z tym pisze z Człuchowa 16 lipca 1655 r. do ojców kapitulnych kolejny list, w którym wyrażając żal z powodu niemożliwości przybycia, zachęca m. in. do gorliwej pracy obejmującej także kalwarię i oznajmia, że jest gotów umieścić „kilka tysięcy na prowizję roczną w określonym miejscu”, by z nich można było czerpać dla odnowy klasztoru i kaplic. Zdawał sobie bowiem sprawę ze szupłości jałmużny na ten cel w heretyckim otoczeniu.

Ten zbiór zawiera nadto dwa dokumenty, noszące tytuły: „Informatio super locum Weyheropolitensem” oraz „Apographum epistolarum anno 1663 die 20 Febr. ad illustrissimos Weyheroviensium bonorum et ss. foundationum Patronos a patre Gregorio Gedanensi, pro tunc guardiano Weyheropolitense datarum”. Oba dokumenty wzbogacają o dalsze szczegóły początkowy okres istnienia Wejherowskiej Kalwarii.

Założenie pierwszej kalwarii na terenie Prus Królewskich jest przede wszystkim zasługą Jakuba Wejhera (1609—1657), ówczesnego malborskiego senatora, będącego także starostą człuchowskim, bytowskim, kiszporskim (dzierzgońskim) i borzechowskim. Jej powstanie jest jakby dalszym następstwem wydarzeń w życiu wojewody malborskiego. Niezwykle ocalenie od śmierci pod Białą Smoleńską w 1634 r. było przyczyną podjęcia decyzji wybudowania kościoła ku czci Trójcy św. pod wezwaniem św. Franciszka z Asyżu, osobistego patrona Jakuba Wejhera. Gdy w 1643 r. Jakub Wejher w swoich dobrach dziedzicznych, nieco z dala od niespokojnej Zatoki Gdańskiej, założył nową osadę w niej właśnie przystąpił do budowy wotywnego kościoła. Poświęcenie odbyło się 3 października 1644 r. Po paru latach sprowadził do osady franciszkanów (reformatów). Przybyli tu w 1647 r. Dla nich buduje drugi kościół z klasztorem, w którym zamieszkali z dniem 3 października 1649 r. Jakubowi bardzo zależało na odrodzeniu, umocnieniu i rozszerzeniu się wiary katolickiej wśród miejscowej i okolicznej ludności, narażonej na wpływy luterzańskie. Wyrazem troski o życie religijne były m. in. starania o założenie kalwarii. Odpowiadały one wizji senatora, by jego miejscowość stała się siedzibą misjonarzy, rozechodzących się na całą okolicę jakoby z nowej Jerozolimy, posiadającej także kalwarię. Pozwolenie otrzymał w 1649 r. Ten rok uznać można za datę założenia Wejherowskiej Kalwarii. Ówczesny biskup włocławsko-pomorski zaznaczył w swoim zezwoleniu, że to przedsięwzięcie Jakuba Wejhera jest miłe Bogu, pożyteczne Kościołowi i wiernym oraz bardzo potrzebne dla kultu religijnego. Założenie „drózek jerozolimskich” miało wielkie znaczenie dla nowej miejscowości, która otrzymała w 1650 r. prawa miejskie³⁾. Od czasu, gdy godło zbawienia zabłysło na kapliczkach i można było odprawiać nabożeństwa pasyjne, nabrało Wejherowo „w oczach ludu kaszubskiego więcej znaczenia niż Gdańsk handlowy i Oliwa prastara z kościołem ślicznym gdyby ulanym”⁴⁾.

Pod względem administracji kościelnej należało Wejherowo jako część archidjakoconatu pomorskiego i dekanatu puckiego do diecezji włocławsko-pomorskiej. Głównym inspiratorem idei zbudowania kalwarii był ks. Mateusz Jan Judycki, archidjakon pomorski. Klasztor franciszkanów (reformatów) prezentował w tym okresie we wszystkich prawnych sprawach o. Grzegorz Gdański, przełożony zakonnej placówki.

FUNDATORZY

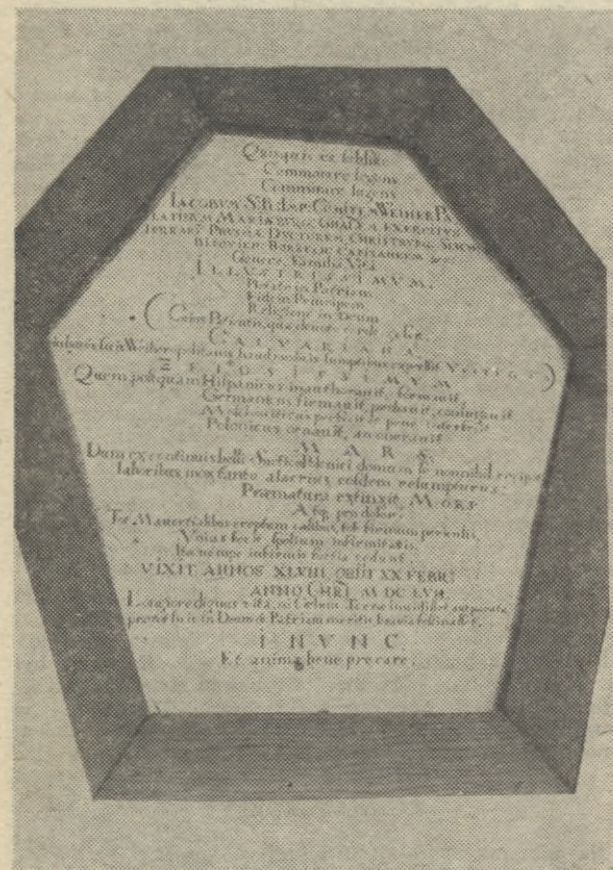
Na pierwszym miejscu wymienić należy Jakuba Wejhera, założyciela miejscowości, w której był już fundatorem kilku obiektów sakralnych, zanim zdecydował w 1649 r. o założeniu kalwarii, wymierzaniu dróg i budowie kaplic.

Postać Jakuba Wejhera czeka jeszcze stale na wszechstronne opracowanie. Zainteresowanie budzi pochodzenie jego rodu i znaczenie tego rodu dla Prus Królewskich i całego Królestwa Polskiego, dom rodzinny Jakuba Wejhera, jego osobista droga do zdobycia wiedzy, umiejętności wojskowe i piastowane urzędy w Rzeczypospolitej, jego religijna i patriotyczna postawa czy budzące uznanie poparcie dla sztuki. Pojawia się coraz więcej wnikliwych opracowań na temat Jakuba Wejhera, jak to H. Borowskiego w „Jantarowych Szlakach” czy w „Dzienniku Bałtyckim” z 1978 r., E. Kotarskiego w „Pomeranii” z tegoż roku (artykuł J. Więkowski w „Pomeranii” nr 1/81 r. autor nie mógł znać, przyp. red.), czy też stwierdzenia zawarte w studium S. Ciary pt. „Kariera rodu Wejherów 1560—1657, wydane w Warszawie w 1980 roku.

W tym miejscu wydaje mi się ważne dla ukazania sylwetki Jakuba Wejhera wspomnieć jedynie o kilku sprawach naświetlających fundację tak rzadkiego dzieła jak Sanktuarium Męki Pańskiej oraz zwrócić uwagę na stałe interesowanie się wojewody malborskiego przebiegiem jego realizacji. Dróżki kalwaryjskie na wejherowskich wzgórzach są nie tylko wyrazem hojności pomorskiego magnata, lecz także świadectwem wdzięcznego Bogu serca chrześcijanina.

Na osobistą religijność młodego wojewodzica wielki wpływ wywarło uratowanie życia pod Białą Smoleńską w 1634 r. i z tym związana szczerza wdzięczność, wypowiadająca się w realizowaniu złożonego ślubowania przez wybudowanie kościoła pod wezwaniem św. Franciszka ku czci Trójcy Przenajświętszej, w założonej przez niego miejscowości.

Ważnym momentem było zawarcie ślubu w obrządku rzymsko-katolickim z Anną Elżbieta Schaffgotschówną w dniu 18 października 1636 r. w regensburskiej katedrze. Kontakty z dworem cesarskim wpłynęły na jego pozycję społeczną, a potrzeba stworzenia warunków życia założonej własnej rodziny skierowały jego uwagę na dobra rodzinne. Małżonka okazuje się zapałą rzeczniką jego fundacji religijnych, w tym także budowy kalwarii.



Epitafium Jakuba Wejhera znajdujące się w Muzeum Franciszkanów w Wejherowie

Nadto podkreślić należy, że Jakob Wejher piastował wtedy urzędy starosty bytowskiego, człuchowskiego, wojewody malborskiego wraz ze starostwem kiszporskim (dzierżgońskim). Jako wojewoda malborski był również senatorem. Rozległe posiadłości własne, dzierżawa wspomnianych starostw i godność senatorska odegrały przy realizowaniu zbożnego zamiaru zbudowania kalwarii ważną rolę.

Założyciel nowej miejscowości, dla której postara się wkrótce o prawa miejskie, a postaral się już o przyjęcie przez franciszkanów (reformatów) fundacji pod klasztor i kościół klasztorny św. Anny, przystępuje do nadania tej miejscowości znaczenia ośrodka religijnego na wzór Jerozolimy przez budowę kalwarii i misjonarską działalność zakonników.

Tych parę szczegółów pomoże nam lepiej zrozumieć okoliczności podjęcia przez Jakuba Wejhera decyzji budowy kalwarii. Miał nadto obok siebie światłego i znanego w kręgach kościelnych człowieka, a mianowicie ks. Jana Mateusza Judyckiego, archidiacona pomorskiego. Jego nazwać należy inicjatorem budowy Sanktuarium Męki Pańskiej.

Jakikłwiek wśród członków własnej rodziny znalazł on życzliwych dobrodziejów wspierających bu-

dowę kalwarii, własnym kosztem wystawił dziesięć kaplic. Najokazalszą z nich jest kaplica Pretorium Piłata. Do pozostałych dziewięciu należą: Pojmanie Chrystusa (Pocalunek Judasza), Most na Cedronie, Dom Annasza, Dom Kajfasza, Ostatnia brama jerozolimska (Brama Krwawa), Spotkanie płaczących niewiast, Ostatni upadek Chrystusa, Przybicie do krzyża, Zdjęcie z krzyża (Pieta). Jakub Wejher, jako główny rzecznik fundacji przestrzenno-architektonicznej, interesował się stale całością. Wziął udział w poświęceniu kościoła Ukrzyżowania (30 maja 1654 r.) oraz kaplicy Spotkania Chrystusa z Matką (5 czerwca 1654 r.). W liście z 1 lutego 1655 r., skierowanym do o. prowincjała wspominał o życzeniu, by w tymże roku rozpoczęto odprawianie nabożeństw kalwaryjskich. Wybuch nowej wojny szwedzko-polskiej wpłynął jednak na tymczasowe odłożenie inauguracji tych nabożeństw. Jakub Wejher, prawdopodobnie już po otrzymaniu nominacji na głównodowodzącego wojsk w Prusach Królewskich, pisze w dniu 16 lipca 1655 r. do kapituły prowincjalnej list pełen wyrazów troski o los klasztoru wejherowskiego łącznie z kalwarią i szkołą. Świadczy, że klasztor i kaplice kalwaryjskie potrzebować będą w następnych latach funduszy na odnowę, zapowiedział umieszczenie kilku tysięcy w wybranym miejscu jako podstawy do rocznej provizji na rzecz Wejherowskiej Kalwarii.

Prawdopodobnie między rokiem 1654 a 1657 Jakob Wejher wystąpił do Stolicy Apostolskiej z prośbą o udzielenie odpustów korzystającym z Wejherowskiej Kalwarii.

Jego troskliwość o Wejherowską Kalwarię doszła jeszcze raz do głosu pod koniec życia. W testamentie, podpisanym w przededniu śmierci — 19 lutego 1657 r., zaznaczył, by dzieci z małżonką Joanną życzliwie dbały o konserwację kalwarii i klasztoru w Wejherowie. Zmarł 20 lutego 1657 r. w dzielnicy podmiejskiej Gdańska. Pogrzeb odbył się u o.o. dominikanów w Gdańsku. Zwłoki przewieziono potem do podziemi wejherowskiego kościoła klasztornego, gdyż takie było życzenie Jakuba Wejhera⁹⁾. Epitafium (znajdujące się w Muzeum Franciszkanów w Wejherowie) podkreśliło zasługi Jakuba Wejhera, również jako fundatora Wejherowskiej Kalwarii:

„Kimkolwiek jesteś, zatrzymaj się.

Wspomnij czytając, podziwiaj z żalem Jakuba Wejhera, hrabiego Świętego Cesarstwa Rzymskiego, wojewodę malborskiego, naczelnego wodza Ziemi Pruskiej, starostę dzierżgońskiego, człuchowskiego, bytowskiego, borzechowskiego, itd. Jaśnie Wielmożnego urodzeniem, pochodzeniem, życiem, miłością do Ojczyzny, wiernością do Króla, pobożnością wobec Boga, Jego drogę cierpień kalwaryjskich, które czcił całym sercem, odtworzył niemalym kosztem w swoich dobrach wejherowskich.

Tak bardzo gorliwego męża MARS hiszpański wezwał i ukształtował, germański zahartował, doświadczył i wchłonał, moskiewski wydoskonalił i omal nie pozbawił życia, polski przysporzył chwały czy też przeciążył. Kiedy na jakiś czas powrócił do domu po trudach wojny szwedzko-polskiej, by z tym większym zapalem podjąć ją na nowo, zgasiła go przedwczesna śmierć. Jakże to bolesne.

Ocalony z tyłu wojennych przygód, doświadczony w tyłu niebezpieczeństwach, stał się łupem jednej choroby. Tak to siła ustępuje słabości.

Zył 48 lat, zmarł 20 lutego 1657 Roku Pańskiego. Godny był dłuższego życia, gdyby niebo nie było pozazdrościło ziemi, albo gdyby za tyle zasług dla Boga i Ojczyzny nie pospieszyło się z nagrodą. Idź teraz i pobożnie pomódl się za jego duszę”.

Na szczególną wzmiankę zasługuje bardzo zapałona rzeczniczka budowy kalwarii, wspomniana już pierwszą żoną — Anna Elżbieta Schaffgotsch. Urodzona 11 lutego 1622 r. na Dolnym Śląsku była najstarszym dzieckiem i jedyną córką Ulryka II Schaffgotscha oraz Barbary Agnieszki z protestanckich książąt śląskich Piastów. Parę miesięcy przed ślubem z Jakubem Wejherem zmieniła wyznanie protestanckie na katolickie. Po ślubie (18. 10. 1636 r.) opuszcza na zawsze strony rodzinne, by od-

tań żyć przy boku męża, przebywając bądź w Człuchowie, bądź w wejherowskich dobrach dziedzicznych. Funduje piękną i kosztowną kaplicę Spotkania Chrystusa z Matką. Umierając już 8 kwietnia 1650 r. w Człuchowie nie doczekała się jej wybudowania i poświęcenia. Spoczęła w podziemiach kościoła klasztornego. Kronikarz klasztorny nazywa ją ze względu na zaangażowanie w budowę kalwarii „secundaria, sed ferventissima promotrix”⁶⁾.

Młodsza córka Jakuba i Anny Elżbiety Cecylia Eleonora jest fundatorką kaplicy Podjęcia krzyża (w jej pierwotnym wyglądzie). W późniejszym życiu odegra jeszcze ważną rolę w sprawach kalwaryjskich. Po śmierci Jakuba Wejhera wyszła w dniu 13 stycznia 1658 r. (we Wrocławiu?) za mąż za Jana Udalryka Schaffgotscha, swojego wujka, uzyskawszy na to dyspensę papieską. Mąż jej dla przejęcia dóbr wejherowskich na mocy prawa spadkowego przybył (z Wrocławia?) do Wejherowa po raz pierwszy po ślubie w dniu 20 maja 1660 r. Jest już po podpisaniu traktatu pokojowego w Oliwie. Obszedł pobożnie miejsca kalwaryjskie i zapewne na widok aktualnego stanu ponowił przyrzeczenia rodziców swojej żony, żeby rozpoczęte dzieło dokończyć i pielęgnować. Po niespełna dwu tygodniach umiera w Gdańsku. Cecylia Eleonora z Wejherów Schaffgotschowa przejmując na siebie pełną odpowiedzialność za całość dóbr rodzinnych, w tym i za fundację kalwaryjską. Trudno ustalić dokładnie dalsze koleje życiowe Cecylii Eleonory i określić w pełni zakres jej troski o kalwarię. Nieco wyjaśnia nam breve apostołskie Klemensa X z dnia 19 sierpnia 1675 r. Występuje w nim jako wojewodzianka malborska, prosząca o udzielenie odpustu pod określonymi warunkami dla obchodzących dróżki kalwaryjskie pojmania i ukrzyżowania Chrystusa. Wyszła ponownie za mąż, skoro nazywa się ją w tym dokumencie Cecylia Eleonora z Wejherów Breuner. Wydaje się być mylna często spotykana informacja, jakoby Joanna Katarzyna primo voto Wejherowa, secundo voto Leszczyńska, była właścicielką dziedzictwa Wejhera aż do 1665 r. Z chwilą zamążpójścia Cecylii Eleonory za Jana Udalryka Schaffgotscha, czyli już w styczniu 1658 r., właścicielem stał się mąż córki Jakuba Wejhera i A.E. Schaffgotsch, a potem Cecylia Eleonora. Tym się też tłumaczy pisanie przez o. Grzegorza Gdańskiego listów w sprawie ukończenia Wejherowskiej Kalwarii do przedstawicieli rodu Schaffgotschów, choć żyła jeszcze wdowa po Wejherze i powtórnie po Leszczyńskim Joanna Katarzyna z Radziwiłłów. Cecylia Eleonora zarząd majątku powierzyła innym, aż do momentu sprzedaży w ogóle.

Starsza córka Jakuba i Anny Elżbiety Anna Teresa funduje kaplicę Weroniki.

Kuzynka Jakuba Wejhera Anna z Wejherów Grudzińska, wojewodzianka rawska, jest fundatorką okazałego kościoła-kaplicy Ukrzyżowania. Dzień poświęcenia kaplicy zgromadził członków rodziny i licznych wiernych.

Bratanica wojewody malborskiego Anna Konstancja z Wejherów Czarnkowska funduje kaplicę Grobu Chrystusa, bardzo wzbogacając architekturę Wejherowskiej Kalwarii.

Do wystawienia kaplicy Pałacu Heroda zobowiązała się Joanna Katarzyna z Radziwiłłów, druga małżonka Wejhera. Okazała się także bardzo troskliwą dobrodziejką kalwarii⁷⁾.

Ponadto do grona dobrodziejów należą dworzanie Jakuba Wejhera, fundujący kaplicę Szymona Cyrenejczyka pomagającego dźwigać krzyż Chrystusowi.

Podkreślić trzeba także zasługi dwóch wybitnych ludzi działających wtedy na tych terenach. Jednym z nich był wspomniany już ks. Mateusz Jan Judycki. Należał do najbardziej popierających założenie kalwarii. Z jego fundacji stanęła pierwsza kaplica — Pierwszy upadek. Ta kaplica jest trwałym świadectwem także wielu innych zasług, którymi ks. Mateusz Jan Judycki, doktor teologii i prawa kanonicznego, protonotariusz apostołski, archidiacon pomorski w kościele katedralnym wrocławskim, kanonik gnieźnieński, prepozyt i oficjał kamieński, sekretarz królewski, związał się z powstaniem i rozwojem klasztornej placówki, szkoły i kalwarii w Wejherowie. Jest to jedynie część zasług człowieka, który czeka na zaliczenie go do gro-



Portret trumienny Joanny Katarzyny Radziwiłłówny znajdującej się w Muzeum Franciszkanów w Wejherowie

na ciekawych i zasłużonych ludzi Pomorza Gdańskiego XVII w.

Drugim, wielce życzliwym dobrodziejem, był opat cystersów w Oliwie o. Aleksander Kęsowski (+ 1667). Przychylność wpływowego na Pomorzu Gdańskim opata odegrała wielką rolę. On używał zakonnika z opactwa oliwskiego dla wyznaczenia drózek kalwaryjskich i oznaczenia miejsc pod budowę kaplic. On także funduje kaplicę Agonii czyli kaplicę Chrystusa w Ogrodzie Oliwnym.

Wybuch drugiej wojny szwedzko - polskiej w 1655 r. wpłynął hamująco na ukończenie zamierzeń budowlanych. Podpisany w dniu 3 maja 1660 r. w oliwskim opactwie cystersów pokój między Szwecją a Polską zagwarantował w Prusach Królewskich protestantom wolność religijną. Oznaczało to uznanie wyznania augsburskiego za równouprawnione z katolicyzmem wzbudzające obawy o przyszłość katolików na tych terenach i o przychylną atmosferę wokół wejherowskiego Sanktuarium Męki Pańskiej. Ono tymczasem potrzebowało środków materialnych, które by pozwoliły kontynuować budowę. Jan Udalryk Schaffgotsch za-

1) Liber seu matricula conventus ac totius foundationis weihereopolitane, 1654. Oryginał znajduje się w Archiwum Diecezji Chełmińskiej, w dziale Wejherowo. Istnieją fotokopie tego dokumentu, m. in. w Archiwum Franciszkanów w Wejherowie. W dalszym ciągu mojego artykułu będę cytował: Liber seu..., dodając datę bądź tytuł zapisów kronikarskich.

2) Autorstwo sztychu nie jest ustalone. Może jest nim dreźdeńczyk Jan Bensheimer, rytownik działający w Gdańsku w drugiej połowie XVII wieku? Wiadomo bowiem, że Bensheimer jest twórcą dwunastu sztychów (in folio) założonej wtedy Wejherowskiej Kalwarii. Zob. m. in. Mathias Bersohn, O rytownikach gdańskich. Warszawa 1887, 19. Zachowałby się zatem przynajmniej jeden z dwunastu sztychów, zdobitych dziełem pt. Calvaria et via dolorosa passionis J. Christi prope civitatem Weiheropolim im Polonia, uchodzące za zaginione. — Ustalenie daty tego sztychu jest ważne także dla zajmujących się przeszłością Wejherowa. Korzystający z planu miasta, umieszczonego na tej rycinie, określają go jako plan Wejherowa z 1660 roku. Data ta jest za wczesna o parę lat.

3) Liber seu..., 1650. Została ustalona urzędowa pieczęć, która jest równocześnie herbem miasta: biały krzyż maltański na niebieskim polu, otoczony wieńcem wawrzynu, a w środku krzyża czerwona róża. Zdarza się, że tło herbu maluje się w kolorze złotym. Nie bez winy jest tu Marian Gumowski, Pieczęcie i herby miast pomorskich, Toruń 1939, 181—183, ze swoją uwagą o złotym tle.

pewnił wprowadzić w 1660 r. podjęcie się tego trudu, ale dwa tygodnie później umiera. Ciężar odpowiedzialności spadł na Cecylię Eleonorę Schaffgotschową.

Materiałne trudności skłoniły wtedy gwardiana wejherowskiego o. Grzegorza Gdańskiego do napisania w 1663 r. kilku listów, adresowanych do prawnych patronów kalwarii. Dołączył do nich opis kłopotów życiowych Jakuba Wejhera i jego rodziny, wynikłych zdaniem o. Grzegorza z pobłażliwości jaką okazał wojewoda malborski wyznawcom augsburskim. Z listów przebija troska o wyświetlenie niepewnej przyszłości wejherowskiej fundacji sakralnej oraz troska o fundusze dla całkowitego dokończenia tego, co zostało zaczęte i więcej niż w połowie zrealizowane.

Z faktu istnienia na rycinie pochodzącej prawdopodobnie z 1664/65 r. już dwudziestu pięciu kaplic, można by wywnioskować, że zabiegi o. Grzegorza doprowadziły do wybudowania po 1663 r. kaplic: Wniebowstąpienia Pańskiego, Grobu Matki Bożej, Wschodniej bramy jerozolimskiej, i Domku Matki Bożej. Fundatorzy wymienionych budowli sakralnych nie są nam jednak dotąd imiennie znani.

W 1673 r. zostaje uaktualniona wypłata zapomnianej prowizji na rzecz Wejherowskiej Kalwarii z fundacji Jakuba Wejhera przekazanej do dyspozycji magistrato wi Frydlandu.

W 1676 r. właścicielem dóbr wejherowskich został książę Michał Kazimierz Radziwiłł (+ 1681), związany z rodziną Wejherów poprzez rodzoną siostrę Joannę Katarzynę, która była drugą małżonką Jakuba Wejhera i macochą Anny Teresy i Anny Elżbiety. Pięć lat jego rządów jest okresem ukończenia budowy kaplicy Heroda oraz otrzymania nowego indultu zyskania odpustów na Wejherowskiej Kalwarii. Papież Innocenty XI wydał go 4 marca 1678 r. Szeroko relacjonuje treść papieskiego dekretu o. Aleksy Koralewicz. Odpusty zupełne oraz wiele cząstkowych zostały tym razem udzielone „na zawsze”. Ta decyzja papieska musiała mieć dodatkowy wpływ na rozwój dotychczasowych pielgrzymek do Wejherowa.

Szersza wzmianka należy się realizatorom budowy kalwarii. Z imienia i nazwiska są znani:

1. O. Robert Werden (+ 1653) cysters z opactwa oliwskiego, mierniczy (wejherowski okres jego działalności omówimy osobno).
2. O. Grzegorz Gdański (+ 1681), koordynator prac związanych z całą placówką zakonną, w tym i z kalwarią; w niniejszym artykule wspominamy jego zasługi jako kronikarza spraw kalwaryjskich i zapobiegliwego stróża ukończenia całości.
3. Brat Juniper Wrocławski (+ 1676), jedyny znany nam z nazwiska rzeźbiarz, który pracował wiele lat (1652—1658) w wejherowskim klasztorze.

STRÓŻOWIE

Opiekę nad kalwarią powierzył Jakub Wejher franciszkanom zwanym reformatami. Wyjaśnijmy określenie „franciszkanie zwani reformatami” i samą nazwę „reformaci”.

W 1209 r. św. Franciszek napisał pierwszą regułę dla założonego przez siebie zakonu. Z każdym rokiem przybywało nowych członków, tak iż w przeciągu kilku lat wyszli poza granice Italii i zawędrowali do innych krajów Europy. W zakonie wykrystalizowały się wkrótce dwa stanowiska co do zachowania ubóstwa: bardziej surowy i łagodniejszy. Pierwszych nazywa się franciszkanami obserwantami (Ordo Fratrum Minorum de Observantia czyli Zakon Braci Mniejszych Obserwantów), drugich franciszkanami konwentualnymi (Ordo Fratrum Minorum Conventualium czyli Zakon Braci Mniejszych Konwentualnych). Od 1517 r. stanowią osobne zakony.

Pobył franciszkanów obserwantów w Polsce datuje się od 1453 r., kiedy to św. Jan Kapistran, organizator ruchu obserwanckiego w obrębie zakonu franciszkańskiego, zakłada pierwszy klasztor obserwancki w Krakowie u podnóża Wawelu, pod wezwaniem św. Bernardyna ze Sieny. Dlatego tych nowo osiadłych zakonników franciszkańskich ludność zaczęła, jedynie w Polsce, nazywać bernardynami.

Spośród franciszkanów obserwantów z kolei wyodrębnił się zwolennicy jeszcze ściślejszej obserwacji franciszkańskiej (Ordo Fratrum Minorum Strictioris Observantiae Reformatorum). W Polsce franciszkańscy zwolennicy prądów reformistycznych zaczęli także myśleć o założeniu odrębnych placówek, które z czasem weszły w skład osobnych prowincji, zwanych reformatkami, a członków tych prowincji nazwano reformatami. Ci ostatni dali początek placówce franciszkańskiej w Wejherowie.

O przyjęcie fundacji wejherowskiej zwrócił się Jakub Wejher, za pośrednictwem ks. Mateusza J. Judycykiego, do odpowiednich władz zakonnych prowincji wielkopolskiej reformackiej pod wezwaniem św. Antoniego z centralną siedzibą w Warszawie. Polscy reformaci cieszyli się już wtedy pełną niezależnością i stanowili dwie prowincje: małopolską i wielkopolską. Wejherowo weszło w skład prowincji wielkopolskiej. Do zajęcia się mającą powstać placówką zostali jako pierwsi wysłani ojciec Grzegorz Gdański oraz brat Witalis Nowomiejski. Wyruszyli z reformackiego klasztoru warszawskiego. Jeszcze w roku przekazania petycji Jakuba Wejhera, tzn. w 1647, byli na miejscu i zajęli się organizacją nowej placówki. Jej dzieje rosły się bardzo z dziejami tego miasta i Jerozolimy Kaszubskiej.

Jakkolwiek w tym artykule przedstawiam jedynie punkt wyjściowy tych dziejów, to uczynię dwie uwagi wybiegające swoją treścią naprzód.

Pielgrzymi na Wejherowską Kalwarię aż do końca prawie XIX w. nazywali franciszkanów opiekujących się Kaszubską Jerozolimą reformatami. To określenie przetrwało do dzisiaj w nazwie ulicy, przy której było kiedyś główne wejście do klasztoru, a jest nadal do kościoła. Po II wojnie światowej z chwilą powrotu zakonników przyjęła się natomiast wyłącznie nazwa fran-

4) X. P. [Franciszek Mantey]. Ostatnie klasztory oo. reformatów w diecezji chełmińskiej, Pielgrzym 117/1878.

5) Krypta grzebalna, w której wojewoda malborski został w 1658 r. pochowany, a także jego najbliżsi, jest otwarta dla zwiedzających.

6) Liber seu..., Series fundationis.. Anna Elżbieta Schaffgotsch w 1631 r. straciła matkę, a w cztery lata później ojca, przy czym śmierć Jana Ulryka II została spowodowana względami politycznymi (kara śmierci za zdradę przez ścięcie na regensburskim rynku w dniu 23. 06. 1635 r.). Jakub Wejher po swoim chlubnym udziale w wojnie smoleńskiej zainteresował się ponownie poznaną już wcześniej Anną Elżbietą, a jego starania o jej rękę zakończyły się uroczystym ślubem w orszaku rzymsko-katolickim w regensburskiej katedrze w dniu 18 października 1636 r. Młoda Schaffgotschówna zdecydowała się bowiem parę miesięcy wcześniej zmienić wyznanie. Była matką czterech córek: 1. Anny Teresy, 2. Cecylii Eleonory; bliźniąt: 3. Katarzyny (l. 03. — 3. 03. 1649), Konstancji (l. 03. — 5. 03. 1649) oraz dwóch synów: Franciszka Ernesta (umiera mając trzy lata 30. 03. 1649) i Melchiora Jana (8. 04. 1650 — 09. 1650). Umiera przy porodzie ostatniego syna w Człuchowie w dniu 8 kwietnia 1650 r., nie mając jeszcze lat trzydziestu. Zanim przeniesiono jej ciało do grobowca pod kaplicą św. Jakuba (obecnie św. Józefa) w Wejherowie, została pochowana w człuchowskim kościele. Zachował się jej portret trumienny w blaszce oraz wizerunek wkomponowany w duże malowidło ściennie, znajdujące się w dawnym chórze zakonnym wejherowskiego kościoła klasztorowego.

Była właścicielką dóbr na Dolnym Śląsku. Jest także fundatorką budynku szpitalnego w Wejherowie.

Liber seu..., 1635 i nn.: J. Krebs, Hans Ulrich Schaffgotsch, Breslau 1890, 195, 223—224.

7) Joanna Katarzyna z Radziwiłłów, ur. w 1633 r., wyszła za mąż za owdowiałego Jakuba Wejhera we wrześniu 1652 r. w Białej Podlaskiej. Z tej okazji napisał Marcin Albrecht Kiełski utwór pt. Pallas epithalamica. Nie miała jeszcze dwudziestu lat. Zająwszy miejsce zmarłej Anny Elżbiety, popierała i wspomagała jej fundacje oraz była bardzo hojną dobrodziejką i troskliwą matką wejherowskiej placówki zakonnej za życia Jakuba, jak i po jego śmierci. Poleciła wykonać w chórze zakonnym wejherowskiego kościoła klasztorowego ścienne malowidło, przedstawiające Jakuba Wejhera i jego pierwszą małżonkę, trzymających model klasztoru i kościoła św. Anny na tle miasta i Wejherowskiej Kalwarii. W rok po śmierci Jakuba wyszła za mąż za hr. Bogusława Leszczyńskiego. Po piętnastu miesiącach owdowiała ponownie. Z pierwszego małżeństwa urodziła się córka Tekla Agnieszka, a z drugie go Ludwika Anna Teodora. Spotykamy ją na liście starostów Prus Królewskich jako wdowę Wejherową, a później Leszczyńską. Starostowała w Borzechowie i Człuchowie. Umiera w Człuchowie w dniu 30 czerwca 1665 r. w wieku 32 lat. Pochowano ją, zgodnie z życzeniem, w grobowcu rodzinnym jej pierwszego męża, odzianą w habit franciszkański. Jej testament jest świadectwem wielkiej dobroczynności. Zachował się jej portret trumienny.

ciszkanie i ona po konstytucji apostolskiej (Felicitate quadam) Leona XIII z 1897 r. obowiązuje obecnie w całym świecie zamiennie z nazwą Zakon Braci Mniejszych. Wejherowska placówka franciszkańska wchodziła kolejno w skład różnych reformackich prowincji. Do prowincji wielkopolskiej p.w. św. Antoniego należała do 1750 r. Następnie weszła w skład prowincji pruskiej p. w. Wniebowzięcia Najśw. M. Panny. Od 1855 r. do faktycznej kasacji należała do nowo utworzonej na terenie Wl. Księstwa Poznańskiego i w Prusach Zachodnich prowincji p. w. Niepokalanego Poczęcia Najśw. M. Panny. Po 1946 r. należy do prowincji p. w. Wniebowzięcia Najśw. M. Panny z centralną siedzibą w Katowicach — Panewnikach. W moim opracowaniu używam określenia „franciszkanie (reformaci)”, gdy omawiam dzieje wejherowskiej placówki zakonnej do momentu faktycznej kasacji, a określenia „franciszkanie”, gdy chodzi o okres po drugiej wojnie światowej.

W pierwszej połowie XIX w. na skutek zmian spowodowanych rozporządzeniami władz pruskich odpowiedzialność za utrzymanie Wejherowskiej Kalwarii przejmują Kolegium do spraw kaplic kalwaryjskich (zwane różnie: Katholische Kalvarien Kapellen Stiftung, Katholische Kalvarien Kapellen Stiftungs Collegium, Kalvarien Kapellen Kollegium, Kalvarien Kapellen Stiftung). Ten stan administracji istniał prawdopodobnie do I wojny światowej. Po wygnaniu franciszkanów (reformatów) pierwszorzędną rolę w Kolegium, a potem już samodzielnie, odgrywali proboszczowie kościoła św. Trójcy w Wejherowie. Tę listę zamyka ks. Edmund Roszczynialski męczenną śmiercią w listopadzie 1939 r. Zaraz po II wojnie światowej zawiązał się Komitet Odbudowy Kalwarii Wejherowskiej. Po przybyciu franciszkanów Komitet się rozwiązał, przekazując im swoje dotychczasowe wyniki pracy.

(Cdn.)

Eugeniusz Gołąbek

WSTAJITA!

Wszëtko ju bëło rzekli
zôs
jak zdrowasczi
powtôrżoma zwietrzali prôwde
a téż to
że bëłny prôwde razu nima
ně ale ko
czej prôwda je prôwdzëwô
czë...

Muszima le miec wiarę
muszima sę nauczec
swoją wiarą zarwac jinszech
co stracele nôdzeję

To wszëko ju rôż czëdes bëło
przóde
le karte bële jinaczi rozdóny
równak jesz rôż
dwigóma ze zemi
wëbladli stanice
zachrapiałim głosę wołóma
wstajita!

Ma to wszëtko wiéma
ale muszima rzec jesz rôż
koźdi muszi osmakac sóm
dotknąc
jak niedowiérny Tomk

Oni no wszëtko wiedzą
nawetka to téż
że nibe nima nôdzeji
le ma dziecny
próbujema jesz rôż
jak Syzif
może sę nama udô
ko muszi sę udac

URZAS

Nikomu të tego bë nie rzek jes
Ë w codzëń zgrôwôsz heroja,
Dłôwi ce trëchlëna, tej, w nen sztërk
W nieubëtku mokłôsz po se zbroję.

W sëmieni ce tej cos żgô
„Gadzëno, szurze, kãtorze të!”
Depce, poniżô, szturô...
Na mora nie złôżô z ce.

Ogrôszka trzëse, grużdysz sę. Të
Wojôrz urzasli, utracony w nôrt.
Dzyrkosc dzes wmiłła, miecz twój sę gnie,
Zwiãtpieni sę do ce cësnie na mort.

W nym — jenes! Głos czëjesz. Tam!
Trëptaniô pomiôn, cos je widzec w dôli.
Të bë rôd zwiornãł. Jesz wiclôsz sę,
Zdrzisz: krôśnië... A të mëslôł: stolem

Mój dom ⁽⁸⁾

Anna Łajming

Na drugi dzień poszłam z mężem spacerkiem do Przymuszewa. Obejrzelśmy dom, w którym się urodziłam i wysokie już brzozy. A dom, który w dzieciństwie wydawał mi się ogromny, teraz jakby zmalał i zmizerniał. Czerwona cegła z drzewem, tzw. pruski mur, dach pod papą. Nie było ławek przed domem jak kiedyś. Drewniane schody, które prowadziły z podwórka na balkonik przy strychu, waliły się. Obejrzelśmy staw. Skierowaliśmy się do nadleśnictwa, gdzie w kasztanach i świerkach schowany był jego budynek. Wzdłuż drogi stała ta sama stara szopa z bocianim gniazdem, długi chlew i nagle w głębi, zamiast pałacu — kupa gruzów. Zrobiło mi się smutno. Odeszliśmy w stronę Lendów.

Bardzo chciałam odwiedzić chorą Agatę, samotną kobietę, która w moim dzieciństwie przebywała u nas, gdy była potrzebna. Teraz leżała sparaliżowana na pustkowi u Trudy Lincowej, córki Turzyńskiego, w pobliżu Mutkowa. Było to cztery kilometry drogi. Palcem wskazałam mężowi daleką okrężną trasę, która z Lendów prowadziła przez pola do Żabowa, a stamtąd już lasem na wybudowanie. Męża przeraziła ta piaszczysta droga i zapytał, co ja chcę u jakiejś tam Agaty? Zaproponowałam bliższą drogę, prosto przez pola miedzą. Mąż się zastanawiał.

Na polach krzżeli się ludzie. W tym minął nas jakiś chłopak i biegiem puścił się właśnie tą miedzą, którą zamierzałam pójść. Natychmiast ktoś z pola krzyknął na niego, grożąc mu widłami:

— Kąd te tu pędzysz, jucho! Chcesz nom ronkle potrampac? Dokoła lez! Co be to boło, jakbę nom tu łotali wszesce święcy?

Chłopak zawrócił. Nam zrobiło się nieprzyjemnie. Staliśmy jeszcze przez chwilę, oglądając piękną okolicę. Mąż jednak nie zgodził się na okrężną drogę. Skręciłam wtedy drogą w lewo, która prowadziła wedle zabudowań dawnego właściciela p. Wittersheima, w stronę pustkowi Zimna Kawa i Betówko.

— Czego ty tam chcesz? — zawołał mąż.

— Chociaż zobaczyć kawałek Jeziora Somińskiego — odrzekłam.

— A nie masz tego jeziora w Parzynie pod nosem? Po co mamy się tu kręcić i to w pasie granicznym?

Zawróciliśmy do domu. W Przymuszewie mijaliśmy rżsko należące do Rechenberga, na którym jego pasierbica Erna Kryzel pasła krowy. Sterczała w polu jak słup, okryta długim łachmanem, z szlągą w rękę. Przeprosiłam męża i podeszłam do niej. Jako koleżanka szkolna zawsze witała mnie z uśmiechem, tym razem twarz miała wystraszoną. Przeraziła mnie jej wydłużona, chuda twarz z długim nosem, która przypominała jej nieżyjącą matkę. Przemówiłam do niej przyjaźnie, ale ona wywijiała różgą, mówiła od rzeczy. Odeszłam zasmucona. Erna rzeczywiście była pomylona.

Widziałam, że męża nużyła wieść tym bardziej, że przepadywał deszcz. Toteż już następnego dnia wyjechaliśmy do Tczewa. Tam wypogodziło się i chodziliśmy nad Wisłę. Specjalnie nie zachwycałam się zimną wodą tej rzeki, ani jej brzegami pełnych wiklin, pod którymi chowałam się od wiatru. Ale cieszyłam się na dzień, w którym mieliśmy pojechać do Gdyni, a stamtąd parostatkami na Hel i z powrotem.

W dniu, w którym wyjechaliśmy do Gdyni, była pogoda. Mąż zabrał swój służbowy aparat fotograficzny i robiliśmy zdjęcia. Tak na plaży w Orłowie, jak i na parostatkach nie było tłoku. Znajdowali się tam bogatsi kupcy i wyżsi urzędnicy z całego kraju, którzy lato spędzali nad morzem. Przyglądałam się im.

Myślałam wtedy, o mojej dawnej, dobrej przyjaciółce Broni Lipskiej, którą wśród nich pragnęłam spotkać. Niegdyś w Chojnicach mieszkaliśmy razem u jednej gospodyni, zwierzała mi się z swoich kłopotów miłosnych, problemów. Teraz powiedziałabym jej, że w życiu można być szczęśliwą bez tej wielkiej i szalonej miłości, z jaką ona tak beznadziejnie się borykała. Co też Bronia w tej chwili robi i czy ma dzieci? Czy jest szczęśliwa? Nie mogłam sobie wybaczyć, że zagubiłam jej adres. Uważałam ją za najlepszą dziewczynę w świecie. W życiu była bardziej doświadczona i wiele się od niej nauczyłam.

— Co ci jest? O czym tak myślisz? — zapytał mąż.

Ocknęłam się. Statek zatębiał, bo wracał do Gdyni. Mąż zamawiał, bez porozumienia ze mną, drogie napoje z cytryny i inne smakołyki dla mnie, jak bogaty pan. Jakiś bezrobotny muzyk grał na harmonii różne melodie, a potem z czapką w rękę obszedł wszystkie zajęte krzesła i znowu grał aż do Gdyni.

W pociągu do Tczewa w przedziale niespodziewanie zastaliśmy Wowę Gretmana z Torunia, który w Gdyni otrzymał zamówienia na różne etykiety na butelki. Mąż bardzo się ucieszył i zaczęła się gawęda. Mąż opowiadał m. in., jak trudno jest znaleźć w Tczewie i okolicy członków do ZER. Zapytał też co Wowa myśli o Szerokowie, bo teraz ma zastrzeżenia.

— To bardzo trudno zbadać — odrzekł Gretman.

— Każdy żyje swoim życiem. On obecnie pracuje i mało go widać. Ale wątpię, aby był podły i bawił się w szpiega.

— A gdyby jednak, to z takimi w przyszłości zrobił porządek w Rosji — powiedział mąż.

Wowa spojrział na niego i nic nie odrzekł.

Zapraszaliśmy go do nas, ale że już kupił bilet do Torunia i z przedłużeniem jego byłyby trudności, obiecał wstąpić następnym razem. Jeżeli naturalnie wypadnie niedziela, bo przecież w dni powszednie pracujemy?

— Tak, pracujemy — odrzekłam. — A urlop nasz już się kończy.

Widziałam, że Wowa miał więcej rozsądku i obliczalności niż mój mąż. Pożegnaliśmy się.

Na peronie pokiwaliśmy Wowie, aż tu nagle zbliżyła się do nas wysoka, czarna pani Stencel z Bałdowa. Wróciła z Pszczółek. Podeszła swoim męskim krokiem i przystanąła uśmiechnięta. Mąż był zaskoczony, a ona szturchnęła go w ramię mówiąc:

— No, co ja słyszałam, że was okradli? Boże, co się nie robi tu, na tym nędznym świecie!

— Niestety, tak — odrzekł mąż i roztargniony zerknął jeszcze na odjeżdżający pociąg. Zaraz jednak dodał. — Jesteśmy młodzi i zdrowi, a tego nam nie zabrali.

— To jest dobrze, że wy tak możeta się z tym zgodzić, bo ja to bym była werrückt. Już chciałam do was wstąpić, żeby wam coś przynieść...

— Dziękujemy pani bardzo, ale nie trzeba nam niczego — powiedziałam i mąż już chciał się z nią pożegnać, ale przypomniało mu się coś i zapytał:

— Pani mąż zamierza budować nową oborę, a znam dobrego murarza, jest bezrobotny i ma drobne dzieci...

Pani Stencel machnęła ręką i przerwała:

— Mój stary jest za frant, żeby sobie na kark wziąć furę dzieci. Bo gdzie jest wiele dzieci, nic innego nie robią jeno kraść...

— Ale niech pani słucha — mówił mąż. — Tu nie chodzi o mieszkanie, bo rodzinę ma w mieście, tylko jego niech mąż weźmie na budowę, aby coś zarobił. Pani może na swego męża wpłynąć.

— To pan go nie zna — odrzekła i wskazując na siebie palcem, dodała: — Jak bym ja temu mojemu tam kogoś bydowała, on by na mnie wrzasnął, jak by dostał śrutek w tyłek. Ale niech pan napisze do niego karteczkę, to ja mu oddam.

Mąż szukał notesu i ołówka. Tymczasem z hałasem nadjechał pociąg z Malborka do Gdańska. Przyglądałam się Niemcom, którzy wyglądali przez otwarte okna i jak pociąg powoli ruszał. Okienka przesuwały się jedno za drugim, aż nagle w jednym oknie jakaś szczupła pani w średnim wieku spstrzegając męża wyciągnęła rękę i krzyknęła:

— Her Nikolaus!

Mąż spojrział na nią i pobiegł razem z pociągiem, potrącając jakiegoś kolejarza. Coś krzyczał, a ona także. Ale pociąg głośno gwizdał i dudniąc zostawił męża w tyle.

— Teraz pani widzi, wiele on ma tych kobiet — powiedziała do mnie pani Stencel, kiwając głową. — Ona niby stara, ale jara. Ach, te chłopci!

Mąż był daleko, stał chwilę. Kiwał ręką do owej pani, która machała szalikiem. Potem wrócił rozdygotany.

Zapytałam co się stało?

— Powiem ci potem — rzekł, oddając karteczkę pani Stencel. Widziałam, że drżały mu ręce. Pożegnał się natychmiast.

W drodze do domu mąż szedł szybciej niż zwykle. Nie mogłam zdążyć za nim. Szedł jakby zapomniał o mnie.

— Powiedz co się stało? — zawołałam niecierpliwie.

Nagle mąż przystanął i powiedział rozgoryczony:

— A żeby choć powiedziała, gdzie mieszka. Ale nie nie rozumiałem, tylko „ich fahre nach Gdańsk” i to przez ten przeklęty gwizd lokomotywy. A żebyś choć ja jej powiedział, gdzie mieszkam.

— Powiedz wreszcie kto to był? — zapytałam męża wciąż stojąc na ulicy.

— Toż ona była u nas jak członek rodziny. Rozumiesz, ulotniła się, tak samo jak Francuzka, jak tylko zaczęła się rewolucja i głód. Od dziecka ją znałem. Boże ty mój! — zawołał mąż desperacko kołysząc głową.

Poszliśmy dalej. W domu jednak cały wieczór o niczym innym nie mówił, jak o swoim rodzinnym domu i tej właśnie Niemce, pannie Loppe. Już mnie zaczęło to nużyć i krzątałam się spospólniała, bo kiedy teczkę męża ustawiałam na regalik, była ciężka i coś w niej zachlupotało. Cierpliwie słuchając wynurzeń męża, rozbierałam się do snu. A on wciąż jeszcze mówił o starej nauczycielce, chodząc po ciasnym pokoju od drzwi do okna i żałował, że od razu nie wskoczył do pociągu.

— No i co, jak byś z nią porozmawiał? Co z tego? — zapytałam i usiadłam w łóżku. — Wspomnienia nic nie dają prócz chwili ożywienia. A rzeczywistość dnia, nasz dzień powszedni toczy się dalej. A jak ten dzień wygląda?

Uzbierała się we mnie gorycz za te butelki z trunkami, które przywoził do domu i szukał okazji, by je z kimkolwiek opróżnić. Zrobiłam się raptem oszczędna i dodałam:

— Obecnie jesteśmy w kłopotach, zadłużeni po czubek głowy, a ty wciąż rozrucasz pieniądze. Że jeździliśmy tu i tam, rozumiem. Ale te kolacje w „grandce”, wódka tu, wódka tam, zjesz to, zjesz tamto, jest ponad nasz stan. Nie pozwoliłeś mi zabrać kanapek, a przecież możemy żyć skromniej, jak inni naszego stanu, zwłaszcza teraz. Zamiast myśleć jak wybrnąć z długów, ty załamujesz ręce z powodu jakiegś tam nauczycielki.

Umilkłam, bo czułam, że tu już przeholowałam.

Mąż zrobił oczy. Obrażony wybuchnął gniewem, że go nie rozumiem i czuje się zawiedziony. Był nieoświecony w słowach i ja się rozplakałam. Aby pokazać, że to go nie obchodzi, sięgnął po swoją rosyjską gazetę „Ze swobody”, którą abonował. A ja udając, że śpię, rozmyślałam nad moim losem. Bo przecież małżeństwo jest na całe życie... Mąż długo szeleścił gazetą, którą czytał i tak zasnął.

Rano obudziło mnie ciche krząkanie w pokoju. Przypomniało mi się, że skończył się urlop i zerwa-

łam się z łóżka, by zdążyć do biura. Mąż, jak gdyby nigdy nic, już miał dla mnie gotowe śniadanie, które po cichu przyrządził. Pomógł mi się ubrać i wybiegłam do redakcji. Nie mógł jednak przeboleć tego nieporozumienia, bo wyjeżdżając w teren, po drodze na dworzec wstał do mnie do biura, aby się pożegnać jeszcze raz. Wcisnął mi do ręki, którą pocałował, karteczkę ze słowami, które już tyle razy wypowiedział w domu: „Wybacz mi”. Podarłam ją w drobne kawałeczki. Nie mogłam zrozumieć, że są ludzie tak bardzo porywczy i tak bardzo dobrzy.

Wrócił w sobotę późnym wieczorem. Siedziałam na łóżku i czytałam książkę. Chciałam odebrać mu płaszcz i powiesić na drzwiach, nie pozwolił na to i, jak zawsze, zrobił to sam. Prędko zlapałam teczkę, którą położyłam na regaliku. Była lekka. Czasem taka burza jest potrzebna — pomyślałam. A mąż kłasnął w dłonie i oznajmił wesoło, że rozmawiał telefonicznie z Tchórzewskim, który zaprosił nas jutro, w niedzielę, na podwieczorek.

— Możemy pójść — powiedziałam, myśląc przy tym czy nie poda wódki. Ostatnim razem podali trunki, ale było to oblewanie na administrację Górek.

Nazajutrz wybraliśmy się, choć było pochmurnie. Gdy nad torami kolejowymi przekraczaliśmy już most ujrzelśmy państwo Tchórzewskich idących nam na spotkanie. Na początek Tchórzewski mówił o kończących się żniwach i innych kłopotach, o tym jak zmobilizował ludzi, by zboże jako tako zwieźć pod dach, no i że sprawił sobie barometr. Wszystko to mało mego męża obchodziło. A Tchórzewski narzekał na jednego z robotników, nazwiskiem Wierzba, który napłodził dzieci jak królików i nie przychodził do pracy, bo żona zległa z dziewiątym i to w same żniwa. Powiedział, że musi babę i dzieci oporzadzić.

— No i nie mogłem się opanować, aby go nie rąbnąć w mordę — dodał.

— Ależ Piosiu! — zawołał mąż, przystając na drodze. — Nie poznaję cię. Takim niby byleś komunistą...

— Co to ma jedno z drugim? Chłopa trzyma się krótko.

Jak on się zmienił — pomyślałam a głośno powiedziałam:

— Ale może ten Wierzba był przy chorej potrzebny?

— A co mnie to obchodzi? Może pielęgniarkę mu dać? Ale teraz już ma tam jakąś starą ciotkę, bo baba leży i leży.

— Gdzie mieszka ten Wierzba? — zapytałam. — Może tam zajrzymy skoro kobietą leży. Może potrzebuje lekarza? Choćby tylko zajrzeć, a już będzie jej lepiej. Chodźmy tam — nalegałam.

Mąż nic nie powiedział. Tchórzewski patrzył na mnie i jakby zmiękł. Biały budynek z gliny, o małych oknach, stał przy szosie. Weszliśmy do izby. W półmroku ujrzałam troje dzieci bawiących się na podłodze i chłopca, który Tchórzewskiemu uklonił się w pas. Za nami natychmiast wpadła do izby reszta dzieci z dworu. W rogu izby stało łóżko, naokoło którego szybko zakrzętała się stara ciotka. Chora leżała plackiem.

— Może potrzeba lekarza? — zapytałam ją. — Czy coś panią boli?

Przyłożyłam wargi do jej czoła. Nie było gorące, raczej chłodne.

— Nic mi nie boli — odrzekła. — Jeno jestem słaba i wstać nie mogę. Abym tylko nie umarła bo żal mi dzieci — jęknęła i rozplakała się.

— Będzie dobrze, chyba że pani za mało je. Trzeba dużo jeść, pić mleko no i wstawać z łóżka. Spróbujmy zaraz usiąść. Z moją pomocą kobieta usiadła. Na jej czoło jednak wstał zimny pot. Uszykowałam jej poduszki pod plecy.

— Trzeba siedzieć, na chwilę wstać z łóżka i znowu odpocząć, a przede wszystkim jeść. Może jajko, chleb z masłem aby się wzmocnić. Nie wiedzieliśmy, że tu wstąpimy. Przynieśliśmy białego chleba — powiedziałam.

Stara ciotka pilnie obserwowała mnie, siedząc na ławce. Ręce trzymała na łonie, złożone jak do modlitwy i nerwowo obracała kciukami.

— Masło i jajka trzeba sprzedać na sól — powiedziała.

— Na sól zarobi mąż — odezwał się Tchorzewski.

— Niech ją pan przypilnuje jeśli ma wyzdrowieć — zwróciłam się do chłopca. — Bo przecież krowę macie?

— Mają krowę — powiedział Tchorzewski, kierując się do drzwi, ale jeszcze zawrócił i zapytał:

— Powiedzcie mi, Wierzba, dlaczego chciało się wam tyle dzieci?

— Dlaczego?... A dyc panie administratorze, im więcej dzieci, tym więcej będę miał pomocy na stare lata. — I kolejno wskazując palcem na dzieci, które przysłuchiwały się każdemu słowu, mówił: — Ten do, ten do, ten do, ten do... i jakoś tę starość do śmierci przeżyję.

— O nie, chłopku! — przyskoczyła do niego ciotka, grożąc mu palcem i zarecytowała: — „Sikoreczka jest to ptaszek mały, ona wychowała mendel cały, a ten mendel cały mnie wychował sikoreczki małej”.

Tak powiedziała stara ciotka, surowo patrząc na siostrzeńca.

Już wychodziliśmy, ale chłop wierszem się zaciękał i kazał ciotce powtórzyć słowa, do których ani Tchorzewski, ani mąż nie przywiązywał wagi. Byli już na szosie, kiedy wyszłam z chaty.

— Ale ci się wymknęło, żeby do takich ludzi mówić per pan i pani — powiedział do mnie mąż.

— Tak — powiedział Tchorzewski. — Przecież w Gorzędziejcu było to samo. Robotnikowi mówiła: pan. A tu nie trzeba było w ogóle wchodzić.

Nic nie odrzekłam na to, bo czułam jakiś niedobry, duszący zapach, ten sam, jaki poczułam w izbie Wierzbów. Teraz nawet miałam jakby zawroty głowy. Panowie poszli naprzód.

— Mieć tyle dzieci do wyżywienia to straszne — mówiła Tchorzewska. — Mąż bardzo chce dzieci a ja się do nich nie palę. Ale jeśli będą to trudno.

— A ja, jeszcze przed kradzieżą, bardzo pragnęłam mieć dziecko — powiedziałam. — Jednak teraz, kiedy jesteśmy tak zadłużeni... Może lepiej najpierw stanąć na nogi.

Weszliśmy do domu, w którym znowu uderzył mnie ten duszący zapach. Duże, puste pokoje bez mebli. Tylko w jadalni był stół, parę taboretów i półeczka. Pod stołem leżał ogromny pies i zerkał na nas złym wzrokiem. Tchorzewski kazał mu wyjść do drugiego pokoju i zamknął drzwi.

— Ten pies nie szczeka, ale może rzucić się na czoło wieka i ugryźć — powiedział. — Kupiłam go niedawno.

Najpierw mąż opowiedział jak spędziliśmy urlop, jakie zrobiliśmy zdjęcia i w jaki sposób zobaczył swoją dawną nauczycielkę niemieckiego, panią Loppe. Potem mówił gospodarz, że odwiedzić musi chorą samotną ciotkę, siostrę ojca, emerytowaną profesorkę Rogala - Tchorzewską w Chełmnie. Później długo opowiadał o nowym właścicielu Górek, panu Waligórze, to znowu o dawną właścicielkę tego majątku, małej hrabianki Izabelli Łubieńskiej. Tak ją tytułują, bo jej matka z domu była hrabianką.

— Łubieńscy też są hrabiami — powiedział mąż.

— Tak, ale stryj Izabelli nie lubi mówić o swoim tytule — odrzekł Tchorzewski i machyłając się do jego ucha, ciszej dodał:

— Podobno pochodzi od jakiejś Żydówki Esterki... Czuję, jak chciał zachichotać, ale mąż zaskoczony popatrzył mu w twarz i zapytał:

— Skąd ty masz takie wiadomości?

— Trzeba porozmawiać z tymi, którzy nie mają żadnego tytułu, oni wiedzą o wszystkim najlepiej.

O czym też oni nie plotą — pomyślałam z westchnieniem, czując, że błędę. Przy stole musiałam udawać że jem. Nie podano wódki i mąż, który przy kieliszku zawsze się ożywił i dużo mówił, był markotny. Raz tylko obejrzał się zaciekawiony, kiedy gospodarz wstał od stołu i poszedł do szafeczki. Ale wyciągnął stamtąd tylko jakieś akta i wertując je, przeczytał nam ustęp z jego umowy z Waligórą, któ-

ry. jego zdaniem, był bardzo ważny. Czuł się panem Górek, bo wymienił dwie rodziny robotnicze, w tym i Wierzbę, które mu się nie podobają i kto wie, czy na Nowy Rok nie da im terminatki. Potem opowiadał o piwie, które jego żona przyrządzić potrafi w domu.

— Wyjdzie dziesięciokrotnie taniej — rzekł. — Kupisz tylko garstkę chmielu i za 5 groszy drożdży. Butelki już musisz mieć przygotowane...

Mąż poruszył się niecierpliwie i zerknął na mnie. Lecz obaj nie umieli znaleźć tematu bardziej interesującego.

— Słuchaj mnie, Kolka — mówił dalej gospodarz. — Mężczyzna, jak się ożeni to się zmieni i żyje oszczędniej. Dotyczy to szczególnie was, w obecnej sytuacji...

— Nie będę oszczędzał, ani w Polsce wiekowałam, kiedy w Rosji-lada chwila będzie przewrót — odrzekł mąż opryskliwie. — Ja będę sobie odmawiał, a złodzieje będą się śmieli.

— Zawsze nie będą was okradali. Złodzieje też mają swój umiar i takt.

Mąż spojrział na gospodarza sprawdzając czy nie żartował, ale ten nagle zmienił temat:

— Godlewski, którego u Was poznałem, prosił mnie abym się dowiedział, czy ktoś nie jedzie do Gdańska. Chodziło mu o to, że tam w aptekach można dostać skuteczny plaster na nagniotki, bo u nas go nie ma.

— Że też u nas nie ma zwykłego plastru — powiedział mąż już trochę znużony. — Kogo on nie piłuje swoimi odciskami, że aż ciebie się pyta?

— Nie każdy może jechać do Wolnego Miasta. Trzeba mieć wykaz osobisty i dodatkowe poświadczenie obywatelstwa polskiego, a to kosztuje 12 złotych. Kto na to dziś wydaje pieniądze?

— Wiem — odrzekł mąż — bo chcieliśmy pojechać do Sopotu. Nie wpuścili nas. Dlatego do Gdyni robimy koło. Mam tylko zaświadczenie prawa azylu w Polsce.

Tchorzewski pokiwał głową i zerknął na mnie.

— Pani taka blada — rzekł.

— Pójdziemy już do domu — mówił mąż. — Mrok już zapada choć jest dopiero godzina szósta, jak to po zniwach. Zresztą chmurzy się i może nas kropić deszcz.

Jednak rozwinęła się jeszcze rozmowa o hodowli, tak że wyszliśmy kiedy już było bardzo ciemno. Szliśmy przez podwórze po omacku.

— Proszę, niech pani poda mi rękę, bo znam drogę — powiedział gospodarz. — Są tu wyboje, a nawet stoi kałuża. Frontowe wejście trzymamy zamknięte.

Dopiero na szosie poszłam z Tchorzewską naprzód. Prędko oswoiliśmy się z ciemnością. W domu Wierzby paliło się światelko.

— Niech pani zagląda do tej Wierzbowej, żeby przyleża do siebie. Ona jest taką słabą — mówiłam.

— Pani! Przecież mnie nie wolno iść do matki w Szpegawie, a tu miałabym pójść? On by mnie chyba powiesił — odrzekła ciszej. — Ani matka ani rodzeństwo nie mogą mnie odwiedzać. Raz tylko siostra, jak szła przez Górki i upilnowała, gdy on był w polu, to wystraszona wskoczyła do mnie i prędko wyskoczyła, jak złodziej. Mówi mi, że to by go skompromitowało.

Nie podobało mi się to u Tchorzewskiego, który kiedyś wydawał mi się tak dobrym kolegą — pomyślałam. — A ona dała się opanować dla miłego spokoju, tak, jak ja, i długo będzie musiała walczyć, zanim się z nim zrówna, bo przecież żaden mąż nie jest mędrce. Nic więcej nie mówiąc, pożegnaliśmy się na moście.

Mąż podał mi ramię i rzekł:

— Przyjście u nich było dziś jakieś blade, bez humoru. A kieliszek wódki zawsze człowieka ożywi, daje nastrój. Tchorzewski, jak się ożeni naprawdę się zmienił. Ale przynajmniej załatwiłem Kreworucze pracę u Waligóry — brata w Małzewku. On szukał taniego rządcę, kawalera i Tchorzewski to już załatwił. Kreworuczka już tam jest i są z niego zadowoleni. (Cdn.)

Moneta i martwiec

Jerzy Samp

Jan Karnowski jest autorem dramatu, lub raczej obrazu scenicznego pt. „Wotrok Swantewita”, który powstał w roku 1920. W jego podtytule czytamy: „Bójka w 3 obrazach”. I rzeczywiście, już choćby z zestawienia postaci tu występujących możemy odnieść wrażenie, że jest to rodzaj baśni scenicznej, której treść mieści się całkowicie w wyimaginowanym świecie istot zawdzięczających swój żywot ludowej wyobraźni. Znajdujemy tu ślady nieśmiertelnych wciąż mitów o Gryfie — opiekunie i zarazem godle Kaszub, czterogłowym bóstwie pogańskich Słowian — Swantewidzie, którego głównym atrybutem miała być troska o losy swych wyznawców. Występują tu również tak znane nadmorskiemu folklorowi twory, jak: Rocitka, Mora, Morska Panna, czy Smętek. Jednakże postaciami pierwszoplanowymi są w utworze Karnowskiego ludzie: Czeszk, Owczórz, Dзецé, Kobiété i Knópi.

Dramat oparty został na niezwykle prostym schemacie fabularnym, charakterystycznym przede wszystkim dla podań i baśni ludowych. Oto bóg losu i wojny wzywa do bohaterskiego czynu pogrążonego w letargu Czeszka. Ożywiony, w sposób nadnaturalny, przyjmuje powierzoną mu misję i udaje się na świętą służbę. Jego posłannictwo ma polegać na obudzeniu śpiącego Gryfa i sprowadzeniu go na pomorską ziemię:

„A potócha Gryfa obudz tacim słowem:
„Wstań Gryfie, ze zaklętyj schowé,
Czas ju budzec wojska w Borzéstowie!”
Tej sadniejsz na ptócha Gryfa i zajedzesz znowu
do pomorscij zemi. Ale Gryfa muszesz słuchac”

Bohater dramatu poddany zostaje teraz kolejnym próbom. W dialogu z Rocitką nie traci odwagi, a jednak ulega pokusie bogactwa. Odkładając na plan dalszy swoją misję zdobywa skarb. W scenie trzeciej widzimy już Czeszka jako wielkiego i zamożnego pana, który dla dukatów sprzeniewierzył się obietnicy odszukania Gryfa. Epizod ten kryje w sobie niezwykle głęboką wymowę. Traktuje bowiem o euforii władzy i dostatku, o demoralizującym wpływie pieniądza na człowieka, o niespełnionych obietnicach i niedotrzymanym słowie.

„Jem teró pón, a tak mnie sę zdówó, jakbem beł panem ju od tesąc lat. Mom cygare, mom wino, mom wszetko, co leno chęc.
Co też beło za ubzdurzenie, że jô chcółem szekac gniozdo Gryfa. Na jacie mesle człowiek nieróz przyńdze? Dzyso sóm sę z tego smieję. Żebe leno człowiek tego utrópieniô ni miôł z tymi robotnikami(...)”

Zachłanność gubi w końcu Czeszka i dopiero po utracie wszystkiego przypomina sobie o służbie, której się sprzeniewierzył. Idzie dalej w świat na poszukiwanie wyspy Gryfa. Po drodze czeka go wszakże druga poważna próba. Ulega pokusie wdzięku Morskiej Panny, łącząc się z nią znów zapomina o swej misji. Refleksja następuje dopiero w momencie, gdy rozpoznaje w ukochanej „syrenę”, której omamom tak łatwo uległ. Wydaje się teraz, że z właściwej drogi nie go już nie zwiedzie. Jest bliski celu. Dotarł bowiem do upragnionej wyspy, zbudził Gryfa i powraca niesiony przez ptaka do ziemi ojczystej. Z otchłani wyłania się zamek zaklęty, lecz kiedy słabnący w łodzi Gryf żąda od bohatera serca, ten odpowiada:

„Wszetko ce ju dólem, ale serca ni mogę dac
odwodzi ni mom...”

Zapada się zamek, ptak tonie w morzu a wraz z nim niknie ostatni promyk nadziei dla Pomorzan.

Istnieje szereg wyraźnych analogii pomiędzy „Wotrokiem Swantewita” a powieścią Aleksandra Majkowskiego „Zécé i przigodé Remusa”. Obydwaj główni bohaterowie jawią się nam na tle świata baśni. Świat rzeczywisty ustawicznie splata się z fantastyką, baśniową, granice pomiędzy nimi ulegają ciąglemu zacierananiu. Bohaterowie usiłują w obu wypadkach ratować zamki zapadłe, lecz z prób tych nie wychodzą zwycięzko. Możemy nawet dopatrywać się dużego podobieństwa pomiędzy istotą i przyczyną ich niepowodzeń („Trud”, „Strach” i „Niewarto”). Należy jednak pamiętać, że tekst Karnowskiego ukończony został znacznie wcześniej niż powieść Aleksandra Majkowskiego.

Dramat Karnowskiego jest bodaj pierwszym w literaturze kaszubskiej utworem, w którym postać „wieszczego”, a więc upiora, wampira, strzygonia, czy jakbyśmy go inaczej nazwali — podniesiona została do godności głównego bohatera. Utwór ten podobnie jak szereg innych dzieł tego poety posiada niezwykle bogato zarysowaną warstwę symboliczną, czytelną i zrozumiałą przede wszystkim dla tych, do których był adresowany. Trzeba bowiem mieć świadomość znaczenia takich słów, jak „zapadły zamek”, „Mora”, „Smętek”, „Gryf”, „Mestwin” i wielu innych, by należycie odczytać intencję autora.

Scenę drugą (I. Obrazu) otwiera opis tzw. „pustej nocy” — obrzędów żałobnych, odprawianych przy zwłokach Czeszka. Już w jej trakcie uczestnicy sugerują, że zmarły „miôł bęc wieszczy”. Miała zresztą o tym przesądzić zacerwieniona twarz nieboszczyka. Zwykle w takich wypadkach należało się zabezpieczyć przed pośmiertną działalnością upiora. Najczęściej stosowanymi na Kaszubach środkami były w takim wypadku: a) zatknięcie w dłoń zmarłego kartki wyrwanej z książeczki do nabożeństwa, na której brakowało słowa „Amen”, b) odwrócenie zwłok twarzą do dna trumny, aby po ożywieniu wgrzyzały się wgląb ziemi, a nie na powierzchnię, c) podłożenie pod głowę sieci rybackiej, by zmarły rozplątywał co roku jeden węzeł, d) sypanie maku, którego ziarna miał on liczyć, e) sypanie ziemi wydobytej spod własnego progu, by nie mógł go po opuszczeniu grobu przekroczyć czyniąc szkodę domownikom, f) podkładanie pod brodę cegły, na której upiór miał łamać sobie zęby. W ostatecznych wypadkach należało kłaść trupowi pod pachy i brodę krzyżki z osiny, aby nie mógł powstać, a gdy i to uważano za mało skuteczne, po prostu odciać zmarłemu głowę i ułożyć między kolanami.

W dramacie Karnowskiego uczestnicy pustej nocy, choć wiedzieli, że Czeszk przyszedł na świat z „przednyma zębama”, nie posłużyli się żadnym ze wspomnianych remediów, gdyż mieli świadomość, że zmarły nie pozostawia na świecie żadnej rodziny, obcych zaś wieszczy nie nęka po śmierci.

Istnieje jeszcze jeden środek zabezpieczający przed upiorem, o którym dotąd nie wspomniałem. Autor znając go doskonale, zapewne wiedziony poetycką intuicją, uczynił zeń niezwykle nośny symbol. Środek ten polega na włożeniu wieszczemu pod język monety. Zwykle się sądzić, iż zmarły tak długo nie opuści swego grobu, dopóki nie wysie całkowicie metalowe-

go pieniążka. Tym, który dokonuje owej czynności w dramacie jest nie kto inny jak sam Swantewit.

„Tej mnie włożył ten mały piniądz w gębę.

Wej, tu je. (...)

Nad brzedziem morseczim brekujesz leno zawołać:

— Morscie zwierze do pomoce,

Jô jem w Swantewita moce!

i cesniesz ten detk w morze”.

Monta, jaką otrzymuje Czeszk od Swantewita posiada moc symbolu i talizmanu zarazem. Kiedy jeden z uczestników pustej nocy bierze ją do ręki odczytuje głośno zawarty na niej napis. Brzmi on: „M-E-S-T-W-I-N”...

Spróbujmy scenie tej przyjrzeć się bliżej. Zwyczaj wkładania zmarłemu do ust różnego rodzaju przedmiotów jest bardzo stary, ma znaczenie magiczne i bynajmniej nie należy go ograniczać do terenu Kaszub. Często bowiem w przeszłości, podejrzany o skłonności do życia w letargu sypano pod język wapno, utartą cegłę, niekiedy zaś nawet umieszczano kartkę z własnym imieniem. Wydaje się, że taki sposób postępowania ma bardzo odległy rodowód. Sięgnijmy w tym celu do greckiej mitologii. Oto Charon — syn Ereku i Nocy, jeden z piekielnych bogów, do którego obowiązków należało przewożenie cieni zmarłych przez rzekę Styks i Acheron, był na tyle zachłanny, iż nie zabierał do swej korowej łodzi tych, którzy za przewóz nie wnosili opłaty. Cena przewozu nie mogła być mniejsza od jednego pieniążka, który to starożytni Grecy skrupulatnie wkładali swym zmarłym do ust! Dodajmy, że monety te były zazwyczaj wybite ze szlachetnego kruszcu: złota lub srebra.

Zwykło się także przyjmować, jakoby w starożytnym Egipcie istniała wiara w konieczność przewozu ciała zmarłych przez jezioro śmierci. Jednak kapłani nie dopuszczali do takiego transportu, jeżeli w ustach zmarłego nie znajdowali małego choćby pieniążka. W tym wypadku chodziło o niezmiernie istotny akt symboliczny. Moneta w ustach oznaczać bowiem miała, iż wszystkie długi zaciągnięte za życia przez zmarłego zostały przez niego, bądź też przez jego rodzinę, spłacone, a ostatni „grosz” pozostał już tylko na opłacenie przewozu zwłok. Przypuszczalnie z Egiptu zwyczaj ten przedostał się do Grecji, stąd do Cesarstwa Rzymskiego, gdzie rozprzestrzenił się na wiele ludów Europy, zatracając z czasem swój pierwotny charakter i zyskując coraz to nową i odmienną motywację magiczną.

Stefan Ramułt odnotował w swoim słowniku: „To jak wiedzą, że chto je wupi, to jemu dadzą fenig pod język”. Wiara w upiora należała do tych przesądów i zabobonów kaszubskich, o których mówiono pod koniec ubiegłego stulecia już półszepem a potem ze wstydem, nie zdając sobie być może sprawy z tego, że miała ona charakter bardzo powszechny także daleko

poza granicami Kaszub i Pomorza. Nie da się jednak ukryć, iż jej tragicznym pokłosiem były liczne, jeszcze w naszym stuleciu, wypadki swoistego bezczeszczenia zwłok, a nawet zemsty na żywych, posadzanych o wampiryzm. Nie zawsze ograniczono się do starego sposobu wkładania pod język połówki złamanej monety dwugroszowej, której pozostałą część przybijano na progu domu.

W swojej pracy doktorskiej pt. „Przesady i zwyczaje lecznicze kaszubskich rybaków nadmorskich” (Poznań 1938), Józef Torliński opisuje następujący przypadek. „Okolo 1881 roku mieszkała w Wielkiej Wsi rodzina P. Matka zmarła, była widocznie wieszczka, bo w ciągu tego samego roku wymarło 12 dzieci tejże rodziny. Została trzynasta córka, bo w międzyczasie zapobiegli skutkom „wieszczby”. Ktoś z bliskich krewnych i dwaj sąsiedzi, razem trzech mężczyzn, wybrało się w nocy (w stanie nietrzeźwym) na cmentarz swarzewski, rozkopali grób i otworzyli trumnę. Było to mniej więcej w rok po śmierci P. i akurat w dzień i godzinę urodzin nieboszczki. Przygotowaną kosą ścięli trupowi głowę i widłami przelożyli ją do nóg. Mimo rozkładu po ścięciu krwó trysnęła jednemu z nich na rękę i ten zmarł w krótkim czasie, ale w ten sposób uratowali ostatnią córkę rodziny P.”. Ten sam autor wspomina też o zbeszczeniu zwłok na cmentarzu puckim w roku 1913/14, którego epilogiem była rozprawa w miejscowym sądzie. Natomiast Bernard Sychta mówi w swym „Słowniku gwar kaszubskich” o innej rozprawie tym razem przed sądem wejherowskim, gdzie zapadł wyrok na oskarżonych o powieszenie... noworodka urodzonego w czepku (wg wierzeń ludowych jest to cecha przyszłego upiora).

Jak więc widać, nadanie przez Karnowskiego Czeszkowi z „Wotroka Swantewita”, jako „wieszczemu” rangi głównego bohatera nie było zabiegiem tuzinkowym, zaś wykorzystanie pewnych elementów ludowej wiary w remedia przeciwko wampirom posiada w tym utworze dość specyficzną wymowę, dzięki motywowi pieniążka z napisem „Mestwin”.

To prawda, że stworzony przez poetę obraz sceniczny jest poniekąd zlepkiem różnych podań i motywów zaczerpniętych z kaszubskiego folkloru, lecz jest także prawdą, że autorowi udało się stworzyć z nich całość klarowną, chociaż nieraz może zanađto uproszczoną na wzór farsy.

„Wotrok Swantewita” jest bądź co bądź tekstem moralizatorskim, w którym społeczności pomorskiej wytknięte zostały ostro niektóre negatywne jej cechy. Nie wiem czy utwór ów grany był na scenie. Tak czy inaczej jest to tekst bardzo mało znany, a szkoda, gdyż wiele zawartych w nim myśli zyskało po sześćdziesięciu latach znów na aktualności. Przy czym dramat zawiera w sobie obecnie znacznie szersze implikacje społeczne, jawiąc się nam w kontekście spraw ogólnonarodowych.

Ze wspomnień leśniczego

Rykowiska

Jan Wojciechowski

Moją pasją była hodowla zwierzyny płowej. Spośród myśliwych w kraju gorącym protektorem mych wysiłków hodowlanych był p. Gozimirski z Poznania, który bezinteresownie przysyłał mi na zasilenie poletek supertomasynę azotniakową. Kredyty państwowe były na te cele mizernie niskie. Dlatego z wdzięcz-

nością przyjmowałem nawozy, które pomagały użyźnić ponad 3 ha poletek założonych z konieczności na liniach gospodarczych. Sw. Hubert odwdzieczył się p. Gozimirskiemu za ten bezinteresowny gest. Podczas rykowiska, w warunkach wielkiej przygody, którą wytrawni myśliwi cenią sobie najwyżej, odstrzelili

w mojej obecności byka z pięknym wieńcem. Zdjęcie jego figurowało w ówczesnym łowcu (lata 1935/36). Wielkiego orędownika miałem również w osobie ówczesnego inspektora p. Strzemskiego, który mnie wspierał, gdy w nawale przeciwności opadały mi ręce. Za entuzjazm i uznanie z jakim przyjmowali każdy nowy szczegół moich wysiłków do końca dni te osoby nosić będą we wdzięcznej pamięci. I oto do tychczas przepędzany i bezlitośnie trzebiony przez kłusowników stan jeleni zaczął się odradzać. Odbudowę stada oparłem na założeniu, że udane rykowisko zagwarantować może zadomowiona pewna liczba dorodnych łań, które muszą mieć zapewnione spokojne ostoje i dostatek pożywienia. Byki to uwodziciele i rozwodnicy, przychodzą i, jeśli w obwodzie jest mało łań dojrzałych, odchodzą. Tam gdzie dziewic i mężatek jest dużo, krążą żądni miłosnych przygód i spełnienia naturalnej powinności utrzymania gatunku.

Oprócz poletek do dyspozycji zwierzyny stał cały mój deputat zagospodarowywany przez Kazimierza. Sprzeciwy Kazimierza, że jego trud wkładany w uprawę ziemi jest próżny, bo zdeptane i zniszczone przez jelenie pola przynoszą nikłe owoce, nie miały u mnie posłuchu. Serce mi pęczniało, gdy latem już po wschodzie słońca na polu żerowała spokojnie chmara złożona z 20 sztuk łań i młodzieży. Rykowiska poprawiały się z roku na rok i co mnie szczególnie radowało — jelenie na plac zabaw upodobały sobie moje pole obsiane owsem, tatarką, brukwią i ziemniakami. Lata 1936—1938 dały mi najwięcej emocji.

ZAGRANICZNI MYŚLIWI

Jeszcze dziś w zadumie przenoszę się do najpiękniejszych wrzuseń. To były ucztę jedyne i niepowtarzalne. Nie przesadzali przyjezdni Niemcy, gdy w moim myśliwskim dzienniku pisali: „Es war ein richtiges Georgen auf dem Felde”.

Miałem nad polem trzy stanowiska ziemne z oknami i w środku pola ambonę krytą, komfortową, schowaną w starej rozłożystej brzozie. Harce odbywały się w odległości około 100 do 300 metrów od leśniczówki. Zona moja nie była przyzwyczajona do takich gwałtownych wynurzeń królów kniei. Przeko do zapadnięciu zmroku, gdy z góry brzozowej, odległej o 80 metrów od domu mocny byk wyrzucił z krtani potężny zew wprost w otwarte okno, drząc z trwogi szybko je zamykała. Później się osłuchała i chętnie wychodziła ze mną na najwyższy pagórek posłuchać głosów stęsknionych rycerzy.

Punkt kulminacyjny trafiał się u nas między 23 a 25 września. Granie pojedynczych sztuk usłyszeć można było przed zachodem słońca, a rano trwało nawet do godzin przedpołudniowych. Organista z chmarą schodził na pole zazwyczaj po godzinie dwudziestej. Podczas gdy on oblatywał jedną z dojrzałych oblubienic, reszta zaspokajała pierwszy głód. W czasie gonitwy za łańią, byk od czasu do czasu, jeszcze niechętnie, odgrążał się wdychającym głośno młokosom. Dopiero później, gdy rozgrzany namiętnością posłyszał natrętny jęk zbliżającego się rywala, na chwilę milkł i bez ruchu ważył swym wytrawnym zmysłem siłę przeciwnika, by za chwilę słabszemu od siebie odpowiedzieć głośno, z nutą lekceważenia. Równego siłą konkurenta straszyl donośnym, skandowanym ostrzeżeniem, przedeptując nerwowo przedpole zajęte przez chmarę. Łanie zachowywały się różnie. Niektóre, zwłaszcza młodsze, bez większego zainteresowania skubały trawę. Co jakiś czas podnosiły głowy a tylko przekładaniem łyżek zdradzały naiwne zdumienie. Starsze i już doświadczone damy dworu zamierały w bezruchu. Z głowami podniesionymi wysoko, łyżkami ostro nastawionymi w kierunku rzucającego oszczerstwa przeciwnika, wyląwały każdy dla nich zrozumiały trzask czy szelest. Zdawały sobie sprawę z wagi chwili. Rywal, niepewny swej przewagi, drażnił tymczasem z bezpiecznej odległości władce chmary prawie monotonnie powtarzanymi zaczepkami. Dla dodania sobie animuszu bicował wieńcem drąg sosny, osike, brzozę, względnie krzak jałowca lub wierzby. Zataczał też łuki, chodząc tam i z powrotem. Wreszcie milkł znudzony bezowocnymi wysiłkami. Chmara podkar-

miwszy się nieco, układała się do przeżuwania w niewielkim, rozluźnionym kręgu. Stały tylko dwie dyżurne, bystro lustrujące skraj lasu i od czasu do czasu wystawiając chrapy pod wiatr. Byk zmęczony nieco uganiem się za rozgrzaną łańią, korzystał z chwilowego odprężenia. Oddalał się o jakieś 20 kroków — pod kępę samosiewów, by spocząć i nabrać sił do dalszych rozgrywek. Gdy posłyszał porykiwania wiócących się smyków, puszczał przez nozdrza tylko zduszone mruzcando. Wydawało się, że na te kilka minut oddawał się drzemce. Gdy ten stan beczynności go znudził, wyciągał szyję, prawym policzkiem przywierał do murawy i tyką cesał wrzos i trawę, aż na ziemi wyłobził koroną półkole. Nie potrzebował czuwać w tej chwili. O jego bezpieczeństwo troszczyła się licówka lub służbowe damy dworu. Rodzina ożywiła się między godziną trzecią a czwartą po północy. Pobudki były różne. Donośniejszy ryk, szelest z sąsiedniego młodnika lub drągownicy albo wiatr wiał chmarę na baczność. Obserwowałem raz jak mocny byk podszedł cichcem do brzegu lasu, spenetrował wzrokiem pole i chmarę, by nagle zaryczeć. Zawrzało. Byk posiadający władzę nad grupą łań obleciał je, spędził w gromadzie, opieszale pognął tryknięciem łyką w bok i z furją zaczął wymyślać intruzowi. Przeciwnik nie został dłużny. Namiętnie odpowiadał coraz bardziej wzywającym głosem. Byk przy łańiach rwał badyłami runo i glebę aż piasek przyskał powyżej grzbietu. Ryczał zmieniając barwę i skalę tonu, coraz potężniej. Gdy wreszcie po wzmagającym się pojedynku na miny i głosy rywał zdecydował się wyjść na teren odkryty, doszło do zaciętej walki. Roznamiętniony, agresywny amant nacierał zwykle truchtem. Zaczął od doskakiwania i uderzeń wieńcem od frontu. Była to chyba próba sił. Pan chmary z szeroko rozstawionymi badyłami, racicami wsparty w ziemię, odpierał ataki wyczekując odpowiedniego momentu na uderzenie z boku. Gdy mu się to udało, przeciwnik uderzony boleśnie zwiął. Częściej jednak gorączka walki powodowała, że oba byki nieustannie przepychając się splatały wieńce. Tyki już nie uderzały o siebie z hałasem podobnym do klekotu odbijanych kijów, a ścierały się ze zgrzytem pchane potęgą umięśnionych karków. U obu cel był jeden: skreślić wrogowi kręgi szyi, odepchnąć, odskoczyć i szybkim atakiem wbić marmurowe groty w kark lub bok. Walcząc uginają się coraz bliżej ziemi. Krąg zrytej ziemi powiększał się. Wreszcie zwarte głowy sięgnęły prawie traw. Jeden z nich ugiął przednie badyły w kolanach. Jeszcze walczył, lecz widocznie opuszczały go siły. W końcu wyrzutem poderwał się i nagłym zwrotem podał tył. Zwycięzca podniósł się i patrzył. Potem ruszył kilkadziesiąt kroków za pokonanym, stął, wyprężył się, wieńcem majestatycznie położył wzdłuż grzbietu i zagrzmiał triumfalnie i tak silnie, że konary najwyższych sosen drgnęły, przechwyciły fale hymnu i posłały w najszybsze zakamarki borów. Po tym akcie zwycięzca stał i słuchał w upojeniu, aż przebrzmiało echo. Wtedy z powagą królewskiej godności objął w dalsze władanie obojętnie przyglądający się, zбитý w gromadę zespół pań z dworzanami.

gorzej się działo, gdy chmarę prowadził jak zwykle na początku rykowiska młody jelen, najczęściej dziesiątak lub dwunastak. Jego rządy trwały krótko. Silniejszy byk zmuszał go do haniebnej ucieczki. Płochę kochanki bez oporu poddawały się wpływom zwycięzcy.

Najbardziej dramatyczny epilog wbrew prawom natury następował wówczas, gdy rywalem dobrze rozwiniętego byka hodowlanego z grubym wieńcem i regularnymi koronami (wspaniały reproduktor) był chytry, podstarzały, ale silny jeszcze wyga, groźny szydłarz. Wiek spowodował, że dawne, piękne korony zmieniły swoje imponujące kształty. Rozwidlenia koron i opierak zanikły częściowo lub całkowicie, a tyki przeobraziły się w grube, wypolerowane zdidy. Najsilniejszy wieńiec nie był w stanie zablokować długiej, gładkiej i morderczej tyki szydłarza, która jak włócznie dziurawiła kark lub bok zaatakowanego przedwodka.

Następstwem szarzy agresywnego, bo świadomego swej przewagi szydłarza jest śmiertelne okaleczenie

przyszłościowego byka, a w następstwie objęcia chmury zdegenerowane potomstwo — plaga długofalowej dziedziczności po wsteczniku. Myśliwym nie często udaje się usunąć przed rykowiskiem szydlarza. Jest on zbyt ostrożny i tylko przypadek pomaga spotkać niepożądanego gościa w świetle dnia. Inaczej zachowuje się wstecznik nie będący szydlarzem. Zdaje sobie sprawę, iż nie ma szans z resztkami koron i opieką w zanikającym wieńcu w otwartej walce z młodym, zwinnym przeciwnikiem. Dlatego cierpliwie pilnuje w zasadzce. Jeżeli przewodnik walczy z innym rywalem lub zbyt daleko odwiodła go od stada lania podleciał, dziobnięciem tyki odbił inną grzejącą się lanią z przychówkiem lub bez i pospieszenie popędził w niedostępne zaułki leśne. Odzywał się rzadko i krótko. Na przestrzenie otwarte wysuwał się tylko nocą i wcześniej wracał z ukradzioną bogdanką pod osłonę zagajników.

W czasie trwania rykowiska wydarzył się niedzienny przypadek. Miałem u siebie dwóch myśliwych, Niemców z Gdańska. Jeden z nich już 18 września o świcie zastrzelił dobrego jednokoronnego dwunastaka. Drugi, bardziej wybredny nie spieszył się. Czekał na wartościowszy wieniec. Należał do tych myśliwych, którzy nie byli łasi na prędką sukces. Trofeów miał dość. Chodziło mu raczej o emocjonujące przeżycia i jeżeli wieniec — to wyjątkowy. To byli prawdziwi Nemrodzi, którzy uważali, że wyprawa myśliwska jest udana, jeśli połączona jest z pasjonującym obrazem i biciem serca ze wzruszenia. Nie denerwowali się, ani nie rozpaczali, gdy przyszło im wracać po wspaniałych doznaniach bez trofeów. Ci myśliwi utrzymywali później ze mną w serdecznym tonie korespondencję.

Była piękna, cicha, księżycowa noc. Zasadziliśmy się w schronie. Mijał akurat szczyt rykowiska. Z wieczora wprowadził się na pole z ziemniakami jeleni ozdobiony regularnym wieńcem dwunastaka, w towarzystwie licznej chmary łań z młodzieżą. Na oko dawaliśmy mu 8 do 9 lat. Porykiwał przeciągle z wielkimi przerwami. Za to energicznie zalecał się do starej lani. Przy czystym niebie, przez nocne szkło myśliwego widzieliśmy dość dobrze, tym bardziej, że jeleni często stawał na pagórku jak posąg, skąd kark, głowa i wieniec świetnie się uwydatniały na tle gwiazdzistego nieba. Mielśmy za sobą brzoźową dragowinę, z lewej z tyłu około 200 metrów leśniczkówkę. Od niej ciągnęło się pole i podmokła łąka. Na poletku pod Kruszynem odezwał się byk. Za chwilę gdzieś dalej drugi. Dwa młode kibice pobekiwali w pobliżu łąk. Ożywił się również nasz jeleni. Denerwował się. Może widział więcej amantów, niż my dojrzeć mogliśmy ze schronu. Z prawej, z brzoźek wypłynął cicho jeleni. Nasłuchując ciągnął łąką w stronę wesela. Nie należał do reprezentacji, bo głowę trzymał wysoko na niezbyt grubej szyi. Wieniec piął się w górę, lecz wydawał się cienki. Do pola zbliżał się znaczniejszy byk. Zdradzał go coraz bliższy tęskny zew. Widocznie przykro mu było, że los potraktował go po macoszemu odmawiając prawa do uroczej lani. Przewodnik chmury wrzał. Ryczał niemal bez przerwy wierząc się w rozmaite strony. Mój myśliwy widocznie popełnił błąd dietetyczny, bo zaczęło mu burczeć w brzuchu. Nie mogąc poskromić wzrastającej nawałnicy, poprosił o wypuszczenie na korytarz. Cichutko otworzyłem drzwiczki i po jego wyjściu znów zamknąłem. Naraz z lewej od strony pola krótko i grubo ryknął duży byk. Podniosłem szkło do oczu. Widzę krępą masę wkraczającą na łąkę. Spojrzałem na głowę. Grube, wysokie, gołe tyki oblane blaskiem księżyca mieniły się białymi błyskami. Szeptem przynaglałem myśliwego, który nic nie podejrzewając trajkotał w chodniku pełnym gazem. Zebrał się szybko. Dałem mu szkło. Byk już był naprzeciw naszego stanowiska, nie dalej jak 40 kroków. Gołym okiem widzę krępy tułów i kark grubiejący niemal do przednich badyli. Chyżo ciągnie by wejść w pasmo niskiego tunelu i pod osłoną wzgórz zbliżyć się niepostrzeżenie do wesela. W międzyczasie Niemiec chwycił oparty o ścianę podwójny sztucer, złożył się do już odchodzącego byka i w chwili, gdy szyna złała się ze środkiem łopatki — drgnął. Strzał jednak padł. Pociśk uderzył głucho, jakby przedziurawił spróchniałą deskę. Echo rozlało się

po morenie i przeraźliwie głośnym falowaniem ponad łąkami, jeziorami i doliną rzeki pomknęło ku granicy dzielącej nasze nadleśnictwo z sąsiednim. Jeleni wierzgnął zadem i zniknął w brzezynie. Okazało się, że w chwili naciskania cyngla mojemu Niemcowi osunęły się źle podciągnięte spodnie. Speszyło go to do tego stopnia, że przerwał spust.

Na jakiś czas zapanowała kompletna cisza. Wyobrażałem sobie jak wszystkie zwierzęta skamieniały nasłuchując uważnie, skąd grozi niebezpieczeństwo. Po kilku minutach oddalający się szeszel świadczył, że chmara zeszała z pagórka na niżej położony pas łąk, poza nasze pole widzenia. Wycofaliśmy się bardzo ostrożnie i poszliśmy do leśniczówki. Na podwórzu zatrzymaliśmy się nasłuchując. Po dość długiej przerwie jeleni przy laniach nieśmiało zaryczał. Po nim to tu, to tam odezwał się inny i stopniowo wszystko zaczęło się na nowo. Następnego dnia, wczesnym rankiem udaliśmy się na miejsce postrzału. Znalazłem trochę siwej ścińki, lecz pojedyncze krople ciemnej farby zauważyłem dopiero na liściach w lesie. Byk zaznaczył jednak niski strzał. Szliśmy tropem dość daleko, póki nie przekonałem się, że jeleni żyje i uchodzi przed nami. Specjalnie szkolone dwa jamniki, nie zdążyły tym razem egzaminu tropicieli. Zwijały się małeństwa po krętych tropach, często się krzyżujących, aż wreszcie przywarły do ziemi bezradne, zniechęcone i nieczułe na rozpaczliwe dopingi przewodnika. Zmartwiony myśliwy odjechał do domu. Obiecałem mu, że będę szukał, ale dam jeleniowi jeden dzień dla uspokojenia, aby się położył. Wierzyłem w opowieści starych, doświadczonych łowców, że gruby zwierz ciężko postrzelony zazwyczaj krąży w okolicy gdzie został ranny, o ile się go nie płoszy. Była niedziela. Wróciliśmy z myśliwym, który ubił wspomnianego jednokoronnego dwunastaka, z rannych podglądów. On po śniadaniu położył się spać, a ja siedziałem w kuchni i debatawałem z żoną na tematy rodzinne. Po zjedzeniu śniadania zamierzałem pójść poszukać postrzałka. Wtem wpada zdyszany syn jednego z robotników i woła na głos: „Panie, w dole kole margłówki leży zdechły jeleni”. Nie zastanawiałem się. Chwyciłem rozpruwacz i z wawo puściłem się w kierunku margłówki. Prawie w połowie drogi doleciał mnie zza pleców tupot i sapanie. Przystanąłem i obejrzałem się zdziwiony. Z największym wysiłkiem gnał za mną mój myśliwy w piżamie, w pantoflach, z kordelasem w garści. Okazało się, iż słyszał rozmowę z chłopcem (dotąd udawał, że po polsku nie umie) i żeby mnie nie stracić z oczu pędził za mną bez przebiegania się. Dalej szliśmy powoli. Jeleni był jeszcze ciepły. Kula przeszła bardzo nisko, trochę powyżej grącia. Zawiadomiony telegraficznie niefortunny strzelec nie posiadał się z radości. Tyki szydlarza były długie i grube z obwisającymi ocznikami. Szczególnie imponowały grube róże i nasady tyk z licznymi przyplaszczonymi już perłami.

FIGLE FRANUSIA

Z polowaniami na jelenie łączą się wyczyny mego kochanego sąsiada Franka z Modrzejewa. Gdy zaczynał się sezon i zjeżdżali goście na odstrzały wstępował w niego nowy duch. Dla jeleniarzy miał kilka receptur pod ręką. Oto jedna najbardziej charakterystyczna. Myśliwi (jeden czy dwóch) spali po rannym obchodzie lub po obiedzie, przed wyjściem popołudniowym. Naraz dzwonił Franek i zwracał się do mnie: „Kolega da mi myśliwego do aparatu”, a kiedy ten się zgłaszał podenerwowanym głosem nawoływał: „Niech pan (panowie) zaraz przyjedzie. U mnie jest kapitalny byk. Świeżo przeszedł przez drogę. Gajowy go widział”. Jak na alarm bojowy zrywali się panowie myśliwi i przy jęku silnika samochodowego pruli zadowoleni do Modrzejewa. Sąsiad już na nich czekał i gorączkowo prowadził do miejsca, gdzie widoczny był świeżutki trop. „Oto on. Wszedł do oddziału 110. Dalej jest jezioro. My go dostaniemy” — informował Franek. Myśliwi robili wielkie oczy, mierzili ślad dłońmi, kiwali głowami i szeptem sobie przygadywali: „Wunderbar, grossarting”. Rzeczywiście był to trop okazały, o średnicy tylnej racy 9—10 cm. Zajmowali

pospiesznie stanowiska, wyciągali szyje, obracali głowami, a co miot, to nic. Wreszcie, gdy myśliwi zaczęli się staniać ze zmęczenia, Franek udając zmęczonego i zmartwionego pocieszał: „Widzą panowie, że był. Musiał jednak wyjść gdzieś bokiem. On szuka łani, to się nie zatrzymał. Na pewno innym razem będzie więcej szczęścia”.

Wracali niemilosierdzie z mordowani, że ledwie tknęli spóźnioną kolacją czy obiadem i legli na posłaniu. Nie wydostałbym ich do lasu tego czy następnego dnia, choćby ryczał jeleń wielki jak słoń. Bardzo późnym wieczorem sąsiad dzwonił i pytał jak się czują myśliwi. Odpowiadałem, że zdrowi i żałują, iż tego rekordowego byka nie udało im się zobaczyć. „Widzi kolega, myśliwym trzeba sensacji. Wtedy oni są zadowoleni, że mieli dużo emocji na polowaniu. Ja to znam” — kończył Franek. Wyjaśnił muszę, że ten rekordowy ślad zostawiało nasadzone na tyczkę kopyto jelenia czy zjedzonego byczka domowego, świetnie wyciśnięte przez samego leśniczego Franusia lub przyuczonego gajowego Nikiela.

Czasem udało się koleźce namówić gościa na stację. Jeżeli podczas kilku wyjść nie udawało się spotkać zwierza, Franuś reżyserował atrakcyjne wyjazdy. Siadali do samochodu i kolega prowadził do „Białych Błot” w leśnictwie Widno (nadleśnictwo Laska), albo w moje oddziały pod Widno (najdalej położone od obu leśniczówek). Strzelca stawiał na narożnikach młodników, sam zaś z koszem na grzyby odgrywał rolę naganiaacza. Nie pamiętam, żeby ten system przyniósł myśliwym namacalne sukcesy. Franusiowi tak, wynosił z zagajników kosze grzybów, które sprzedawał następnie punktowym.

Dyrekcja przysłała mi pod koniec rykowiska niemieckiego bogacza von Bielera. Przywiózł z sobą własną służbę z lokajem włącznie, zastawę, wyszukane potrawy, winogrona i skrzynię starych trunków. Mimo iż żona nic nie robiła, honorowa płacił za sofiera i lokaja po 10 złotych, a za siebie 20 złotych dziennie. Pobory moje w tym czasie wynosiły najpierw 120, a później 150 i 166 złotych miesięcznie. Ten doświadczony i etyczny myśliwy miał już za sobą kilka polowań egzotycznych na bizona, nosorożce, krokodyla, lwy i inne zwierzęta sawan afrykańskich, których trofea zdobyli reprezentacyjną ścianę w jego gabinecie. Wieńcami jeleni — jak sam powiadał i na zdjęciach pokazywał — miał zapelnione całe ściany. Nie dbał więc o sukcesy połowiczne. Życzeniem jego było przeżyć jak najwięcej emocji, dużo widać i ewentualnie spotkać sztukę naprawdę wartą kuli. Jednym słowem służyć szacunku, ale i odpowiedzialnie. Dodam jeszcze, że Bieler przejechał do mnie z innego nadleśnictwa niezadowolony.

Sensacyjnych przygód w czasie wędrówek nastąpiło mi dość, co wyczytać można było z jego zadowolonej miny. Podsłuchiwałem i podchodziłem do jelenia na bliskim dystansie. Obserwowałem również ich gorączkowe rozgrywki rano, kiedy nastający świt jakby je powodował do intensywniejszych wynurzeń przed zejściem do ostoi. Żaden jednak wieńiec, choć nie brakło dobrych, nie zyskał oceny wyjątkowego trofeum. Aż raz pod koniec pobytu myśliwego wysłuchałem według mego przeświadczenia byka interesującego. Trop, który obejrzałem dokładnie w godzinach przedpołudniowych był długi i tak szeroki, że w tylny odcisk włożyłem całą dłoń i jeszcze był luz. Liczyłem się z tym, że ów byk długo w moim rewirze nie zostanie. Spieszył się bowiem bardzo, gonił łanię. Wieczorem go nie zobaczyliśmy. Sądząc po śladach miał mało łań. Następnego ranka ruszyliśmy bardzo wcześnie, bo już około godziny trzeciej. Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu dróg Kruszyn — Kłonicznica oraz Bukówki — Widno. Ku memu rozczarowaniu byk milczał. Odzywały się za to jelenie we Widnie i pod Kruszynem. Uparłem się i zostaliśmy na miejscu, ponieważ kręciły się tu pojedynki, z których jeden o mało nie zdradził nas wystraszoną głosem. Dopiero

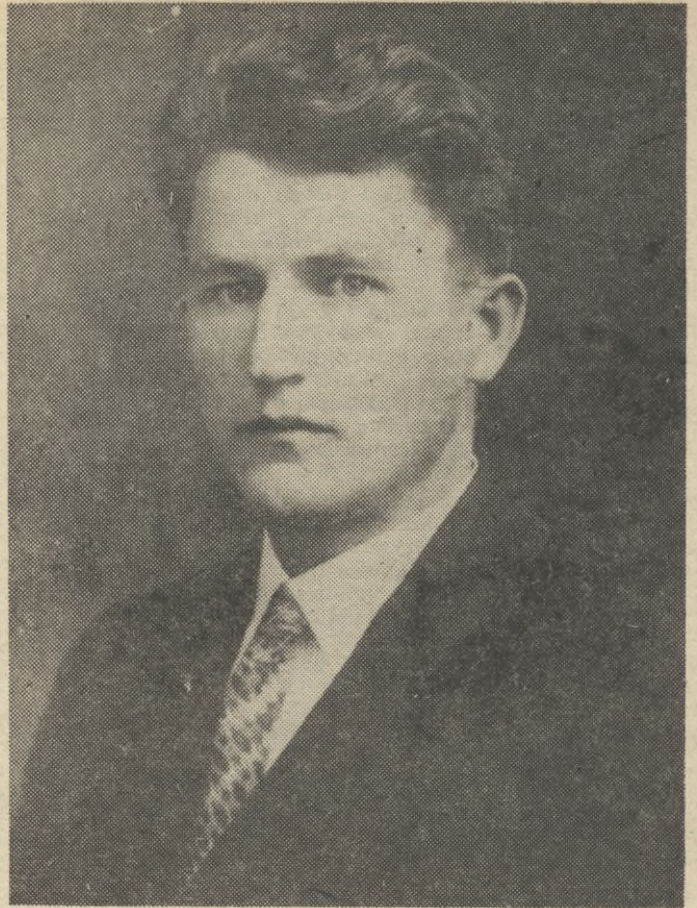
przed piątą zaczęło się larum na poletku tuż nad Dużym Głuchym. Jeleń ryczał w kilku miejscach, dowodziło to, że ganiał za grzejącą się dobrze łanią. Konkurentów widać się nie bał. Zalecał się gwałtownie i beztrudnie, jak gdyby chciał urządzić pokazowe widowisko. Ponieważ wiatr okazał się niekorzystny musielimy się szybko cofnąć pod Bukówki, niemal pół kilometra, by stamtąd podejść jeszcze raz, ale pod wiatr. Weksel z pola, którym łanie zwykle wracały do ostoi, prowadził pod górę przez linię z rzadką porośniętą samosiejkami sosny. Jeleń ruszył i zbliżał się do naszej linii. Wyglądało, że przetnie nam wizurę na około 200 metrów od naszego stanowiska. Ruszyliśmy więc naprzód, aby być bliżej. Donośne gardłowanie stawało się rzadsze w miarę jak się rozwidniało. Za to gonitwa przybierała na sile. Wytworzyła się sytuacja kłopotliwa. Jeleń między jednym a drugim głoszeniem znacznie się przemieszczał. Postawiłem więc wszystko na jedną kartę. Ruszyliśmy przyspieszonym marszem. Nagle zamarliśmy. Jeleń gnał łanię w naszym kierunku. Szybko stanęliśmy na środku linii, za sosenką. Rozkraczyłem się. Myśliwy kazał mi patrzeć przez lunetę i oceniać odległość. Już łania wypadła z drzewostanu i nie dalek jak dwa metry śmignęła obok mnie. Musiała nas zauważyć, bo zrobiła ostry zakręt i po przekątnej wpadła między drzewa. Myśliwy złożył się opierając sztucer na moim ramieniu, ale byk nie wpadł za łanią. Widocznie jej manewr ostrzegł go, bo zarył się racicami tuż przy linii. Bieler trzymał krzyż lunety na komorze i czekał na mój znak. Wieńca nie widział, gdyż tkwił między gałęziami kuzła. Tymczasem ja, ujrawszy korony zapomniałem o umownym znaku i jak chłopiec z drzeniem ciała zacząłem podziwiać i liczyć odnogi w bukietach koron. Czas naglił, a ja tak byłem zafascynowany wieńcem, iż nie reagowałem wcale na ciche pytanie: „Gut?”. Nie trzeba wyjaśniać, że licznych odnóg w koronie i tak nie policzyłem. Byk nie wytrzymał. Nabrał podejrzeń i zawrócił w miejscu. Wyciągnąłem kłusem pomknął na poszukiwanie łani. Zmarnowałem szansę wyjątkową i bardzo się denerwowałem. Mój gość za to cieszył się ze wspaniałej przygody, podczas której — jak mówił — serce waliło mu jak młot.

Jeleń pospiesznie goniąc skierował się do granicy leśnictwa Widno. Prowadziła go na pewniaka ostrożna łania. Przekroczył linię graniczną zanim zdążyliśmy przeciąć mu drogę.

Z tym samym myśliwym podchodziłem grubego czternastaka. Widzieliśmy go bardzo dobrze. Porywał w starodrzewiu jeszcze po wschodzie słońca. Nie mogliśmy go uchwycić z boku. Coś zawsze przeszkadzało. To łanie zasłaniały komorę, to znów kryły jego bok gęste naloty. W szyję strzelać nie chciał, uważał taki strzał za niemyśliwski i niepewny (tak zachowywali się wszyscy Niemcy). W końcu łanie musiały coś zmiarkować. Licówka wysunęła się na czoło i z głową wysoko uniesioną, uważnie wietrząc, skierowała się ku granicy prywatnego lasu rolnika Borzyszkowskiego z Kruszyna. Widzieliśmy jelenia w pełnej krasie jak przemierzał wąską drogę graniczną. Bieler nie strzelił na granicy i dobrze uczynił. W prywatnym lesie czyhał na jelenia dziedzic z Leśna — Sikorski, który trochę niezgodnie z przepisami wycygnął od właściciela zezwolenie na odstrzał. Nasz byk też mu się wymknął, ale po południu, około godziny piątej zmiotł go z ambony, naprędcie skleconej na starej sośnie. Byliśmy w innej części rewiru, ale strzał słyszeliśmy. Poprosiłem przez posłańca p. Sikorskiego, aby mojemu gościowi pozwolił obejrzeć wieńiec, na co się chętnie zgodził. Był imponujący, podobał się mojemu myśliwemu, ale nie wyczytałem z jego miny czy słów, żeby żałował lub był zazdrosny. Byk padł zaledwie 60 metrów od mojej granicy. Wieczorem Bieler odjechał. Żegnając się stwierdził, że przyjemnie spędził te kilka dni. Zadowolony gość, który u nas polował, jest największą satysfakcją, nie można go porównać z żadnym ekwiwalentem materialnym.

Portret bohatera

Kazimierz Ostrowski



Książkę dra Konrada Ciechanowskiego o Józefie Dambku pt. „Życie i śmierć bohatera” czyta się potocznie, niemal jak zbeletryzowaną opowieść. Nie wiem czy jest to pochwała dla tego typu opracowania, ale jest pewne, że może to książce przysporzyć czytelników, a zatem spopularyzować postać Dambka — twórcy i komendanta „Gryfa Pomorskiego”. O to zaś chodzi, aby pomorski ruch oporu urealnić i przybliżyć. Ukazanie walki podziemnej poprzez działanie i losy konkretnych ludzi, a dalej zaproponowanie odbiorcom książki pewnego wzoru osobowego, powinno się tej sprawie dobrze przysłużyć.

W wywiadzie przeprowadzonym przez I. Trojanowską z autorem omawianej książki („O Józefie Dambku — bohaterze Kaszub”, „Pomerania” nr 9, 1979 r.) Konrad Ciechanowski wyjaśnił genezę i cel tej pracy: „Mimo licznych publikacji, w których o Józefie Dambku jest mowa, brakowało opracowania, które dotyczyłoby przede wszystkim jego. A był to człowiek, którego biografia powinna być znana — zasłużył na to życiem i walką. Tego zdania jestem zresztą nie tylko ja. Do napisania biografii Józefa Dambka inspirowały mnie różne osoby, w szczególności Lech Bądkowski, który swego czasu zwrócił uwagę, że chociaż sporo już wiemy całościowo o ludziach, którzy walczyli na Pomorzu z okupantem, nie mamy bohatera z tamtych lat, a ściślej — nie został on dotychczas spopularyzowany. Ten tytuł bohatera ruchu oporu niewątpliwie należy się Józefowi Dambkowi”.

Ta uwaga jest słuszna w całej rozciągłości i wyraża pewien niepokój, że nie potrafiliśmy dotychczas zdyskontować zasług tych ludzi, którzy przeciwstawiając się okupantowi, wzięli na siebie ogromne historyczne zadanie. Nie zdołaliśmy dotąd dostatecznie upowszechnić tej prawdy, że w szczególnych warunkach Pomorza ruch oporu spełniał swoją rolę podobnie jak w innych regionach kraju. Oczywiście ukazywanie wszystkich aspektów okupacyjnych dziejów społeczeństwa pomorskiego jest głównie problemem nauki, ale rezultaty badań zakorzenić się muszą w powszechnej świadomości. Innymi słowy, mocnym ele-

mentem tradycji historycznej powinno być przekonanie, że Pomorze zachowało w pełni swoją godność w obliczu hitlerowskiego terroru i spełniło obowiązki wobec ojczyzny.

Popularna biografia Józefa Dambka takiemu celowi służy i dlatego ukazanie się omawianej pozycji należy powitać z uznaniem. Słuszny wydaje się także wybór tej właśnie postaci, Dambka bowiem nie trzeba kreować na bohatera — on po prostu jest bohaterem. Nie ma także potrzeby dokonywać w jego życiorysie istotniejszego retuszu, selekcji faktów, uzupełniania rzeczywistych zdarzeń fikcją. Autentyczna droga życiowa Dambka w zupełności bowiem odpowiada idej tej książki i jest w takim stopniu zajmująca, iż stosowanie zabiegów literackich byłoby w tym wypadku zbędne.

Dambek jest najprawdziwszym bohaterem podziemnego frontu walki z okupantem, choć może jego działanie nie zgadza się z uproszczonymi, obiegowymi wyobrażeniami o bohaterstwie. Być może pokolenie wychowane na telewizyjnych serialach oczekuje od bohatera akcji bardziej spektakularnych, igrania z niebezpieczeństwem, heroizmu w bezpośredniej walce z wrogiem. I tu właśnie zadanie dla autora książki biograficznej: powinien wykazać, że bohaterstwo ma różne oblicza, zaś z ryzykanctwem i brawurą właściwie niewiele ma wspólnego. Tymczasem z lektury opowieści o Józefie Dambku nie wszyscy czytelnicy wymiosą takie przeświadczenie, a myślę tu szczególnie o tych, którzy nie znają z autopsji (lub choćby z rodzinnych przekazów) realiów okupacyjnej codzienności na Pomorzu. Szersze naświetlenie tła, zatrzymanie się na niektórych faktach mogłoby lepiej uświadomić sobie jakie ryzyko ponosił Dambek, a z nim wszyscy współpracownicy i szeregowi członkowie „Gryfa Pomorskiego” każdego dnia. Ile odwagi i ofiarności trzeba było, żeby podejmować tę walkę, organizować opór. W książce przeważało jednak dążenie do całkowitego zobiekttywizowania przedstawionej sylwetki, być może ze szkodą dla sugestywności portretu, a przede wszystkim dla uwypuklenia bohaterstwa, które zawsze zyskuje na tle cech ludzkich.

Zapewne wynika to z naukowych predyspozycji i metod autora; Konrad Ciechanowski nie mówi czytelnikowi nic ponad to, co wie na pewno i co ściśle dotyczy tematu. W jakimś stopniu odbarwia przez to swego bohatera, czyni go nieco schematycznym i koturnowym. Józef Dambek jest w tej książce człowiekiem ideowym, ukształtowanym patriotą i społecznikiem, a cała jego przedwojenna działalność i praca zawodowa przedstawia się jako przygotowanie do późniejszej roli organizatora pomorskiego ruchu oporu. Może taki właśnie był; zasadniczy w obcowaniu z ludźmi, wymagający od siebie i innych, konsekwentny. Te cechy są bardzo przydatne przywódcy organizacji, ale gdyby jego psychika była wyposażona tak jednostronnie, to rodzi się pytanie, czy wówczas potrafiłby skupić wokół siebie tak wielu ludzi gotowych oddać życie, porwać ich do czynu? Czy Dambek nie był więc także człowiekiem zwyczajnym i w tym sensie sympatycznym, bliskim swoim współtowarzyszom? Z całą pewnością, gdyż natura ludzka nie jest tak idealnym mechanizmem, który nigdy się nie zaciera i nie zawodzi, lecz podlega ona różnym zewnętrznym i wewnętrznym siłom. Założyciel i kierownik „Gryfa Pomorskiego” jak inni przeżywał rozterkę i zahamowania, miał swoje skazy. Co więcej, w biografii Dambka trzeba dostrzec także rys tragiczny; sytuacja postawiła go przed koniecznością dokonania trudnego wyboru. Wybrał patriotyczny obowiązek, płacąc wysoką cenę — utratę rodziny i nie sposób uwierzyć, że stało się to bez wahań. Dambek był autorytetem moralnym, co jednak nie oznacza, iż nie przeżywał ludzkiej ambiwalencji uczuć i zasad postępowania. Gdyby K. Ciechanowskiemu udało się przedstawić Dambka również z tej strony, jego portret bohatera Kaszub dużo by zyskał na wiarygodności.

To chyba wyczerpuje usterki, jakie w tej cennej i potrzebnej książce można znaleźć. Plusów zaś posiada znacznie więcej. Na podkreślenie zasługuje sumienność badawcza i ogrom pracy, dzięki którym w ogóle mogła powstać biografia okupacyjnego działacza. Na bogactwo dokumentów z tego okresu nie można liczyć, żeby o podziemnym życiu polskim cokolwiek się dowiedzieć, trzeba przede wszystkim rozmawiać z uczestnikami tego nurtu. Konspiracja działania, upływ czasu, zgon wielu bliskich współpracowników, niedokładna znajomość osób i faktów przez

rozmówców, niepewność niektórych informacji — te wszystkie okoliczności nie ułatwiły zadania autorowi. Mimo to zrekonstruował życie i działanie Dambka — „Jura” w sposób wierny i możliwie pełny. Pomocą służyły materiały zebrane w trakcie opracowywania innych zagadnień dotyczących ruchu oporu i życia narodowego na Pomorzu. Autor zastrzeżę przy tym, że na wiele pytań nie zdołał znaleźć odpowiedzi, a ponadto pominął informacje nie w pełni udokumentowane. W poszukiwaniu prawdy naukowiec broni się przed napisaniem legendy, to zrozumiałe, ale czy nie chcielibyśmy, by ta biografia zapowiadała narodziny legendy o bohaterze?

Dużo potrzeba nam jeszcze książek, naukowych opracowań, popularnych opowieści, wspomnień o tamtym czasie. Z dorobku nauki winna wielostronnie korzystać sztuka — literatura, film, plastyka, na razie jednak w odniesieniu do Pomorza raczej stroni od tej tematyki. Publikacja takich książek, jak biografia Józefa Dambka może spełnić wobec sztuki rolę inspirującą i oby tak się stało.

Parę lat temu na obozie harcerzy z gdyńskiego hufca w Czernicy koło Męcikała rozmowa zeszała na czasy wprawdzie jeszcze nie odległe, ale już historyczne — okupację. Mówiliśmy o podchorążówce, która mieściła się w bunkrach w obrębie młyna w Czernicy, o śmiertelnym boju partyzantów z grupy Henryka Grabosza, którym postawiono pomnik w Męcikale, o tragicznych losach harcerzy z tajnej drużyny Stefana Dziekana w Brusach. Młodzi słuchacze chcieli wiedzieć więcej o tych sprawach, niż potrafiłem objaśnić, a może nawet więcej, niż ktokolwiek mógłby im powiedzieć? Przecież nie wszystko jest jasne, wiele już na zawsze pozostanie w mroku. Więc gdzie mogliby przeczytać o tych wydarzeniach, ludzkości? Ba! Łatwiej rozbudzić ciekawość, niż ją zaspokoić. Wymieniłem wówczas wspomnienia partyzanta Emila Cysewskiego, jeszcze jakiegoś innego. Dziś dodałbym — „Życie i śmierć bohatera”. Wciąż jeszcze za mało mamy takich książek.

Konrad Ciechanowski, Życie i śmierć bohatera. Józef Dambek, założyciel i kierownik TOW „Gryf Pomorski”. Gdańsk 1980. Wydawca: Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie Oddział Miejski w Gdańsku. Wydanie I, nakład 2500 egz., stron 110, ilustr., cena 35 zł.

Szkic do sagi rodu Wyrowińskich

Ignacy Kop

Pani Bronisława wie bardzo dużo o zamierzonych czasach swojej okolicy. Porusza się w gąszczu spraw i zagadnień swobodnie, może niejedno wyjaśnić. Ale najwięcej o swojej rodzinie, rozrosłej dziś bardzo i osiadłej w wielu miastach całego kraju, która jednak swoje gniazdo ma w Brusach. Zwierza się, że prowadzi notatki i rada by je skompletować w kronikę rodu, o ile starczy jej czasu i umiejętności do tej pracy. Wiele wiadomości zasiłyszanych od swych rodziców i dziadków przechowuje po prostu w pamięci, a kojarzą się one z tą warstwą historii, o której dzieci uczą się w szkole. Znajdą się w kronice także wydarzenia bliższe w czasie, które już ona sama przeżyła...

— Nasza rodzina poniosła wyjątkowe cierpienia za Hitlera — mówi starsza niewiasta, wcale nie tonem skargi, lecz w formie prostego stwierdzenia. — Wszyscy byliśmy Polakami, za to nas prześladowali — zupełnie i słyhać w tym odrobinę dumy, że nie pozwolili się eindeutschować. Za wszelką cenę trwali, mocni byli ci Wyrowińscy, choć hitlerowcy próbowali ich złamać na wszelkie sposoby.

Od kiedy Wyrowińscy mieszkają w Brusach, tego kronikarka rodu nie zdołała ustalić. Historyczna pamięć sięga trzech pokoleń wstecz, czyli najskromniej licząc — półtora wieku. Dziad, Wojciech Wyrowiński, gburski syn i sam szanowany gospodarz, w tradycji

Jerzy Samp

Anonimowi Gdańskiemu

ile we mnie z bogacza
a ile z Łazarza
gdy wracam milczący
do niezmyślonego miasta
gdzie tłumy poniżonych
snują się wzdłuż
hanzeatyckich fasad
od święta
i betonowych domów
na co dzień
wypowiadając wzrokiem
słowa modlitwy i słowa buntu
a ja spragnionemu
wskazać mogę jedynie
słony ślad po studni
dawno wyczerpanej
po wyblakłej purpurze tkanin
jeszcze wczoraj tak dumnych
i napisach które niebawem
strącać zacznie wiatr
ile we mnie z Łazarza
gdy powtarzam twe słowa
Anonimie
sprzed trzech stuleci:
„czasie pański, jakie się w Gdańsku
dzieją dziwy...”,
gdy przygamiam psa skamlącego
do niezabliźnionych ran tych,
którym śmierć patrzy w oczy
a mierzą do ziemi
ile z Łazarza
gdź czyjaś pięść
trafia pomiędzy oczy
a palce w miłosierdziu
chwytają bruku
jak zerwać rdzę — pytam —
ze słów nazbyt stalowych
jaki im dźwięk przywrócić
by słowo stało się chlebem
a chleb wystarczał za
słowo
ile we mnie z bogacza
a ile z Łazarza

rodzinnej utrwalił się jako zdecydowany przeciwnik Bismarcka, a uczestnik polskiego życia narodowego; walczył w budowie nowego kościoła parafialnego w Brusach i był jednym z współzałożycieli Banku Ludowego, co stało się w 1872 roku z inicjatywy proboszcza ks. Augustyna Wiki-Czarnowskiego. Ożeniony był z Marianną Tuszkiewiczówną, ze starej rodziny, której genealogię można wyprowadzić do ósmego pokolenia; pani Bronisława miała przed wojną w ręku oryginalny przywilej Tuszkiewiczów przez króla Sobieskiego wystawiony, ale teraz już pewno ten dokument nie istnieje.

Synem Wojciecha i Marianny, dziedzicem na gospodarstwie był Bolesław Wyrowiński, który ożenił się z Józefą Zmuda-Trzebiatowską. Z tego małżeństwa urodziło się trzynaścioro dzieci — ośmiu synów i pięć córek, a wszystkie zostały wychowane w patriotycznym duchu. Czytać uczyły się z polskich gazet, a była to widać nauka owocna, skoro hitlerowcy nie zdołali jej wyrwać.

Dochodząc już do okupacyjnych losów, trzeba wyjaśnić, że mowa tu będzie tylko o fizycznych represjach i to w skrócie wielkim. Na dokładniejszy opis bowiem nie starczyłoby całej książki.

Już w pierwszym dniu wojny, 1 września 1939 roku zginął Stanisław Wyrowiński, syn Bolesława, ur.

w 1908 roku. Był absolwentem Szkoły Handlowej w Chojnicach w 1927 roku, pracował w The British and Polish Trade Bank w Gdańsku. Spieszył na punkt mobilizacyjny w Gdyni, w drodze został zastrzelony przez bojówkarzy hitlerowskich w Orłowie.

W październiku 1939 roku został aresztowany ks. Wincenty Kolczyk, syn Julianny z Wyrowińskich — Kolczyk z Czapiewic koło Brus. Był więźniem obozu koncentracyjnego w Dachau. Udało mu się przeżyć. Ks. prałat Wincenty Kolczyk (ur. 1897) mieszka obecnie w Toruniu, gdzie po wojnie przez długie lata był prepozytem kościoła św. Jana Chrzyciela.

Do Dachau zesłano również ks. Leona Januszewskiego (ur. 1909); był synem Walerii z Wyrowińskich — Januszewskiej z Chojnic. Został w obozie poddany zbrodnictwom eksperymentom. Przed emeryturą był proboszczem w Barłóźnie, zmarł w 1965 roku w Chojnicach.

Jako polski dywersant aresztowany został przez gestapowców w 1941 roku koło Sochaczewa Lucjan Malich z Bydgoszczy, student prawa Uniwersytetu Poznańskiego — wnuk Julianny Wyrowińskiej — Kolczyk. Był on wcześniej uczestnikiem kampanii wrześniowej, jako chorąży brał udział w bitwie nad Bzurą, uniknął niewoli i pracował jako robotnik. Wraz z dziećmi aresztowanymi kolegami z kon-

spiracji został przywieziony do Budziszyna, wytoczono im następnie proces przed sądem w Dreźnie i skazano wszystkich na karę śmierci przez ścięcie gilotyną. Rodziców Juliana zawiadomiono o wykonaniu wyroku i pochowaniu zwłok na cmentarzu w Dreźnie. Pani Bronisława Wyrowińska przeżywała w tym samym czasie na robotach przymusowych w okolicy Dreżna i próbowała odszukać grób Lucjana. Spotkała wówczas na cmentarzu księdza niemieckiego F. Bäusa, który widział skazanych na krótko przed śmiercią i udzielił im ostatnich sakramentów. Opowiedział on o ostatnich godzinach życia Lucjana. Tenże ksiądz ukrywał u siebie na plebani czterech innych więźniów, skazanych także na śmierć, którym udało się zbiec.

W obozie koncentracyjnym Mauthausen zamordowany został 3 maja 1943 roku, po dwóch latach katorgi, Waclaw Wyrowiński (ur. 1906). Jego brat Jan Wyrowiński w 1941 roku został aresztowany i skazany przez sąd w Chojnicach na ciężkie więzienie; do wyzwolenia przebywał w więzieniu Wartenburg w Prusach Wschodnich.

Dwaj inni bracia p. Bronisławy — Kazimierz i Alfons byli żołnierzami we wrześniu 1939 roku. Kazimierz, kapral, uczestniczył w bitwie nad Bzurą, gdzie został ciężko ranny i stracił rękę, natomiast Alfons, również w stopniu kaprala, w czwartym dniu kampanii dostał się do niewoli — przebywał w Stallagu B Hamerstein (Czarne), a następnie w obozie pracy w Potulicach. Wraz z nim do Potulic została wysiedlona Bronisława.

W ostatnich dniach przed wyzwoleniem straciła życie Zofia Wyrowińska (ur. 1901). Była ona żoną leśniczego Dominika Grzonkowskiego, pracującego w Nadleśnictwie Ruda — Górzno pow. Brodnica. Na

terenie tego nadleśnictwa zrzucony został w dniu 6 września 1944 roku oddział zwiadowczo-dywerysyjny „Pomorze” pod dowództwem ppor. Henryka Myćko, w skład oddziału wchodziło 12 oficerów i podoficerów polskich i radzieckich. Dzięki pomocy miejscowej ludności, a szczególnie dzięki współpracy z leśniczym Grzonkowskim spadochroniarze przetrwali kilka miesięcy i wykonywali swoje zadania na tym terenie nasyconym wojskami niemieckimi. 4 grudnia wywiązała się walka pomiędzy polsko-radzieckim oddziałem a hitlerowcami — leśniczy Grzonkowski zginął. Jego żona, Zofia z Wyrowińskich — Grzonkowska, została natomiast zamordowana przez hitlerowców w styczniu 1945 roku, także w związku z działalnością męża.

Oto pobieżny bilans pięciu lat wojny i okupacji w tej rodzinie. Gdyby komukolwiek potrzebny był przykład do dziejów walki i męczeństwa Pomorza, Wyrowińscy mogliby przedstawić swoich bliskich, których nie ma między żywymi, mogliby opowiedzieć o własnych przeżyciach.

Minęło już sporo lat. Pani Bronisława gromadzi okruchy wiadomości o tamtych sprawach, docierające jeszcze niekiedy, słucha wspomnień. Przed kilku laty czytała w „Panoramie Północy” cykl artykułów W. Leny-Kisielewskiego o desancie grupy „Pomorze”, stamtąd dowiedziała się szczegółów o śmierci siostry i szwagra Grzonkowskich. Pojechała z bratanicą Barbarą na cmentarz do Górzna odwiedzić mogiły, niedawno widziała audycję w telewizji na ten temat. Nie żyje już ksiądz Bäusse z Dreżna, z którym korespondowała na temat Lucjana, odchodzą inni. Chce więc zebraną garść przekazać dalej, następnemu pokoleniu, tak jak się oddaje pałeczkę w sztafecie.

Józef Ceynowa

Bożô Stopka

Bënë w lese, pod Polchówkę, w krokowsczi stronie je kam, chtëren mô miono-Bożô Stopka. Pewno bël przed wiekami kamienię granicznym rozdzielającym lasë krokowsczi od lasów królewszczech, ale lëdze gôdają, że to kamień święti. Jô czul o nim taką powiôstkę:

— Biôtka bëła niedalek. Biôtka wielgô, ë straszno. Naszi pod Swiecenę sę bralë z Krzeżôkami. Krzeżôków bëło wiele, naszëch mało. Krzeżôcë bëłë zuchterni, ale jesz naszi zuchterniejszi. Krzeżôcë sę trzimalë tëch strôn, bë dali ledzy cëmiëżëc a naszi miele tego cëmiëżeni ju dosc; po calim kraju szed głos — wënekac, wëtłuc gadzenów ë temu téż naszi chłopci do kosów, do sęczierów, do widłów, bë pomagac wojôrzóm krôla Kazmierza, sëna Jagiellë. Przë Dobrim Jezorze wôdzca naszëch Pioter Dunin Krzeżôków chwôcył. Biôtka bëła długo, dérała od réna do wieczora. Sékle miecze, cęłë toporë, zdérale wojôrzy z mërów beczi, pchalë widlë, tleklë kłonicë. Jëczy, rëczy, krzëk, ramô. Ptôszi odlatiwalë, zwiërzena uceka. Bëło straszno. Naszi dobëlë w sé zjiwrowôny ë derni. Krzeżôcë strëchlełë, o darowani zëca błagale, ale nié wszët-

cë. Bël midze nimi wojôrz zwalesti, zuchterni ë dzibczni w sé, jak mało chterni. Nô niego szle dwaji naszi, téż derni i wëcwiczony w wojarsczi sztëce, téż zwalesti ë zuchterni. A jednak on sę jima odcinôł, a jednak z nich krew sę la. Ale co dwaji to nie jeden. Krzeżôk sę muszil copac. Copôł sę długo a wëcopôł sę dalek, od Swieçëna, wëj, jaż tu do tego kamienia — gôdôł mie jeden z mojejch mówców, pokazëjąc kam.

— Prze tim kamieniu, co tój jesz zôdnego znaku ni miôł — cignął ten dali — ten wojôrz sę zatrzymôł, tu chcôł ze swojemi przësladôwcami zrobic kuñc. Biôtka sę tój jesz barzi wzmogła. Miôł nën wojôrz ju miecz wëczidli, ale chwôcył topór ë nim toporë dali sę barnil, dali nacérôł na nëch dwóch.

Każdô moc mô swój kuñc, ledzkô téż. Wojôrze zaczęłë ustawac, robile sę labët. Szczerwie-niali oczë zachodzelë dôką, a téż pot je zalewôł, ręce ë nodzi ich omglewalë, ale sta sę rzecz nibëwalo. Héwo, w pewny chwili pësznô jasnota ich ogarnę. Oni nó sa wëzdrzelë, zdrëcelë oczni zakrëwadła w ti jasnoce sę poznele, rzucele sę na szëje, zaczęłë sę scëskac, ni dwaji négo Krze-

żółka a on jich. Przeproszale sę, choc nie wiedzele zó co, ko koździ z nich męślól, że dobri sprawie słuźił, ten Krzeżók téz. Ten nôbarzi przeprôszól, bo, knôpika môlim, wędzarti starszim kol Pucka, ostól wëchówôny na rincerza krzeżaccziego, bë bjić naszëch, wcale nie wiedzól, że je téz Polôcha.

W tim uczelë jaczis znôny głos: „Sinkowie moji, dosc tklewotë, dosc bratobójcziech biôtków, móm waji wszeteczich nazôd, ju waji nie puszcza w swiat, pojta za mną”.

To matka ich, nieboszczëca, wędzrzele na kam dzë sta, usmiechniętô, wëcyga do nich ręce, bë objic. Cëdownim sposobu żdzinęła, tak jak sę zjawiła; z nią téz raza zdzinełe ti wojôrze. Zdzineła téz na pesznô jasnota.

Cziëj na ten cëdowni môl przebieglë pôłchówko-

wianie to le nalezle barnią ë ten tu święti znak.

Mój rozmówca odsapnął, wędzroł nó mie, bë rzec cëchim, plënącym od serca głose: — Tu je od cësk stopë ti święti białci; kuli ona wëcierpia w nëch krzeżaccziech czasach, czë ti biesôce ji sinka wzëlë to le Pón Bóg wiedzól ë temu zrobił ten cud.

Më tu w czasach hytlerowsczi okupacji nierôz zachôdale, bë z tego kamienia brac karsznotë. Më wic wierzelë, że tak jak przôdë nasi pobjile Krzeżóków, choc ti mocni bëlë, tak téz cali nasz naród pobjije hytlerówców; jak tój nasi tëch biesów wënkälë tak ë më wënokóme Niemców.

Ë tak tez sę sta — rzek ten dobri ë uslužni człowiek a jô kôzdemu radza obezdrzec so ten słówni kam ë téz swiecinszi pobjowisko.

Z posażnej skrzyni i ze złotogłównia odwzorowane

Antoni Wica-Gostomski

Moje pokolenie urodzone w pierwszej dekadzie XX w. było dziećmi ojców, którzy urodzili się po 1871 r. Im przyszło żyć w okresie nasilającego się szowinizmu niemieckiego. Odpowiedzią naszych ojców było wysunięcie ideologii pracy organicznej — rozbudowy życia gospodarczego przez rozwój narodowego przemysłu, rzemiosła, handlu, kas i banków oszczędnościowo-pożyczkowych, czytelnictwa i organizacji społecznych. Im to zawdzięczamy, często zapomnianym, acalenię przed wynarodowieniem i odzyskanie niepodległości. Chciałbym przypomnieć zasłużonego nauczyciela trudzącego się nad odrodzeniem sztuki ludowej — Maksymiliana Lewandowskiego.

Urodził się 30 października 1874 r. w Wielkim Waámierzu, pow. Tczew. W 1895 r. ukończył seminarium nauczycielskie w Kościerzynie, pracował w kilku miejscowościach, także przez dłuższy czas we Wdzydżach. Tu zetknął się ze starszym kolegą lzydorem Gulgowskim, oczarowanym Kaszubami — ziemią, ludem i jego kulturą. Maks (tak go nazywano) wespół z Teodora i lzydorem Gulgowskimi pieszo lub półkoszka wanożyli do Wielu, Dziemian, Lipusza na odpusty i szukali Kaszubów ubranych w korki, kapuzy, sznurówki, chusty, ubrania samodziłowe. Notowali wyrażenia, nazwy sprzętów domowych, roślin i zwierząt. Gulgowska zbierała wiadomości o sztuce zdobniczej i stroju, Maks i lzydor interesowali się sprzętem. Ciekawszy kupowali względnie otrzymywali darmo. Efektem wędrowek tej trójki była broszura Gulgowskiego w języku niemieckim — „Nieznany lud kaszubski” i muzeum. Gulgowsky kupili we Wdzydżach najokazalszy dom z podcieniem i urządzili w nim muzeum.

Pierwszy raz muzeum we Wdzydżach widziałem w 1928 r., wtedy także zwiedziłem szkołę haftu kaszubskiego, zorganizowaną w 1906 r. Podkreśliam tę datę, gdyż było to pierwsze muzeum oraz pierwsza szkoła sztuki ludowej na ziemiach polskich. Mnie szczególnie wtedy zainteresowały wiszące na ścianach obrazki świętych, malowane na szkle. Św. Marcin miał błękitną aureolę, różgę tulipanów z liśćmi, pod korpusem kilka kwiatów błękitnej niezapominajki. Św. lzydor miał kwiat słonecznika z gronem wiśni. Dlaczego ludowi artyści tych dwóch świętych tak suto ustroili? Bo Marcin był ważną datą w życiu ludu — początkiem i końcem okresu służby domowej, wędrowki po nową pracę, kojarzenia małżeństw, obrachunkiem gospodarczym. „Ach Maryszka, dawaj pyska, moja złota przepióreczko, chucute-



Maksymilian Lewandowski

czko nies gn'azdeczko, św. Marcin niedaleczko” — mówi przysławka. lzydor Oracz, przedstawiony z zaprzęgiem krówek w jarzmie na tle zaoranych pól, był opiekunem zgrzebnych gburków. Nieoceniona szkoda, że eksponaty spłonęły w ogniu razem z checzą. Odbitki tych dwóch obrazków były reprodukowane w kolorze w „Ilustrowanym

Kurierze Codziennym" wraz z reportażem o muzeum (rok prawdopodobnie 1930).

W 1918 r. M. Lewandowski został samodzielnym nauczycielem w Kosobudach opodal Chojnic. Tam na zajęciach szkolnych Handarbeit wprowadza haft obok szydełkowania i wiązania (robótki na pięciu drutach). Również otwiera kurs haftu dla starszych dziewcząt i angażuje pomocniczą siłę do nauczania tego przedmiotu. Rozbudowuje wzory w oparciu o makatki; ubiory ze wzorami haftu, łączy poszczególne elementy w ornamenty, rysuje je na arkuszach pergaminu.

W 1921 r. przenosi się do Kościerzyny. Tu ma większe możliwości rozpowszechniania haftu kaszubskiego. Znajduje gorących zwolenników nauki haftu w osobach inspektora szkolnego Chmieleckiego i dyrektora szkoły Władysława Glocka oraz w dyrektorach szkół — zakładu dla dziewcząt (gimnazjum żeńskie) i Szkole Gospodarstwa Domowego. Do przedmiotu „roboty ręczne” wprowadza się haft. W zakładzie przedmiot ten obejmuje jego córka Helena Lewandowska. Absolwentki gimnazjum rozpowszechniły później haft w miejscach swojej pracy. Przytoczę tu moje dziwne spotkanie z haftem kaszubskim.

W 1931 r. znalazłem się niedaleko Biskupizny. Jest to region utrzymujący, podobnie jak Księżacy, dawne stroje. Biskupianie gromadnie występują w strojach ludowych w czasie procesji Bożego Ciała. W tym dniu znalazłem się w Krobi wśród ciekawych tego widowiska. Stroje młodych Biskupianek zawierają dużo bieli i na tle bieli zauważyłem rzuty i szlaczki haftu kaszubskiego! Sprawczynią mariażu haftu biskupińskiego z kaszubskim okazała się Halina Jurkowska, absolwentka zakładu w Kościerzynie, uczennica H. Lewandowskiej. Z pomocą prezesa powiatowego koła właścianek Szczenięckiej z Łaszczyna organizowały bezpłatne kursy haftu i gospodarstwa domowego. Pani Halina i Szczenięcka wybrały haft kaszubski, bo i ta druga była złączona węzłem krwi z rodziną Szczenięckich z Wawry pod Toruniem.

W okresie międzywojennym szereg miłośników kultury ludowej propagowało jej rozwój. Sojusznika znaleźli również w szkole. ZNP wydawał nawet czasopisma, jak „Roboty Ręczne”, „Teatr Ludowy”, „Oświata dla dorosłych”. M. Lewandowski znalazł także sprzymierzeńców w Izbie Przemysłowej oraz w Towarzystwie Popierania Przemysłu Ludowego, którym kierował P. Kwiatkowski z Torunia. Pasję rozwoju haftu zrealizował Lewandowski przez organizowanie kursów dla dzieci i dorosłych. Miały one, obok rozpowszechniania pięknego haftu ludu polskiego także inny cel. Umożliwiły zarabkowanie bezrobotnym panienkom. Ten drugi cel był szczególnie ważny w latach kryzysu gospodarczego.

Istniały w okresie międzywojennym trzy ośrodki szkoleniowe i produkcyjne haftu kaszubskiego: we Wdzydżach, prowadzony od 1906 r. przez Teodorę Gulgowską, w Sopocie przy Muzeum Kaszubsko-Pomorskim, kierowany przez Franciszkę Majkowską od 1914 r. oraz M. Lewandowskiego od 1918 r., najpierw w Kosobudach, a od 1921 w Kościerzynie. Ośrodki te czasami nazywano szkołami Kaszubskiego Przemysłu Ludowego, gdyż szkolili nieraz w innych dziedzinach — zdobnictwie, plecionkarstwie itp.

Kursy Lewandowskiego rozpoczynały się od wykonania tzw. wzorników, na których trzeba było opanować wszystkie ściegi potrzebne w poszczególnych wzorach. Następnie kursanci musieli wykonać robótkę próbną. Wykonanie pracy przygotowawczej kwalifikowało do grupy zarobkującej. Na kurs uczęszczało 30-50 osób, pracowano w grupach. Płótno oraz nici na wykonanie pracy kwalifikacyjnej przynosił kursant. Znaczna część pracowała dla własnej satysfakcji, część jednak po opanowaniu techniki haftu, rysunku, zasad kompozycji kolorów i układu przestrzennego, pracowała zarobkowo. Były okresy, np. w 1929 r. gdy liczba pracujących chałupniczo panien przekraczała 80 osób. Stała instruktorką i pomocniczą Szefa była Marta Trzebiatowska. Technika haftowania była następująca. M. Lewandowski z najzdolniejszymi hafciarkami kopiował wzory, które następnie nanoszono na pergamin. Zarys wzoru oznaczono dziurkowanymi liniami. Tak przygotowany wzór przykładano na płótno szlachetne lub surówkę, czasem surowy jedwab lub tiul i pocierano gałgankiem zamocowanym w farbie zmieszanej z benzyną. Na płótnie odbijała się linia kropkowana. Dziurkowy wzór służył wielokrotnemu od-

biciu. Wykonawca otrzymał materiał ze wzorem, odpowiednią ilość nici w siedmiu kolorach, terminu wykonania nie określano. Haftowano serwety, makaty, obrusy, firanki, narzuty na łóżka itp.

Wyroby szkoły M. Lewandowskiego były na szeregu wystawach, jak w Kościerzynie, Chojnicach, Tczewie, Gdyni, Brodnicy, Toruniu oraz w 1929 na PWK w jednym stoisku z rzemiosłem toruńskim. Hafty sprzedawano na stoiskach, prywatnie oraz w stałych sklepach: w Toruniu i w Warszawie na Tamce. Poprzez Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego wyroby eksportowano także do USA i Kanady. Szkoła Lewandowskiego zwolniona była od podatku dochodowego, ponieważ zakładano, iż przyczynia się do rozwoju sztuki ludowej i jednocześnie daje zarobek wielu kobietom.



Kurs hafciarski prowadzony przez M. Lewandowskiego w Kościerzynie

Maksymilian Lewandowski prowadził szkołę do chwili deportacji (22.10.1939) do Łysowa nad Bugiem. Ekspozyty, wzory, dyplomy zniszczył Niemcy. Zmarł 7.05.1943 r., pochowany został w Kościerzynie.

Co pozostało po szkole Lewandowskiego? W refektarzu klasztornym wiszą na długich gotyckich oknach firanki z haftem wykonanym przez Helenę, na korytarzu klasztoru lamperia z wzorów haftu. Paweł Lewandowski wymalował wzory haftu na ruchomych ścianach kaplicy w Kamienicy Szlacheckiej w domu Konrada Szulfra oraz wystrój wnętrze kościółka NMP we Wrzeszczu. Obok tych wymiennych dokonań, najważniejszy jest fakt, że przyczynił się, obok Gulgowskich i Majkowskiej do rozpowszechnienia zanikającego już haftu kaszubskiego. Dziś znajdujemy go w kościołach, na ścianach klasztorów, urzędów, nawet w gościńcach i w domach prywatnych, na wyrobach fabrycznych. Motywy zdobnicze haftu kaszubskiego wkroczyły również z powrotem na Pomorze Szczecińskie. Że kiedyś były one tam używane, stwierdza etnograf niemiecki Miller w monografii „Das Weizackerland” (Ziemia Pyrzycka) wyd. 1938. Opisuje w niej domy z podcieniami, sprzęty domowe, ale co najważniejsze, mówi o skrzyniach posażnych z motywami kaszubskimi.

Kursy haftu Gulgowskiej, Majkowskiej i Lewandowskiego nazwałem szkołą, rozumiejąc przez to zorganizowaną instytucję nauczania. Nazwa Szkoła Żukowska, Pucka itp. dziś używana określa stylizację, dobór wzorów, koloru itp. Jestem laikiem, więc nie mogę orzekać, czy hafty tych szkół są sztuką ludową. Już kiedyś były ostre spory na temat autentyczności sztuki ludowej propagowanej przez Lewandowskich i Gulgowską. Wysuwano zarzut, np. nauczyciel Alfons Bastian, że jest przestylizowana. Ale obecnie niektóre hafty i rysunki są tak uduchowione, że można zadać pytanie, czy hafty poszczególnych szkół są ludowe? Może warto podyskutować na temat autentyczności haftu kaszubskiego, nim ulegnie zwyrodnieniu.

Zwracam się z prośbą do byłych kursantek haftu, jeśli rozpoznają siebie na załączonym zdjęciu, aby napisały do „Pomeranii” względnie do mnie o swoim udziale w kursach i swój sąd o nich. Chciałem także poznać Wasz drobny udział w rozpowszechnianiu kaszubskiej sztuki zdobniczej.

Zrzeszenie w Pucku

Rozmowa z Pawłem Tarnowskim

Od kilku lat prezesem Oddziału Puckiego ZK-P jest Paweł Tarnowski. W Zrzeszeniu jest od zarania naszej organizacji w tym mieście.

Tarnowski urodził się w 1914 roku w Gdańsku. Był nauczycielem w Gimnazjum Macierzy Szkolnej, poszukiwanym z chwilą wybuchu wojny przez Niemców. W związku z tym, iż mieszkał dosłownie naprzeciwko gmachu Poczty Polskiej Niemcy sugerują rodzinie, że Tarnowski brał udział w jej obronie. Rodzina rozmyślnie rozpoznaje go wśród zmasakrowanych zwłok obrońców. On sam ukrywa się. Gdy Niemcy zaprzestają natychmiastowego rozstrzelania i mordowania każdego polskiego działacza, a ujawnienie się grozi jedynie obozem koncentracyjnym lub wysyłką na roboty — zgłasza swoje istnienie. Wysłany zostaje na roboty do Tyrolu. Tu zostaje oswobodzony przez alianców, tu krótko pracuje w szkole UNR-owskiej. W 1946 roku powraca do kraju, a konkretnie do Pucka. Zostaje nauczycielem w Szkole Podstawowej, później jest przez kilka lat wicedyrektorem Liceum Ogólnokształcącego, a w latach 1956-61 dyrektorem (bez pełnej nominacji) liceum dla wojskowych na Helu.

Panie Pawle, od lat w Pucku — tak się wydaje — działacie w grupie, wspólnie, bardzo zgodnie. Czy rzeczywiście tak jest?

Tak. Rzeczywiście tak jest. Powiem uczciwie, że kiedy odszedł prezes Stanisław Cygiert, byłem wiceprezesem i z konieczności niejako przejąłem ster — jak uzgodniono — do wyborów. Gdy podczas wyborów chciano, abym dalej ciągnął... wyraziłem obawę o podłożenie obowiązkom. Koledzy orzekli — nie masz się o co martwić, przecież my dalej będziemy z tobą. I rzeczywiście... nie zawiodłem się.

Nawiasem mówiąc, doktor Cygiert został niejako zmuszony do wyjazdu za granicę. Dla wielu praca za granicą to marzenie. Marzeniem dra Cygierta zawsze była praca na Kaszubach, a nie Afryka. Ten dobry lekarz weterynarii, niejako w nagrodę za doktryzowanie i za nieprzeciętną indywidualność, był otwarcie praktykującym katolikiem, działał niepokornie w ruchu kaszubskim — podczas reformy administracyjnej zostaje odstawiony. Bo jakże inaczej traktować rzecz; długoletni główny lekarz powiatowej weterynarii nie znajduje pracy na miejscu w Pucku, gdzie przybył zaraz po studiach. Oczywiście, że stara się o wyjazd do krajów anglojęzycznych. Zostaje naczelnym weterynarzem w Nigrze. Jestem pewien, że ten wyjazd to znak protestu na samowładztwo ówczesnych miejscowych władz. I także znak niepoddania się temu samowładztwu...

Powracając do Zrzeszenia w Pucku... żeby być zupełnie szczerym, jeszcze dzisiaj nie zawsze uprzytamiam sobie, że jestem tym prezesem, tyle spraw zalegają bowiem koledzy, zupełnie samodzielnie. Praca jest bardzo rozłożona.

— Czy za tym niemal programowym czynieniem wszystkiego zespołowo kryje się mniemanie, że łatwiej uniknąć ataków często nieprzychylniej władzy?

— Nie. W każdym razie od kilku lat nie. W bezpośrednich kontaktach z władzą, chociaż zawsze rozmawialiśmy grupowo — odważnie prezentowaliśmy swoje indywidualne stanowisko.

Czas bym wyjął nazwiska naszych działaczy, może nie wszystkie nazwiska są Panu znane. Obok Władysława Torlińskiego i Romualda Łukowicza wymienić wprost należy Otylię Grabowską, Bolesława Leszkowskiego (również przez pewien czas pozbawiony pracy w Pucku) a także Norberta Cierpiłowskiego, Zbigniewa Leczkowskiego i Ewę Leczkowską, Brygidę Hochsultz i Wandę Torlińską.

— Działacie zgodnie. Czy jednak nie za mało?

— Nie wydaje mi się. Oddział nasz zrzesza 154 członków. Są wśród nich promienni na dyrektorskich stanowiskach, inspektorzy, naczelnicy. Do nich nabraliśmy dużej rezerwy, gdyż ich bałkcył społeczny okazywał się powierchowy. Zbyt często, po awansie do Gdańska — ludzie ci zapominali o sprawie kaszubskiej. Los Wilandta i Elkiego najlepiej ilustruje to. To sami inspektorzy szkolni. Sami się nie włączają. Przesłaliśmy więc nakłaniać i prosić, gdyż okazywana nam pomoc z „urzędu” była zenująca.

— Dlaczego?

— Zrzeszenie było zawsze troszeczkę na cenzurowanym. Poza tym negatywna eliminacja ludzi w karierach powiatowych dawała znać o sobie. Może i pewne doświadczenie. Był okres, że zdejmowano ze stanowisk (np. przewodniczącego PPRN Stańkowskiego) dlatego, że miał za duże uznanie społeczne. Afiszowanie się współpracą ze Zrzeszeniem nie jest znanadto mile widziane.

— A środowisko rybackie?

— Jest ich u nas w Pucku niewielu. W okresie letnim wyjeżdżają na długotrwałe połowy, na Zalew Wiślany. Są to rybacy łódkowi. Nawiązanie z nimi kontaktu jest bardzo trudne.

— Spośród wspomnianych 154 członków w imprezach waszych bierze udział 30-40 osób?

— No, niekiedy i 50-ciu. Ostatnio ponad 60-ciu.

— Przed laty chcieliście postawić wielki pomnik Abrahama. Doktor Cygiert powiedział, że wcześniej czy później pomnik Antoniego Abrahama stanie w Pucku, wbrew takim czy innym oporom.

— Taka jest nasza wola. I obstawiamy przy tym. Ale w tej chwili z uwagi na trudności gospodarcze — wstrzymujemy jeszcze konkretne poczynania. Abrahamowi pomnik się należy i będzie go miał.

— Co uznaje Pan za najważniejsze w waszym dorobku?

— Myślę, że działalność wydawnicza. Wydaliśmy dwie teczki haftów kaszubskich. W drukarni mamy gawędy Augustyna Dominiaka z Krokowej przygotowane przez Jana Drzeżdżona oraz prozę Józefa Ceynowy. Najwięcej przy naszych wydawnictwach pracuje Romuald Łukowicz.

Podstawową coroczną naszą imprezą jest Dzień Matki. 26 maja zawsze gościmy 150 najstarszych matek z Pucka. Dobrze działa nasz „Mikołajek nadmorski” czyli klub hafciarek. Zrzesza hafciarki z całych północnych Kaszub.

Organizujemy też co roku wiele imprez i w większym gronie uczestniczymy w poważniejszych imprezach kaszubskich organizowanych przez innych.

— A mankamenty?

— Największym jest brak dostatecznie częstych kontaktów z wszystkimi członkami. Nie jestem z tego zadowolony, że spotykamy się w zasadzie na ogólnym zebraniu raz w roku. Musimy to robić częściej. Chcemy także stworzyć nasz pucki biuletyn. Zdecydowaliśmy o jego wydawaniu co kwartał. Będzie rozsyłany do wszystkich naszych członków.

— Czy członkowie Oddziału Puckiego czytają „Pomeranie”?

— Mogę być zupełnie szczerzy?! „Pomerania” jest dla wielu zbyt trudna. Dlatego niejednokrotnie postulowaliśmy i wciąż powracać będziemy do tego, aby

obok „Pomeranii” wydawany był reaktywowany tygodnik „Kaszëbë”. Niemniej propagujemy „Pomeranië” i bardzo nas cieszy, że nasze pismo będzie sprzedawane w kioskach.

— Proszę jeszcze o kilka informacji o bieżącej działalności.

— Włączamy się do uroczystości „Zapisu Mestwina” i 100-lecie Ceynowy. Uczestniczymy razem z Władysławem w centralnych uroczystościach w Przysiorsku i w Bukowcu, nie mówiąc o pobliskim Sławoszynie. Z Oddziałem Władysławowskim rozpoczęliśmy stałą współpracę. 19 stycznia spotkały się nasze zarządy. 22 lutego mieliśmy zebranie ogólne, na którym prelekcję wygłosił Brunon Richert. Chcemy pomagać w organizacji zlotu „Kaszëbscië bôtë pod zóglamë”. Koordynatorem tych działań jest kolega Józef Budzisz. Władysławowo natomiast weźmie udział w Jarmarku Folklorystycznym w Pucku.

Chciałbym przypomnieć, że co roku 23 czerwca składamy wianek kwiatów na grobie Abrahama na Oksywiu.

— Wydaje mi się, że macie bardzo słabe kontakty z młodzieżą.

— Przy Zespole Szkół Zawodowych istnieje Koło Regionalne. Jego członkowie interesują się folklorem i sztuką ludową Kaszub. Koło działa dobrze.

Nie mamy natomiast koncepcji co do współpracy z młodzieżą pozaszkolną. Nie wiemy co zrobić. Sami absolwenci różnych szkół, którzy wracają do Pucka — jakby nie mieli dostatecznej ilicy społecznikowskiej. Chcemy otoczyć opieką młodzież w Krokowej.

— Co z odnową w Pucku?

— U nas zbyt wyraźnie nowego nie widać. Może dlatego, że Puck staje się tylko sypialnią. Większość mieszkańców pracuje poza miastem. Myślę, że w świadomości mieszkańców następują jednak ważne zmiany, co wcześniej czy później zaowocuje także w rozszerzeniu działania puckiego Zrzeszenia. Czekam na te



Działacze Oddziału Puckiego (od lewej): Romuald Lukowicz, drugiej osoby nie rozpoznaliśmy, dalej: Paweł Tarnowski, Władysław Torliński, Stanisław Cygert i Bolesław Leszkowski. Zdjęcie sprzed kilku lat. Fot. Alfons Klejna

zmiany, gdyż przez lata działło się nie najlepiej. Stosunki międzyludzkie pogarszały się. Ludzie bywali zabiegani w zdobywaniu kolejnych dóbr materialnych. Wydawało się niekiedy, że nie mają czasu na myślenie, na zastanowienie się nad sensem życia.

— Co chciałby pan jeszcze przekazać?

— Zapraszam wszystkich zainteresowanych, wszystkich mieszkańców Pucka i okolic. Mamy stałe terminy spotkań w naszym lokalu. Spotykamy się w każdy piątek po 1 i po 15-tym każdego miesiąca.

Dbać będziemy, aby nasze starania o sprawy kaszubskie nabrały dodatkowych rumieńców.

Rozmawiał: Wojciech Kiedrowski

Kartuskie jeziora Nadzieje



Kartuskie jeziora

Wodociąg z Kartuskiego jeziora

Jakie są możliwości przywrócenia kartuskim jeziorom ich walorów rekreacyjnych oraz jakie są perspektywy przywrócenia miastu tradycyjnych terenów na wypoczynek? Tematy te, które w istocie mieszczą się w pytaniu: kiedy do jezior kartuskich przestaną wpływać ścieki? — były przedmiotem roboczego spotkania w dniu 27 marca w Kartuzach.

Obok gospodarzy — Urzędu Miasta i Gminy obecni byli przedstawiciele Gdańskiego Przedz. Robót Inżynierskich, Okręgowego Przedz. Wodociągów i Kanalizacji, Wydziału Ochrony Środowiska UW w Gdańsku, Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska przy UW, Woj. Zarządu Inwestycji Rolnych, Biura Projektów Budownictwa Wodno-Melioracyjnego.

Woj. Zjedn. Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Spotkanie zorganizowano z inicjatywy ZG Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Kartuskiego Klubu Ekologicznego przy ZK-P.

Oto co ustalono:

1. Bardzo ważny, od dłuższego czasu realizowany, I etap prac w wyniku którego jeziora zostaną odciążone 60 proc. ścieków ma być ukończony w bieżącym roku. Taka jest decyzja wicewojewody z 19 lutego br. Wykonawcy mają jednak jak zwykle trudności: brak mocy przerobowych, niepełne rozeznanie geologiczne terenu.

2. Do końca przyszłego roku ma być opracowana dokumentacja na prace II etapu, tj. odcięcie od jezior pozostałych 40 proc. ścieków, tzw. lewobrzeżnych. Przystąpienie do realizacji tego projektu w 1983 r.

3. Z uwagi na niebezpieczne podniesienie poziomu wód w jeziorach w ostatnich latach (zagrożona przyroda, drzewostan Gaju Świętopelka, okoliczne zabytkowe budynki) WZIR jeszcze w b. roku podejmie prace nad wyrównaniem poziomu wód w jeziorach.

4. Do końca kwietnia przyszłego roku OBiKS przy UW opracuje program rekultywacji jezior (a pół roku później projekt techniczny).

5. WZGKiM do końca maja br. opracuje program rzeczowo-finansowy szczegółowych potrzeb kartuskiej kanalizacji i zabezpieczy środki finansowe na jego realizację.

Dziwi, że dotąd brak takiego opracowania.

Jest oczywiste, że jeziora kartuskie padły ofiarą braku mądrości gospodarzy — tych na miejscu i wyżej, ogólnej n'emocy, skutecznych zasad profilaktyki w zakresie ochrony środowiska. Nie dostrzeganie granic odporności środowiska naturalnego doprowadziło do tragedii ekologicznej, także odebranie miejskiej władzy wpływu na niezbędne inwestycje miało swój wpływ. Stąd jest tak jak jest. Miasto w ogóle nie jest przygotowane na realizację takiej inwestycji, jaką jest budowa oczyszczalni mechaniczno-biologicznej. Kartuzi posiadają głównie kanalizację zbiorczą, łączącą ścieki burzowe z sanitarnymi. Bywają posesje podłączone do kanalizacji burzowej, z której zanieczyszczenia uchodzą drenażem do jezior. W najstarszych rejonach miasta istnieją też jeszcze trudno wykrywalne przewody drewniane. Jeśli by więc I etap prac został zakończony w tym roku, jak przy takim stanie kanalizacji miejskiej będzie wyglądało oddzielenie ścieków burzowych od sanitarnych, aby wysyłać do oczyszczalni tylko te ostatnie? Dotąd inwestorzy odsuwali rozwiązanie problemu tzw. burówki w daleką przyszłość, w związku z czym dziś budowa oczyszczalni biologicznej w Kartuzach jawi się jako inwestycja bez podstaw. Ścieki burzowe nie mogą być kierowane do oczyszczania biologicznego, nie mogą też uchodzić do jezior, jeśli poważnie myśleć o ich rekultywacji. Potrzebna jest osobna, mała oczyszczalnia ścieków burzowych, ale w pierw — szczegółowy projekt uporządkowania kanalizacji w samym mieście. Jeśli takiego szybko nie będzie, można

już snuć na zmianę dwie wizje — wizję na długo rozornego miasta, albo wizję wciąż niesprawnej oczyszczalni.

Od 1983 r. ma rozpocząć się rekultywacja wód Jeziora Klasztornego Dużego, ostatniego w ciągu jezior. Wiąca nawet przy usilnych zabiegach rekultywacyjnych jezioro to narażone jest na skażenie wtórne wodami z jezior pozostałych. Te bowiem, w niepomiernie większym stopniu zanieczyszczone, czekać będą nie tylko na rekultywację, ale przede wszystkim — na odcięcie od nich reszty ścieków. W badaniach, które przypominę, mają być ukończone w 1982 r., przewiduje się określenie wpływu zanieczyszczeń innych niż ścieki skanalizowane na stan wody w jeziorach — głównie wpływu wód Jeziora Mielonko (leżącego w obrębie zabudowań domków jednorodzinnych) i Jeziora Czarnego (aktualnego wysypiska miejskich śmieci i miejsca zrzutów ścieków z Fabryki Pomocy Naukowych).

Do J. Klasztornego Małego, całkowicie martwego, spływać będą ścieki prawobrzeżne — ze szpitala, którego własną oczyszczalnię uznano za wystarczającą, choć od wielu lat jest ona niesprawna, a co najmniej jeszcze w ciągu bieżącej pięcioletki — ścieki lewobrzeżne (łącznie ze ściekami z zamrażalni).

Idzie wiosna, mieszkańcy znad Jeziora Klasztornego Małego już narzekają na budzący się fetor. Cała więc nadzieja w jakimś genialnym pomysle na rekultywację, choć i tu istnieją wątpliwości, w jakim stopniu podjęte w tym zakresie działania będą adekwatne do rzeczywistych potrzeb kartuskich jezior. Oto wyciąg z Projektu Planu Inwestycyjnego w zakresie gospodarki wodnej i ochrony środowiska na rok 1981: „Planowane w b. roku oddanie do eksploatacji oczyszczalni mech.-biologicznej w Kartuzach stworzy warunki do:

— odprowadzenia z Kartuz do zlewni Raduni wód oczyszczonych;

— przeprowadzenia rekultywacji jezior kartuskich — Dużego i Małego Klasztornego oraz Karczemnego i stopniowe udostępnianie ich do kąpiel i sportów wodnych”. Jest to myślenie magiczne. Prowadzi do uśpienia „ekologicznego sumienia” przedsiębiorstw i instytucji, od których w największym stopniu zależy zaawansowanie prac nad likwidacją zagrożeń środowiska naturalnego Kartuz.

BARBARA PISAREK

Kolorowy Bojko

(Dokończenie ze str. 4)

— Pamiętam, że wygłaszając kiedyś referat gdzieś w Stanach Zjednoczonych powołałem się na przykład Kaszubów. Właśnie z podróży po tym olbrzymim kraju wyniosłem przekonanie, iż w wielkiej biedzie jest kraj wewnętrznie niezróżnicowany. Istnieją wtedy wielkie niebezpieczeństwa szowinizmów, nietolerancji itp.

Lecz chciałbym jeszcze wspomnieć komandora Grzenie — Romanowskiego. Bernarda Szczęsnego też wówczas poznałem. Idea wydania „Bedekera Kaszubskiego” już wówczas, pomnę, narodziła się. Pośredniczyłem wówczas w rozmowach z wydawcą na temat potrzeby jego wydania. Mój udział był żaden, trzeba było pomóc, więc się pomogło. I tak trwało to aż do plenum KW, na którym wychyliłem się może nadto, ścierając się w polemice słownej z ówczesnym prominentem. Może rzeczywiście nie byłem nazbyt parlamentarny i musiałem wyjechać z Gdańska; stałem się persona non grata. Zresztą cała nasza grupa wróciła wtedy do stolicy. Epilogiem był artykuł w „Nowych Drogiach”, w którym pisałem o odrodzeniu się ruchu regionalnego, symptomie demokratyzacji życia (jeździłem także do Puszczy Zielonej, poznałem wsie podkrakowskie), jako alter natywie centralizmu.

— Co było potem?

— W jakiś rok później, gdy pracowałem w Wydziale Kultury KC, zamówiłem się na rozmowę z Kliszką. Był wówczas sekretarzem KC, członkiem Biura, posłem ziemi gdań-

skiej. Oschły dogmatyk, nieprzystępny. Nie wiedziałem na dobrą sprawę po co idę do niego. W dodatku onieśmielił mnie zbytnią pewnością siebie. Nie było w nim niczego co by zachęcało do tej rozmowy. Zaczęłem mówić, że byłem w takim zespole, z takimi ludźmi się zetknąłem, że jestem pod wrażeniem czystości intencji tych ludzi, ich patriotyzmu, niekwestionowanego przywiązania i że teraz należałoby pójść o krok dalej i dopuścić tych ludzi do głosu; dzisiaj to nazywamy partnerstwem, może użyłem słowa dialog, też chyba nie, każda epoka ma swoje hasła...

— ...znaki słowne.

— Sygnaly, słowa-klucze. Gdy to wszystko powiedziałem, zaraz się przeraziłem. Kliszko spojrział na mnie zimnymi, lodowatymi oczami. Coś odpowiedział wtedy, nie bardzo pamiętam co.

— A czy do Cepelii po latach zmienił pan swój stosunek?

— Naraziłem się wiceprezes Zofii Szydłowskiej swoimi sądami, z którymi zresztą nie kryłem się. Może nazbyt to było z mojej strony uogólnione, bo przecież niszcząc niejednokrotnie rękodzieło jednak dawała Cepelia ludziom zarobek. Co zaś samego regionalizmu się tyczy... Teraz po latach, po licznych podróżach po świecie, gdzie tak bardzo podtrzymuje się, kultywuje lokalne tradycje (St. Zjednoczone, Kanada) wiem, że regionalizm nie tylko nie jest czymś podejrzanym dla całości państwa, ale odwrotnie: dzieje się tak jakby na pięknym dywanie wykwitły jeszcze bajkowe wzory. A że w ogóle widzi mi się Polska jako wielkie zrzeszenie wytwórców dóbr materialnych czy duchowych, to i ruch regionalny kaszubski wpisuje mi się w taką właśnie mapę zrzeszeń.

Ryszard Ciemiński

Wieloletnie starania o utworzenie oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Słupsku zakończyły się powodzeniem. Jak zapewne Czytelnikom „Pomeranii” wiadomo, już w 1976 r. grupa członków naszej organizacji zamieszkałych w Słupsku postanowiła utworzyć oddział w Słupsku. Natrafiło to jednak na sprzeciw miejscowych władz, które nie wyraziły zgody na rejestrację Zrzeszenia w tym województwie. Dopiero w roku bieżącym, w zmienionej już sytuacji społeczno-politycznej, takie starania nie natrafiły na przeszkodę. Znalazła się dość liczna grupa zainteresowanych działaniem w Zrzeszeniu. Oni to doprowadzili do powstania oddziału ZK-P.

Zebrań organizacyjnych odbyło się 25 marca br. z udziałem 40 osób, deklarujących pracę społeczną w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim. W zebraniu uczestniczył przedstawiciel Prezydium ZG, kol. Tadeusz Gleinert. Dokonano wyboru pierwszych władz. Prezensem został Zbigniew Talewski, a wiceprezami Roman Niklas i Leszek Mąka. Przewodniczącym komisji rewizyjnej Tadeusz Bądkowski.

W czasie zebrania przedyskutowano program działania na okres pierwszej kadencji, przygotowany przez zespół za łoycielski pod kierownictwem Zbigniewa Talewskiego. W trakcie dyskusji rozszerzono i skonkretyzowano niektóre zamierzenia.

Zamierzenia słupskiego oddziału są bardzo ambitne. Z tego względu, że obejmuje swą działalnością teren całego województwa (bez Lęborka, gdzie działa już nasz oddział), proponuje się powołanie klubów terenowych, zwłaszcza na terenie gmin: Lipnica, Czarna Dąbrówka, Borzytuchom, Koleczysłowy, Tuchomie, Parchowo, Studzienice oraz w Bytowie. Z czasem, tam gdzie zaistnieją takie możliwości, kluby te zapewne przekształcą się w samodzielne oddziały.

Zamierza się powołać klub młodej inteligencji kaszubskiej „Pomorania” w WSP oraz kluby miłośników regionu w szkołach. Oddział pragnie przy współpracy organizacji i placówek państwowych rozwinąć szeroką akcję upowszechnienia w Słupskim kultury i sztuki kaszubsko-pomorskiej, m.in. poprzez organizację imprez folklorystycznych, plenerów plastycznych itp. Konkretyzacją tego stanowi w części projekt zorganizowania dorocznego spotkań na terenie wsi Jasień. Do programu wpisano również wspomaganie działalności kaszubskiego zespołu regionalnego „Jasień”, skansenu w Klukach, Muzeum Szkolnictwa Polskiego w Płotowie. Na uwagę zasługuje inicjatywa organizowania wspólnie z GOK w Lipnicy, cyklicznego konkursu literackiego im. dr. Józefa Bruskiego, połączonego z przeglądem zespołów artystycznych.

Z innych spraw czekających na podjęcie, to działania zmierzające do upamiętnienia osób szczególnie zasłużonych dla regionu w postaci tablic, popiersi, nadaniu ulicom nazw, itp.

W pierwszym rzędzie oddział włączy się w przygotowania do odsłonięcia

tablicy pamiątkowej ku czci Józefa Słomińskiego w Lipnicy. Na objęcie opieki czeka wiele miejsc walki męczeństwa. O tym również mówiono w dyskusji.

Ze względu na to, że wśród członków oddziału jest dość liczna grupa przewodników PTTK, ciekawie zapowiada się działalność w zakresie turystyki. Dużo miejsca w dyskusji zajęła sprawa dotarcia z problematyką kaszubsko-pomorską do środowisk młodzieży. Powołanie wspomnianego już klubu „Pomorania” skupiającego studentów i młodszych pracowników nauki WSP oraz podjęcie starań o rozszerzenie programu dydaktycznego szkół o wybrane zagadnienia z historii i tradycji oraz kultury regionu, stanowić może pierwszy krok w tej materii.

Postulowano wydawanie własnego biuletynu informacyjnego oraz podjęcie starań o wydawanie teczki haftu szkolny słowińskiej.

Realizacja przedstawionych w skrócie zamierzeń ma przyczynić się, jak czytamy w uchwale, do:

- integracji społeczeństwa województwa poprzez udział w tworzeniu nowych wartości kulturalnych i społecznych,

- wykorzystania pełni społecznych i zawodowych osiągnięć mieszkańców województwa wywodzących się z kaszubsko-pomorskiego regionu Polski, zarówno rdzennych Kaszubów i Pomorzaków, jak i osiedleńców identyfikujących się z dorobkiem i tradycjami tego regionu,

- stworzenia odpowiednich warunków do szerzenia w społeczeństwie woj. słupskiego znajomości kultury, historii i patriotycznej tradycji regionu,

- upowszechnienia działalności Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego na terenie całego województwa.

Godzi się życzyć naszym kolegom ze Słupska realizacji ambitnych zamierzeń. Redakcja będzie z zainteresowaniem śledzić poczynania słupskiego oddziału, zachęcając jednocześnie do ścisłej współpracy z naszym pismem. (T.G.)

Z PRAC
KOMISJI DO SPRAW OŚWIATY

W dniu 26 marca 1981 r. w Ratuszu Staromiejskim odbyło się pierwsze posiedzenie plenarne Komisji do

Spraw Oświaty, powołanej przez Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Na spotkanie przybyli Zofia Kamińska, mgr Jadwiga Kiedrowska, doc. dr Jerzy Szukalski, dr Ryszard Karwacki, dr Jerzy Knyba i doc. dr hab. Edward Breza; ten ostatni przewodniczył także obradom.

Zebrani uznali za pilne rozmowy z kuratorami województw, na terenie których działają terenowe koła Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, mające na celu wprowadzenie tematyki regionalnej kaszubsko-pomorskiej szeroko rozumianej (literatura, gwary, historia, geografia, biologia, muzyka) do programów szkolnych. Następnym zadaniem byłoby napisanie odpowiedniego podręcznika wiedzy o regionie bądź też odpowiednich wkładek do podręczników ogólnopolskich, wreszcie problem ostatni — to odpowiednie przygotowanie nauczycieli do realizacji tej tematyki.

E.B.

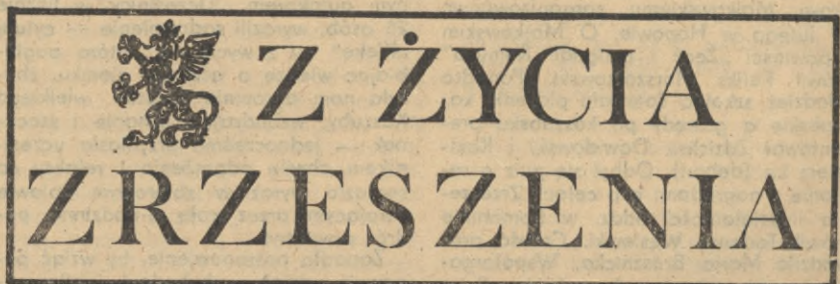
REGULAMIN III KONKURSU

Organizatorzy, Wojewódzki Ośrodek Kultury w Gdańsku i Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, zapraszają do wzięcia udziału w konkursie na piosenkę z tekstem kaszubskim oraz kociewskim.

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie nie publikowanych tekstów piosenek o dowolnej tematyce w trzech egzemplarzach wraz z nutami (głos na fortepian lub prymkę) w jednym egzemplarzu; wskazane jest nadesłanie piosenek nagranych na taśmę magnetofonową (po zakończeniu konkursu taśmy zostaną odesłane autorom). Ilość nadesłanych prac jednego autora nie jest ograniczona, wyklucza się tłumaczenie tekstów polskich na gwary kaszubską lub kociewską.

Prace opatrzone godtem należy nadesłać do dnia 30 sierpnia 1981 r. na adres: Wojewódzki Ośrodek Kultury, ul. Korzenna 33/35, 80-951 Gdańsk z dopiskiem „Konkurs na piosenkę”.

Za najlepsze prace przyznane zostaną nagrody (łącznie dla autora tekstu i muzyki) od 10 000 zł (I nagroda) do 2000 zł (wyróżnienia). Do pracy należy dołączyć zalakowaną kopertę zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres oraz godło autora. O terminie rozstrzygnięcia konkursu i rozdania nagród autorzy zostaną powiadomieni; nadesłane prace nie podlegają zwrotowi. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo druku w specjalnym zbiorze, a jury prawo innego podziału nagród.



NASZ GŁOS W SPRAWIE PROJEKTU USTAWY O SAMORZĄDZIE ROLNICZYM

Prezydium Zarządu Głównego ZK-P na swym posiedzeniu w dniu 9 kwietnia ustosunkowało się do projektu ustawy o samorządzie rolniczym pismem jak niżej:

Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Obywatel Marszałek do wiadomości Obywateli Posłów

Jako organizacja społeczna działająca na terenie całego Pomorza czujemy się zobowiązani do zajęcia stanowiska w sprawie projektu ustawy o samorządzie rolniczym, który Prezydium Sejmu przedłożyło do społecznej konsultacji. Projekt ten w społecznym odczuciu miał stanowić poważny krok na drodze uznania istoty żądań chłopskich, to jest uznania ich pełnoprawności obywatelskiej w Polsce Ludowej.

Stoimy na stanowisku, że uzdrowienie polskiego rolnictwa, niezbędne oparcie go na zdrowych ekonomicznie i społecznie gospodarstwach rodzinnych, jest możliwe po zaakceptowaniu, drogą ustawodawczą i poprzez praktykę, podstawowych żądań rolników indywidualnych. A mianowicie:

- równouprawnienie ekonomiczne różnych sektorów w rolnictwie;
- prawo tworzenia niezależnej reprezentacji zawodowej;
- pełny dostęp do oświaty i kultury.

Stwierdzamy, że te podstawowe sprawy nie znajdują miejsca w projekcie ustawy o samorządzie rolniczym. Wręcz przeciwnie, zauważamy, iż chaotyczne i sprzeczne w szczegółach artykuły prawne (niezrozumiałe dla większości rolników) utrwalają w miejsce reprezentacji rolników — reprezentację biurokracji wiejskiej i członków różnych zrzeszeń rolniczych, których interesy są różne od interesu gospodarstw indywidualnych.

Jesteśmy głęboko przekonani, że naród nie będzie dobrze żywny i że nie da się osiągnąć pełnego pokoju społecznego bez uszanowania woli i prawa rolników. Prawo to winno się przejawiać już w fazie rodzenia się ustawy w postaci wzięcia pod uwagę opinii chłopów, także w przedstawianym Wysokiemu Sejmowi i narodowi projekcie ustawy. Z tego powodu wnosimy o odwołanie projektu przedstawionego i przygotowanie nowego, opartego na przejrzyście sformułowanych przesłankach. Wydaje nam się, że takie warunki spełnia projekt prezydium OKZ NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych.

Powyższe stwierdzenia są uchwałą Prezydium Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego z dnia 8. 04.1981 r. Prosimy Wysoką Izbę o przyjęcie naszego stanowiska, zrodzonego z głębokiej troski o wieś pomorską.

Za prezydium Zarządu Głównego

(Wojciech Kiedrowski — wiceprezes)
(Izabella Trojanowska — prezes)
(Zygmunt Stenka — sekretarz)

Do wiadomości: Posłowie gdańscy

DALSZE SOMONIŃSKIE KLEKI

Zarząd Oddziału Zrzeszenia w Somoninie utrzymuje dość regularne pisemne kontakty ze swoimi członkami. W powielanej „Klece” nr 4 (wnoszę o dodatkowe pisanie daty wydania) znajduje się pełna informacja o „wieczorze kaszubskim” poświęconym Aleksandrowi Majkowskiemu zorganizowanym 22 lutego w Hopowie. O Majkowskim i powieści „Żecé i przigodé Remusa” mówił Feliks Marszałkowski. Ponadto młodzież szkolna śpiewała piosenki kaszubskie a gawędy po kaszubsku prezentował Zdzisław Dawidowski i Kazimierz Lis (debiut). Odbył się quiz o regionie z nagrodami a o celach Zrzeszenia i działalności oddz. w Somoninie mówił Tadeusz Węsierski. Całość prowadziła Maria Brusznicka. Współorganizatorami „wieczoru kaszubskiego”, w którym wzięło udział ponad 70 osób,

obok Zrzeszenia był GOKSiR w Somoninie i OSP w Hopowie.

Kolejna „Kleka” (nr 5) informuje o udziale Somonina w uroczystościach w Bukowcu i w Przysiersku, dokąd — jak już informowaliśmy — członkowie Zrzeszenia z Somonina przyjechali specjalnym autokarem. „Uczestnicy, w liczbie 25 osób, wyrazili zadowolenie — cytując „Klekę” — z wycieczki, która pogłębiając wiedzę o uczonej ziemi, zbliżyła nam ogromnie postać wielkiego Kaszuby, wzbudzając uznanie i szacunek — jednocześnie przyniosła uczestnikom chwilę odpoczynku i relaksu co znalazło wyraz w zbiorowym śpiewie trwającym przez całą 3-godziną podróż powrotną.

Zapadło postanowienie, by wziąć ponownie udział w obchodach jubileuszowych w Sławoszynie, w m-cu maju br.”

AUKCJA NA RZECZ ODBUDOWY SIEDZIBY ZRZESZENIA

Klub Siedmiu Kolorów działający przy Zrzeszeniu Kaszubsko - Pomorskim w Gdańsku rozumiejąc potrzebę zgromadzenia funduszy na rekonstrukcję kamieniczek przy ul. Straganiarskiej przeznaczonych na siedzibę Zrzeszenia, występuje z inicjatywą zorganizowania aukcji wyrobów sztuki ludowej naszego regionu.

Każdy z członków Klubu Siedmiu Kolorów zobowiązał się przeznaczyć na ten cel pracę (haft) wartości przynajmniej 500 zł. Równocześnie klub zwraca się do oddziałów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego oraz do twórców ludowych o aktywne poparcie tej inicjatywy.

Oprócz haftów chętnie widziane będą inne wyroby sztuki ludowej jak: rzeźba, malarstwo na szkle, plecionkarstwo, ceramika, wyroby z drzewa i żelaza oraz inne. Poza pracami darowanymi na ten cel — na aukcję będą przyjmowane także prace, za które autorzy otrzymają wynagrodzenie zgodne z wyceną komisji działającej przy Zrzeszeniu. Różnica między ceną komisji a ceną uzyskaną na aukcji przeznaczona będzie również na odbudowę kamieniczek.

Proponuje się zorganizować aukcję w czasie Jarmarku Dominikańskiego. Zgłoszenia należy kierować pod adres: Zrzeszenie Kaszubsko - Pomorskie w Gdańsku ul. Szewska 1/4 lub do macie rzystych oddziałów do dnia 30 czerwca 1981 r. Członkowie Klubu Siedmiu Kolorów liczą na poparcie tej szlachetnej akcji i szeroki udział wszystkich kaszubskich twórców ludowych.

Za Zarząd Klubu
Z. Kotarska

ODPRAWA SKARBNIKÓW I SEKRETARZY ODDZIAŁÓW ZRZESZENIA

Staraniem Prezydium odbyło się 4 kwietnia spotkanie skarbników i sekretarzy oddziałów ZK-P. Obecni byli przedstawiciele oddziałów z: Żukowa, Kartuz, Chojnic, Gdyni, Gdańska, Stęży cy, Dębogórze, Chmielna, Pucka, Somonina, Kościerzyny, Koszalina, Nowej Karczmy, Lęborka oraz Słupska. Zdziwienie budziła nieobecność Władysława, Czerska, Karsina.

Spotkanie zainaugurowane zostało wystąpieniem prezesa ZG — Izabelli Trojanowskiej, a głównymi referentami byli sekretarze ZG — Zygmunt Stenka i skarbnik ZG — Jerzy Kiedrowski. Dyskusja wykazała, że dobre imię Zrzeszenia w społeczeństwie jest wynikiem dorobku wszystkich oddziałów, także tych matych. I tym matym lub niedawno powstałym należąca jest szczególna pomoc Prezydium ZG. Wydaje się, że narada skarbników i sekretarzy spełniła swoje zadanie. Jest to niezbędny, uzupełniający kanał kontaktów między Gdańskiem a terenem. Prezesi oddziałów, którzy uczestniczą w posiedzeniach plenarnych Zarządu Głównego nie zawsze dostatecznie jasno przekazują w swoich oddziałach przyjęte ustalenia. (wk)

Bądkowski prawi ostro



Fot. A. Klejno

W „Czasie” (nr 13 z 29 marca) ukazał się obszerny zapis rozmowy, którą przeprowadził z Lechem Bądkowskim redaktor Tadeusz Bolduan. Tygodnik „Czas” już przez dłuższy okres należy do najambitniejszych pism polskich. Może dlatego nakład jego został ograniczony. Jest wyjątkowo trudno osiągalny. Stąd drukujemy mały fragment tej interesującej rozmowy.

— Pisałeś wtedy (w 1945 roku — wj) również o pewnych wartościach społeczeństwa pomorskiego, które powinny być spożytkowane w rozwoju Pomorza i całej Polski. To się raczej nie spełniło.

— Nie, nie spełniło się.

— Społeczeństwo pomorskie i ziem zachodnich, w znaczeniu przywódczym, nie odegrało ważniejszej roli w budowaniu powojennej Polski.

— Niestety, tak było.

— Czy uważasz, że to jest duża strata dla państwa polskiego?

— Na pewno. Wina, czy odpowiedzialność za to — może nie całkowi-

ta — spoczywa na społeczeństwach dzielnic północno - zachodnich, a w odniesieniu do Pomorza to się chyba szczególnie jaskrawo uwidoczni. Pamiętasz nasze rozmowy, jak się denerwowaliśmy tym narzekaniem Pomorzan, że są tacy porządni, nie przepychają się, natomiast ich spycha się zawsze na boczny tor. No, na miłość boską, przypomnij sobie, ile razy ciskaliśmy gromy na naszych ludzi, że siedzą na tyłku i nie bardzo wiedzą po co. Brak siły przebicia? Przecież nie chodzi o rozpychanie się łokciami, ale o prężność społeczną, o umiejętność zorganizowanego walki o założone z góry cele. Spójrzmy na Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie — to jest wielkie osiągnięcie, żeśmy zdołali je utrzymać przez 25 lat na zasadzie samorządnej. Ale z drugiej strony prężność tej organizacji była niezwykle ograniczona w stosunku do możliwości i zaplecza. Tak więc brak znaczącego udziału Pomorzan w modelowaniu kraju, nadawaniu oblicza jego społeczeństwu jest wynikiem przede wszystkim naszej słabej prężności i ofensywności. Na usprawiedliwienie Pomorzan, a częściowo również Wielkopolan i Ślązaków można podać to, że nie byli oni zaamożni w inteligencję, która stanowi — zawsze to utrzymywałem — siłę kierunkową społeczeństwa. Robotnicy są siłą fizyczną, materialną, natomiast inteligencja — programująca. Ostatnia wojna i okupacja rozłożyła nas dosłownie na łopatki; straciliśmy inteligencję, której się dorobiliśmy pod zaborem pruskim i przede wszystkim w Drugiej Rzeczypospolitej.

— Jeżeli społeczeństwo ziem północno - zachodnich posiada cechy defensywne, to czy może ono być państwowo - twórcze w znaczeniu kierowania państwem, lub resortami państwowymi? Czy jest ono zdolne do rozwijania myśli politycznej i gospodarczej? Gdzie gwarancja, że jego udział we władzach centralnych spowodowałby pomyślniejszy rozwój Polski, o czym się od czasu do czasu przebąkuje?

— To jest pytanie otwarte, ponieważ brakuje materiału dowodowego na jego potwierdzenie lub zaprzeczenie. Możliwe, że gdyby skorzystano z takiej szansy, wykształciłoby się ludzie skromni i bardzo kompetentni organizatorzy o cechach menażerów. Trudno jednak o tym mówić bez dowodów. Wspominasz o szczeblu centralnym, no dobrze, spójrzmy jednak na szczebel wojewódzki, na którym — jak dobrze pamiętam — z wyjątkiem dwóch przypadków nie było Pomorzan. A ci, co byli, to było nieporozumienie. Jest otwarta sprawa selekcji kandydatów do aparatu władzy, sposób jej przeprowadzania. Pomorzanie są natomiast w innych dziedzinach życia publicznego, ale co oni sobą reprezentują? Jeśli wniknąć w historię, to jeszcze za Kazimierza Wielkiego ogromną rolę od-

grywali w państwie Wielkopole. Potem — to jest charakterystyczne — ich rola zanikała wraz z ekspansją państwa na Wschód. Ten kierunek ekspansji spowodował ciekawe zjawisko: asymilowana warstwa rządząca Białorusinów i potem Ukraińców, ta spolszczona szlachta stanowiła i stanowiła górną warstwę społeczeństwa polskiego. Mówimy o polityce, ale to samo zjawisko występuje w sztuce i literaturze. Czym to właściwie tłumaczyć? Ty mi zadajesz pytania, a ja ciebie pytam.

— Założmy, że talenty polityczne mogą się wyłaniać tylko w jawnym życiu publicznym. Ale w historii mieliśmy niejednokrotnie takie okresy, kiedy życie polityczne było otwarte, jednak te zachodniopolskie talenty się nie ujawniły. Siła przebicia nie jest chyba tym zasadniczym czynnikiem sprawczym udziału w polityce.

— W takim razie trzeba sprawę sprowadzić do mniejszej wartości intelektualnej tego społeczeństwa, do niższego szczebla jego rozwoju politycznego. Na Śląsku był Wojciech Korfanty, który z zachodniopolskich polityków odegrał chyba najwybitniejszą rolę. Ale drugiego nazwiska tego formatu nie znam. Jestem od ciebie nieco starszy, bardzo wcześniej zacząłem się interesować polityką i historią polityczną, zresztą mój dom rodzinny był bardzo upolityczniony. Z kontaktów osobistych w latach międzywojennych zapamiętałem mecenasa Pawła Ossowskiego, ojca mojego przyjaciela z gimnazjum, Lecha. Był on senatorem Rzeczypospolitej, notariuszem, potem adwokatem, jednym z czołowych działaczy Narodowej Demokracji. Posiadał dużą kulturę osobistą, miłe objęcie, lubił rozmowy z młodymi ludźmi. To był jedyny człowiek z naszego kręgu kulturowego o wysokich walorach intelektualnych, jakiego spotkałem. Zresztą Niemcy zaraz po wkroczeniu do Torunia zamordowali go, a syn też zginął w czasie wojny. Pozostali, to ludzie raczej przeciętni, bez tej koniecznej ambicji, nawet drapieżności w sensie politycznym. Jestem głęboko przekonany, że gdybyśmy mieli dostatecznie liczną grupę ludzi o solidnym fundamencie wewnętrznym i sile przebicia, to odegrałoby ono należytą rolę. Słabość tkwi w nas samych.

— No dobrze, ale taki drapieżnik polityczny, jak Lech Bądkowski, nie odegrał roli politycznej na miarę własnych ambicji!

— Instytucjonalnie oczywiście nie, to jest moja przegrana, do której zresztą sam się przyczyniłem w ten sposób, że po powrocie do kraju w 1946 roku — miałem wtedy 26 lat — i zorientowaniu się w wewnętrznych stosunkach doszedłem do wniosku, że nie mogę się włączyć w instytucjonalny tryb życia politycznego, bo nie wytrzymam, a gdybym próbo-

wał wytrzymać, to sam - bym sobie skreślił kregosłup. Wróciłem przecież z Zachodu. Dlatego obrałem zupełnie inny kierunek działania, którego celem było — w granicach wtedy możliwych — oddziaływanie na pewną, nieliczną grupę młodzieży. Jeśli się niezapamięta wstecz, to z pewnością coś sobie z tego okresu odtworzysz.

NOWA PRACA O WEJHERACH

W niskim nakładzie 160 egzemplarzy ukazała się w Wydawnictwach Uniwersytetu Warszawskiego poprawiona i poszerzona wersja pracy magisterskiej S. Ciary, napisanej pod naukowym kierownictwem profesorów A. Mączaka i J. Maciszewskiego, poświęcona zasłużonej dla Rzeczypospolitej Szlacheckiej, a szczególnie dla Pomorza rodziny Wejherów. Do druku publikację recenzował (obok prof. J. Maciszewskiego) prof. Adam Kersten.

Autor wyzyskał dostępne rękopisy w archiwach polskich i bogatą literaturę historyczną i heraldyczną drukowaną (por. bogatą bibliografię na s. 133—151). Na tej podstawie przedstawił w kolejnych trzech rozdziałach dzieje poszczególnych przedstawicieli rodu: Ernest — Dymitr — Jakub i ich rodzeństwa (por. tablicę genealogiczną na s. 176). Pokazał, jak przybyła znad Menu w okolicach Würzburga do Prus rodzina spolszczyła się, przeszła na katolicyzm, zdobywała kolejne dobra i urzędy: starostów i wojewodów (z godnością wojewody chełmińskiego włącznie), wchodziła w koligacje z najmożniejszymi rodzinami magnackimi (m. in. z Radziwiłłami), jak Jakub Wejher założył miasto Wejherowo, upamiętniające swego twórcę. Znalazienie różnych informacji o rodzinie ułatwia obszerny indeks nazwisk (s. 153—164) i nazw geograficznych (s. 165—175).

Relacja jest zwięzła, pracę czyta się z przyjemnością. Sprzeciw budzi pisownia niemiecka rodziny Weiher zamiast poprawnej Wejher, rażą niekiedy inne błędy językowe. O etymologii nazwiska (niem. Weiher 'staw rybny'), pisowni Wejher i innych niedociągnięciach językowych piszę w „Roczniku Gdańskim”. **E. BREZA**

1) Stefan Ciara, Kariera rodu Wejherów 1560—1657, Warszawa 1980. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego. Prace Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, s. 176, cena 30 zł.

KSIAŻKA O GDAŃSKU M. BOGUCKIEJ PO NIEMIECKU

W roku 1967 Państwowy Instytut Wydawniczy wydał książkę prof. Marii Boguckiej „Życie codzienne w Gdańsku. W. XVI-XVII”. W roku ubiegłym książka ta ukazała się w języku niemieckim przetłumaczona przez Edwarda Mariana. Wydawcą jest firma Koebler und Amelang w Lipsku. **(zb)**

PRAWO BAZYLIKI MARIACKIEJ DO UTRACONEJ WŁASNOŚCI

W bieżącym roku każda gazeta redagowana w Gdańsku pisała już o konieczności powrotu do Bazyliki Mariackiej w Gdańsku dzieł sztuki sakralnej stanowiących jej własność, dotąd przetrzymywanych głównie w Muzeum Narodowym w Warszawie. W „Pomoraniu” nr 2 pisał o tym Jerzy Samp. Zamieściliśmy również uchwałę Zarządu Głównego domagającą się powrotu tych dzieł do Gdańska. Zresztą wiele instytucji i związków podjęło podobne uchwały, a tysiące osób podpisało odpowiednią petycję już w listopadzie ub. roku.

Będziemy śledzić rozwój wypadków i informować czytelników, w miarę możliwości na bieżąco, o wszystkim co jest ważne a co wiąże się z akcją rewindykacji dzieł z gdańskiej bazyliki. Na początku marca mieszana komisja wyłoniona z przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Episkopatu postanowiła aby zwrócono Bazylicę Mariackiej obiekty znajdujące się w muzeum w Toruniu oraz w piwnicach Muzeum Narodowego w Warszawie. Uznajemy to za skromny początek, gdyż wiadomo, że najistotniejsze dzieła (ołtarze) znajdują się w salach ekspozycyjnych warszawskiego Muzeum Narodowego. Dalsze eksponowanie bez zgody właściciela i ogółu mieszkańców Gdańska już nie przystoi. Klejnoty przestają błyszczeć. **(wj)**

TRASY WYCIECZKOWE ŚLADAMI CEYNOWY

Omawiając w „Dzienniku Bałtyckim” nr 67 miejscowości na Pomorzu, które wiążą się z życiem i działalnością Floriana Ceynowy Czesław Skonka proponuje dla turystów dwie trasy samochodowe:

- Trójmiasto — Puck — Sławoszyń — Żarnowiec — Łeba — Główczyce — Słupsk — Lębork — Wejherowo — Gdańsk;
- Gdańsk — Świecie — Bukowiec — Chojnice — Starogard Gdański — Gdańsk.

Oczywiście, że można trasy te (nazwijmy je odpowiednio kaszubsko-słowińską i kociewsko-chojnicką) przebyć pieszo lub rowerem, co wymaga jednak kilku dni. **(wj)**

DZIESIATE „ZESZYTY CHOJNICKIE”

W bieżącym roku (datowany: 1980) powielono 10 numer „Zeszytów Chojnickich”, których wydawcą jest Chojnickie Towarzystwo Kulturalne. W numerze tym piszą: Klemens Szczepański, w dwóch oddzielnych artykułach, o walekach pod Chojnicami 1 września 1939 roku oraz w lutym 1945 r.; Zbigniew Stroniski o poległych żołnierzach radzieckich, miejscach ich pochówku w 1945 r., obecnych cmentarzach i grobach a także daje imienny wykaz (oczywiście niekompletny) poległych i zmarłych żołnierzy w 1945 r. w Chojnickim.

Tenże autor zamyka numer bibliografią artykułów zamieszczonych w „Zeszytach Chojnickich” od 1964 r., to jest od początku ich redagowania. **(wj)**

GDAŃSKIE PTTK DLA CEYNOWY

25 marca w siedzibie Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Gdańsku przy ul. Ogarnej odbyła się prelekcja krajoznawcza zorganizowana w związku z 100 rocznicą śmierci F. Ceynowy. Referat wygłosił Czesław Skonka.

Jednocześnie ZW PTTK w Gdańsku zalecił wszystkim swoim oddziałom organizowanie stosownych imprez krajoznawczych i turystycznych. **(s.j.)**

PAMIĄTKOWY FOLDER DLA MARII KOPEĆ

Maria Kopeć mieszka od lat we wsł. Kęsowo koło Tucholi. Prowadzi gospodarstwo rolne, ma nowoczesny sad wiśniowy. Jest uznaną hafciarką tego regionu, haftuje głównie w tonacji złotej (szkółka tucholska) ale też i w tonacji niebieskiej. „Na pracę twórczą ma czas dopiero wieczorami i w nocy. (...) Najpiękniejsze kompozycje przenosi na papier i płótno dopiero wtedy, gdy jest cicho i spokojnie, gdy nikt nie ogląda programu telewizyjnego, gdy nie zadzwoni już telefon” — tak pisze Wanda Szkulmowska o hafciarce tucholskiej w folderze zatytułowanym „Wystawa haftu kaszubskiego Marii Kopeć”, który w bieżącym roku został wydany przez Kujawsko - Pomorskie Towarzystwo Kulturalne i BWA w Bydgoszczy. Folder obok tekstu zawiera wyraźne reprodukcje prac (zdjęcia Z. Lubaczewski). Całość wydana zgrabnie (układ graficzny Z. Papke). Nakład symboliczny — 150 egz. **(wj)**

